NIE TYLKO ZAWISZA
Wciągające historie legendarnych rycerzy

KAJZER W AFRYCE
Jak Niemcy mordowali masowo Afrykanów

„ATEŃSKI LEW" ALKIBIADES
Genialny arystokrata gorszył i zachwycał swoich rodaków

NR 1(131)/2024 STYCZEŃ 2024

CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Jacek Komuda o Zawiszy Czarnym

POTĘGA POLSKIEGO RYCERSTWA

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515
Nr indeksu 396 031

Oferta grudniowa



3

w cenie 50 PLN



wybierz 2 dowolne książki,
zapłać 50 PLN,
otrzymasz gratis
kalendarz ścienny na 2024 rok

Online: 6–30.12.2023
Stacjonarnie: 6–22.12.2023
w księgarniach IPN w całej Polsce lub do wyczerpania zapasów

Wydawnictwo
Instytutu Pamięci
Narodowej

PEŁNA OFERTA NA
ksiegarniaipn.pl

eprasa.pl 4ae40cb95d

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska,**
Magda Zubrycka-Wernerowska
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż)

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek
tel.: 539 953 631, 508 040 664
pon.–pt. w godz. 10–16
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515, Nr indeksu 296 031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie: www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerami: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Kraków, 15 lipca 1910 r.

Ignacy Jan Paderewski przemawia podczas uroczystości odsłonięcia pomnika Grunwaldzkiego



Od redaktora



Piotr Włoczyk

Młot na wrogów Korony

Ich kopie kruszyły szeregi wrogów Królestwa Polskiego, miecze broniły majestatu monarchy, a tarcze osłaniały cześć dam. Zwycięstwo pod Grunwaldem rozsławiło polskie rycerstwo w całej Europie i od tej pory nikt już nie miał wątpliwości, że Polacy są istotną częścią chrześcijańskiego uniwersum. Nasi rycerze byli emanacją rodzącej się potęgi Królestwa Polskiego, a wielkich nazwisk mieliśmy tu niemało...

„Kto nie słyszał o rycerzu z Garbowa?" – pyta trzy strony dalej w swoim tekście Jacek Komuda, nasz utalentowany pisarz, który poświęcił Zawiszy Czarnemu dwie książki. Chyba każdy słyszał o tym tytanie polskiego średniowiecza i nikt nie ma problemu ze zrozumieniem powiedzenia „polegać jak na Zawiszy". Ale kim tak naprawdę był ten rycerz i dlaczego jego sława wciąż rozpala wyobraźnię młodych Polaków? Odsyłam państwa do tekstu Jacka Komudy, który w zajmujący sposób kreśli sylwetkę tego najsłynniejszego polskiego rycerza.

Jak „zwykli" wojownicy stali się rycerzami? Co się składało na ich kodeks? Jak kształtowały się obyczaje rycerskie? Ten temat naświetla z kolei prof. Jacek Kowalski, znakomity znawca średniowiecznych realiów.

„Kultura rycerska poczęła rozkwitać na dobre dopiero za panowania Kazimierza Wielkiego, osiągając swoje apogeum na przełomie wieków XIV i XV. Nasi rycerze wędrowali wówczas po europejskich dworach i brali tam chwalebny udział w turniejach, a wizerunki polskich herbów znalazły się w zachodnich herbarzach, np. w słynnym Herbarzu Złotego Runa" – opowiada prof. Kowalski.

Przenieśmy się zatem do świata rycerskiej chwały, w którym Polacy odcisnęli trwały ślad, a ich dokonania opiewane były na europejskich dworach! ©℗

eprasa.pl 4ae40cb95d

W NUMERZE



/ TEMAT NUMERU

.6 JACEK KOMUDA
Zawisza: ostatni prawy

.11 TOMASZ STAŃCZYK
Scibor, Grunwald i Jasna Góra

.14 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Rycerska ewolucja

.18 JACEK KOWALSKI
Śladami Lancelota

.22 JAKUB OSTROMĘCKI
Legendy warowni

/ CZASY I LUDZIE

.26 MIKOŁAJ IWANOW
Niemiecki pociąg Lenina

.30 ANNA SZCZEPAŃSKA
Czaszki w niemieckich magazynach

.34 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Niemiecka zemsta na Włochach

.37 PIOTR SEMKA
Bezcenny most na „świętym" Renie

.40 SŁAWOMIR KOPER
Cztery strzały w Ananasie

.44 ŁUKASZ CZARNECKI
Bezczelny „ateński lew"

.48 MAREK GAŁĘZOWSKI
Okupacja niemiecka okiem Rembeka

.52 PIOTR WŁOCZYK
Piorun z Izraela

.56 MACIEJ PIECZYŃSKI
Egzekucja „Białego Domu"

/ CO CZYTAĆ

.60 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Świrszczyńskiej życie po życiu

.64 RECENZJE

/ FELIETONY

.68 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Mit liberum veto

.69 PIOTR SEMKA
Złoty, jesienny Rheinsberg

/ KRESY

.70 TOMASZ STAŃCZYK
Samowolny marsz Piłsudskiego

/ BATALIE I WODZOWIE

.74 SIMON SEBAG MONTEFIORE
Apokalipsa Jerozolimy

.78 MICHAŁ MACKIEWICZ
Z wykrywaczem po militaria

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Ludzka rzeźnia

/ KOMIKS



.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
MS „Chrobry"

eprasa.pl 4ae40cb95d

REPUBLIKA

DZIENNIKARSKI POKER

od **poniedziałku**
do **czwartku**
18:25

Jeden z najważniejszych wieczornych programów publicystycznych Telewizji Republika. **Łukasz Jankowski**, **Adrian Stankowski**, **Piotr Lisiewicz** i **Tomasz Sakiewicz** wraz z zaproszonymi do studia politykami, ekspertami i historykami omawiają najważniejsze wydarzenia i najbardziej istotne dla Polski i Polaków tematy.



RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 4ae40cb95d



Zawisza Czarny. Fragment „Bitwy pod Grunwaldem" Jana Matejki FOT. COMMONS WIKIMEDIA/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Legenda polskiego rycerstwa

Dyplomata, najemnik, krzyżowiec

Zawisza: ostatni prawy



Jacek Komuda

Zawisza to pomnikowy ideał – symbol rycerskiej wierności, pobożności, męstwa, honoru. Jednak za odbrązowionym obliczem kryje się żywy człowiek, czujący i wrażliwy; ostatni sprawiedliwy w jesieni średniowiecza

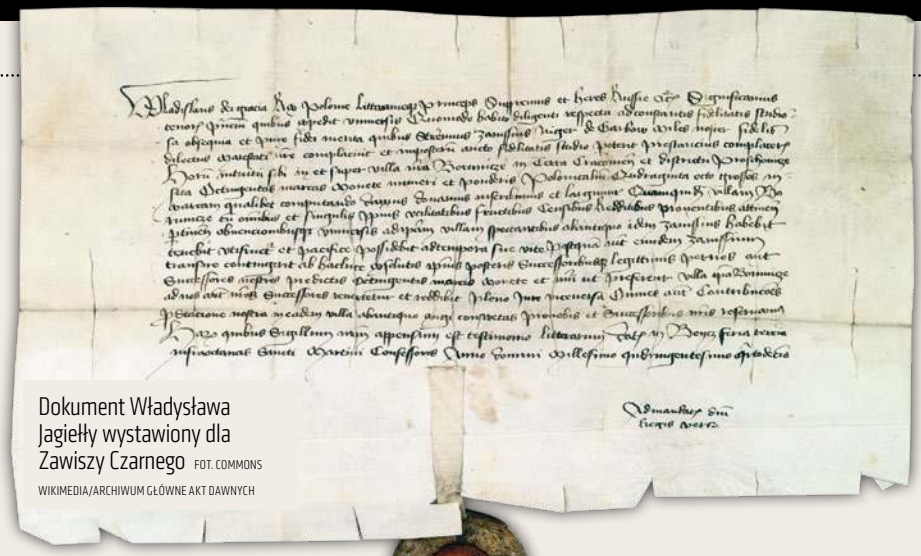
Kto nie słyszał o rycerzu z Garbowa? Patron drużyn harcerskich, jachtów, szkół, ulic i grup rekonstruktorskich. Znane jest powiedzenie, które w XVI w. zacytował Stanisław Orzechowski w biografii Jana Tarnowskiego: „Tak wielkim, a dzielnym hetmanem za Zygmunta cesarza na wojnach tureckich był [Zawisza], iż przez męstwo przypowieść się stała, gdy kto w rozpaczy ma ostatnią nadzieję w kimś, tak mówi: na nim ci jako na Zawiszy". Znana jest jego współczesna wersja: „Polegaj na nim jak na Zawiszy", ale już nie szczegóły życia bohatera.

Jak podaje Franciszek Ziejka, przysłowie to upowszechniło się dopiero w XIX w., najpierw w słowniku Samuela Lindego, potem podał je w „Przysłowiach polskich" Kazimierz Wójcicki, następnie postać spopularyzowali Julian Ursyn Niemcewicz i kolejni pisarze. Dlatego pamięć o Zawiszy dziś jest bardziej literacka niż historyczna.

To szokujące, ale nie mamy szczegółowej biografii naukowej najsławniejszego polskiego rycerza. Wiemy, że chwalebnie żył i umarł, ale… Co dokładnie zrobił? Gdyby nie prace historyków – Anny Klubówny i Dariusza Piwowarczyka – można by pomyśleć, że postać Sulimczyka jest fikcyjna.

Dzieje pierwszych lat jego życia to na wpół fantastyka historyczna. Urodził się zapewne ok. 1375 r. Jego ojciec, Miko-

eprasa.pl 4ae40cb95d



Dokument Władysława Jagiełły wystawiony dla Zawiszy Czarnego FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ARCHIWUM GŁÓWNE AKT DAWNYCH

łaj herbu Sulima, służył być może na dworze króla Węgier Zygmunta Luksemburskiego. A ponieważ nie żył w 1397 r., logiczne wydaje się, że poległ pod Nikopolis w czasie krucjaty przeciwko Turkom. Zawisza miał dwóch braci – młodszego Jana Farureja i starszego Piotra zwanego „Kruczkiem" – ich przydomki sugerują, że byli brunetami.

Odziedziczyli oni po ojcu kilka cząstek wsi: Garbowa, Siedlec, Winiar, Nagoszyna i Szymunowic. Jak na realia końca XIV w. byli biedną szlachtą. Dlatego nie podzielili włości, ale pozostawali w braterskim niedziale, korzystając wspólnie z dochodów przynoszonych przez majątki. W 1397 r. sprzedali wspomnianą część wsi Siedlce, aby kupić rycerski rynsztunek. Na uwagę zasługuje to, że pieniędzy starczyło tylko dla dwóch braci – Jana Farureja i Zawiszy. Najstarszy – Piotr Kruczek – pozostał w domu. Pozostali udali się na służbę, która z chwałą rycerską miała niewiele wspólnego.

Najemnik i raubritter

Bracia zaciągnęli się do armii margrabiego Prokopa z Moraw, który toczył wojnę z bratem Jodokiem. Prokopa popierał Wacław IV, król Czech, a jego rywala – król Zygmunt Luksemburski. Tak rozpoczęła się walka podjazdowa polegająca na pustoszeniu okolic Ołomuńca na Morawach. W 1398 r. ludzie margrabiego złupili i zajęli dobra biskupie, za co zostali zagrożeni ekskomuniką. Jak podaje Dariusz Piwowarczyk, wśród rycerzy wymienionych w edykcie znalazł się „Swarcz Zawissch", w doborowym zresztą towarzystwie Piastów śląskich i mazowieckiego księcia Siemowita IV.

Dopiero po uwięzieniu Prokopa w 1402 r. nastąpił rozłam wśród jego popleczników. Część, jak Jan Farurej, udała się na zachód, inni – jak Zawisza – wstąpili na służbę do króla Zygmunta Luksemburskiego. Dlaczego bohater wybrał władcę popierającego Jodoka? Być może Zygmunt pamiętał służbę i śmierć jego ojca, a może objawiły się wówczas pozytywne cechy charakteru Zawiszy. W 1403 r. rycerz prosił bowiem króla Władysława Jagiełłę o uwolnienie niedawnego towarzysza Marcina Rogali z Wyrzyska, który wraz z niedobitkami najemników Prokopa opanował tajemniczy zamek Szowsten na pograniczu z Polską. Został on zdobyty przez wojska królewskie, a Rogala uwięziony w wieży. Wstawiennictwo Zawiszy uwolniło go z więzienia, jak i innych rycerzy. Później Marcin okazał się wiernym poddanym Jagiełły. To był szlachetny gest.



Zygmunt Luksemburski FOT. COMMONS WIKIMEDIA/GERMANISCHES NATIONALMUSEUM

Rycerz i tchórz

Z Zygmuntem Luksemburskim, zwanym pogardliwie Luksemburczykiem, Zawisza związany był przez całe życie. Kim był ów król: Węgier, Niemiec, od 1419 r. Czech, książę Luksemburga, wreszcie od 1431 r. święty cesarz rzymski? Jego ocena zależy od pochodzenia i narodowości oceniającego. Dla historyków niemieckich był zręcznym dyplomatą, usiłującym pogodzić sprzeczności polityczne rozlicznych królestw i krajów, którymi władał. Talentów dyplomatycznych w skłócaniu rywali mogliby uczyć się od niego nasi współcześni politycy. Za jego czasów kwitł handel, bogaciły się miasta, powstawały nowe szlaki handlowe. A jednocześnie z punktu widzenia Polaka – dziedzica kultury rycerskiej i jej ideałów – był tchórzem i kłamcą. Z perspektywy Czecha – tyranem i mordercą, na szczęście zbyt słabym, aby zamienić kraj w królestwo stosów rozpalonych dla husytów.

Zygmunt knuł spiski i intrygi, jednak był zbyt chwiejny, aby doprowadzić je do końca. Gdyby nie to, byłby śmiertelnym wrogiem Królestwa Polskiego. Luksemburczyk sprzymierzony z Krzyżakami od 1392 r. był współtwórcą pierwszej koncepcji rozbioru Polski. Wymusił na zakonie daninę 340 tys. dukatów, obiecując w 1410 r. uderzyć od południa. Znając jego charakter, Jagiełło mógł jednak spokojnie pomaszerować na Malbork. Zygmunt bowiem okpił Krzyżaków, zagarnął haracz i dopiero pod koniec roku urządził napad na Stary Sącz...

Już w 1396 r. uciekł z pola bitwy pod Nikopolis, porzucając armię krzyżowców w krucjacie, którą sam zwołał przeciwko Turkom. W latach 20. XV w. walczył z Husytami w Czechach i poniósł serię kompromitujących porażek. Ten rozpustnik zdradzający żoną Marię Andegaweńską, a później mąż wyuzdanej Barbary Cylejskiej utrzymującej harem kochanków, był człowiekiem pełnym

eprasa.pl 4ae40cb95d



Zamek w Lubowli FOT. COMMONS WIKIMEDIA/CIVERTAN

zadziwiających sprzeczności. Tchórz i kłamca uwielbiał… Zawiszę, który wielokrotnie posłował do niego i dla niego, prowadził negocjacje, towarzyszył w podróżach i walczył – zwykle osłaniając haniebną ucieczkę króla z pola walki.

Ten niezwykły związek dwóch ludzi o sprzecznych charakterach łatwiejszy jest do opisania językiem literackim niż historycznym. Możemy się domyślać, że Luksemburczyk podziwiał i cenił Zawiszę za cechy, których jemu samemu brakowało – męstwo, honor i dotrzymywanie obietnic. Podobnie hojnie wynagradzał innych polskich rycerzy – m.in. Ścibora ze Ściborzyc i Andrzeja Balickiego. Prowadząc politykę kłamstwa i zdrady, musiał mieć przy boku dworzan, którym mógł w pełni zaufać. Takimi zaś byli wówczas tylko rycerze polscy.

Zawisza wziął zatem udział w krucjacie 1406 r., która nie miała nic wspólnego z odzyskaniem Ziemi Świętej i Bałkanów. Zygmunt skierował krzyżowców do Bośni, aby osadzić tam jako wasala Stefana Ostoję. Wyprawa była krwawa, obfitowała w rabunki, rzezie jeńców i okrucieństwa. Zakończyła się zdobyciem zamku Doboj. Być może wówczas – jak twierdzi Dariusz Piwowarczyk – Zawisza został pasowany na rycerza przez Zygmunta Luksemburczyka. Zapewne też między 1397 a 1409 r. wziął ślub. Nie wiadomo, kim była jego pierwsza wybranka ani jak miała na imię. Sulimczyk doczekał się z niej tylko jednego syna – Mikołaja – który przeznaczony został do stanu duchownego i był plebanem we Włostowicach.

Narodziny legendy

Zawisza wraz z innymi rycerzami polskimi wziął udział w kolejnej wyprawie do Bośni w 1409 r. I właśnie wtedy doszło do wydarzeń, które dały początek jego późniejszej legendzie. W sierpniu do obozu króla Węgier doszła wieść o rozpoczęciu wojny Królestwa Polskiego i Litwy z zakonem krzyżackim. Król Jagiełło wezwał do powrotu do kraju rycerzy bawiących na zagranicznych dworach. Wówczas Zawisza, a także wielu innych najemników, porzucił służbę u Zygmunta i postanowił wrócić do kraju.

Byli wśród nich: jego brat Jan Farurej, Tomasz Kalski, Wojciech Malski, Dobiesław Puchała, Janusz Brzozogłowy, Skarbek z Góry. Przerażony Zygmunt starał się zatrzymać ich obietnicami i darami, jednak zostali tylko Ścibor ze Ściborzyc i Andrzej Balicki. Jak pisał Jan Długosz: „Porzuciwszy w Węgrzech dobra i majątki od króla Zygmunta uzyskane, wzgardziwszy jego łaskami i szczodrymi obietnicami, opuścili go i przybyli do Władysława, króla polskiego, aby z nim walczyć przeciw Krzyżakom”.

Zawisza wziął udział w bitwie pod Grunwaldem. Walczył jako rycerz przedchorągiewny w elitarnej chorągwi krakowskiej. Oznacza to, że stał w pierwszym szeregu klina, utworzonego na początku kolumny rycerskich jeźdźców, własną piersią osłaniając świętą chorągiew Królestwa Polskiego. W czasie bitwy gonfanon znalazł się w niebezpieczeństwie, kiedy koń trzymającego go Marcina z Wrocimowic zapadł się w wilczym dole. Natychmiast rzucili się na ratunek „najdzielniejsi ćwiczeni w bojach rycerze”, czyli właśnie przedchorągiewni, z Zawiszą włącznie. Chorągiew została odbita, oddziały polskie wytrzymały atak wracających z pościgu chorągwi krzyżackich i ostatecznie, po powrocie Litwy i Tatarów, wygrały bitwę.

Męstwo Zawiszy i jego znajomość z władcą Węgier zwróciły uwagę króla Jagiełły, który od tej pory zaczął wykorzystywać go do misji dyplomatycznych. Zawisza stał się sługą dwóch królów – Polski i Węgier. Pierwszą misją Sulimczyka było poselstwo – próba zatrzymania spodziewanego ataku Węgrów. Misja okazała się nieudana, ale w 1412 r. bohater brał udział w rokowaniach w Lubowli na Spiszu, gdzie Jagiełło i Luksemburczyk zawarli pokój i sojusz, a w tajnym protokole Zygmunt obiecał pomoc w walce z zakonem krzyżackim. Później Zawisza brał udział w turnieju w Budzie – jak podaje Piwowarczyk – uczestniczył w „melee”, czyli starciu drużyn rycerskich na wzór bitwy. Nie wiadomo, czy Polacy zdobyli wówczas nagrody.

W 1414 r., kiedy odnowiła się wojna z zakonem, Zawisza wystąpił w roli, której dotychczas mało kto się po nim spodziewał. W połowie lipca wysłał do wielkiego mistrza krzyżackiego Michała Küchmeistera… wypowiedzenie wojny. Uczynił to jako dowódca zaciężnej roty zwerbowanej na usługi króla Jagiełły w Czechach i na Morawach. Zawisza tym samym stał się jednym z pierwszych polskich rotmistrzów jazdy zaciężnej – późniejszych znamy z wojny trzynastoletniej, z bitew wieków XVI i XVII, gdzie dowodzili chorągwiami kozackimi i husarskimi.

Legenda, którą sam kształtował za życia, miała dwa filary. Jednym była działalność jako dowódcy i rycerza zaciężnego. Drugim – dyplomacja, której opisanie przekracza objętość tego artykułu. Zręczność, z jaką godził sprzeczności służby dwóm królom, rozwiązywał spory, prawość i poczucie sprawiedliwości, sprawiła, że ludzie ulegali mu i chętnie zaciągali się pod jego chorągwie. Ta „ludzkość staropolska” wystawia mu największy pomnik.

Sulimczyk był na soborze w Konstancji, który miał zlikwidować schizmę w Kościele katolickim, gdzie działało trzech duchownych uznających się za papieża – Benedykt XII z Awinionu, Grzegorz XII z Rzymu i Jan XXIII działający w Pizie. Kolejną kwestią były działania przeciwko herezjom Johna Wycliffe’a i Jana Husa. Ten ostatni był wyposażony w żelazny list króla Zygmunta gwarantujący bezpieczeństwo i stawił się na soborze celem obrony swych tez. Został jednak aresztowany, a wtedy Zawisza i Janusz z Tuliszkowa zaprotestowali. Jak pisze Dariusz Piwowarczyk:

eprasa.pl 4ae40cb95d



RYS. MARZENA WŁOCZYK

„W Konstancji nade wszystko przełożyli wartość słowa honoru, którego nie wolno łamać ani władcy, ani poddanemu. Gest ten wymagał również odwagi, gdyż obrońcy Husa łatwo mogli być uznani za heretyków i także uwięzieni". Jednak Zygmunt złamał je bez trudu, nie zgodził się, podobnie jak sobór, na wysłuchanie Husa, który spalony został jako heretyk.

Na soborze rozstrzygały się też sprawy polsko-krzyżackie, w tym kwestia paszkwilu antypolskiego dominikanina Falkenberga – autora „Satyry na herezje i inne nikczemności Polaków oraz ich króla Jagiełły…". Nasza delegacja żądała od papieża potępienia traktatu i ukarania duchownego. Doszło do tak dramatycznych scen, że kiedy Polacy nie zostali wpuszczeni do pałacu papieskiego, Zawisza i jego kompani wyłamali bramy i w obecności nowo wybranego papieża Marcina V oświadczyli, że będą bronić czci króla Polski „gębą i ręką", zmuszając Ojca Świętego do potępienia pisma Falkenberga!

Zawisza przez kilka lat podróżował po Europie. Pomimo kolejnej wolty Luksemburczyka, który w 1420 r. ogłosił niekorzystny dla Polski wyrok wrocławski, pozostał na jego służbie. W Czechach wybuchło powstanie husytów i rycerz uznał, że w tej sytuacji nie może porzucić swojego pana. Zasłużył się 9 stycznia 1422 r., kiedy pobity pod Kutną Horą król rozpoczął odwrót – Sulimczyk pozostał w Niemieckim Brodzie, osłaniając tyły uciekających krzyżowców. Jego sława była tak wielka, że husyci oszczędzili mu życie. Przez kilka miesięcy pozostawał w honorowej niewoli. Został uwolniony w geście dobrej woli lub za posłów przetrzymywanych przez króla Węgier.

A sława turniejowa? Cóż, nie ujmując Zawiszy, źródła przekazały nam wieść o kilku turniejach i tylko jednym zwycięstwie – w Perpignan w 1415 r., kiedy stanął do gonitwy na kopie z aragońskim rycerzem Janem, którego zwalił z siodła.

Żywot rycerza poczciwego

Po kolejnym zjeździe monarchów, na Spiszu w marcu 1423 r., Zygmunt Luksemburski i Jagiełło znów doszli do porozumienia. Nasz król wycofał się z popierania husytów. W zamian za to władca Węgier i Czech przestał wspierać zakon krzyżacki. Traktat przerywał sojusz otaczający Królestwo Polskie; Zawisza solidnie przyłożył do niego rękę.

Kilka lat wcześniej, jak podaje Dariusz Piwowarczyk, pomiędzy 1414 r., a 1419 r., zawarł drugie małżeństwo – z Barbarą z Lubstowa, córką wojewody gniewkowskiego Macieja Maczudy. Doczekał się czterech kolejnych synów: Marcina, Jana, Stanisława i Zawiszy. Ze zjazdu na Spiszu wrócił jako posesjonat, gdyż obaj królowie sowicie wynagrodzili go za usługi: Jagiełło mianował go starostą na Lubowli. Rycerz otrzymał także starostwo kruszwickie, poza tym Zygmunt Luksemburski zapisał mu 600 florenów na Koszycach, a także obdarował dobrami ziemskimi. W ręce Zawiszy trafił wówczas Sabinow na dzisiejszej Słowacji.

Sulimczyk wykupił od Piotra z Kurowa zamek w Rożnowie, czyniąc z niego główną siedzibę. W 1425 r. wszedł w posiadanie okolicznych włości: Jelni, Gurowa, Posadowa, Glinnika, Bartkowa, Załęża, Gródka i innych; mało kto wie, że od tego czasu pisał się jako Zawisza z Rożnowa, a nie z rodzinnego Garbowa. Kolejne wioski nabył na Rusi – Staresioło w ziemi lwowskiej oraz Wilkowice i Rybnice pod Śniatyniem. Sulimczyk, mający wówczas ok. 50 lat, mógł oddać się życiu szlachcica poczciwego, to znaczy gospodarowaniu w dobrach i życiu publicznemu. W 1424 r. wyprawił w Krakowie ucztę z okazji ślubu króla Jagiełły z Zofią Holszańską znaną jako „uczta trzech królów", gdyż przybyli na nią Zygmunt Luksemburski i Eryk Pomorski – pan Danii.

Można powiedzieć, że nasz bohater osiągnął wszystko: bogactwo, sławę, poważanie i miejsce w kronikach Królestwa Polskiego. Brakowało mu tylko sławy obrońcy wiary chrześcijańskiej, ważnego elementu w wyidealizowanym życiu rycerza. Zapewne dlatego w 1427 r. zdecydował się stanąć na czele krucjaty antytureckiej zwoływanej przez Zygmunta Luksemburskiego. Władca powierzył mu misję zwerbowania chorągwi rycerstwa zaciężnego, a do udziału w wyprawie zachęcał go sam król Władysław Jagiełło. W tym czasie bowiem do Królestwa Polskiego przybywać zaczęły pierwsze poselstwa tureckie, starając się zniechęcić władcę do wsparcia króla Węgier. Ten z kolei rozpowszechniał plotki, że Polska zawarła tajne porozumienie z sułtanem, zaczynała powracać antypolska retoryka oskarżająca nasz kraj o wspieranie pogan. W takiej oto sytuacji w maju lub w czerwcu 1427 r. Zawisza zwerbował na Morawach i w Polsce potężną rotę zaciężnych

eprasa.pl 4ae40cb95d

rycerzy i przekroczył Karpaty. Jak się okazało – ostatni raz w życiu.

Ostatnia krucjata Zawiszy

Bałkany przeżywały inwazję odrodzonej Porty Ottomańskiej. Gdy w lipcu 1427 r. zmarł lennik sułtana, Stefan Lazarević, despota Serbii, Zygmunt Luksemburski, postanowił wejść w posiadanie Belgradu i Golubaca – twierdz położonych w pobliżu granicy z Wołoszczyzną i Siedmiogrodem. Zajęcie ich pozwoliłoby na stworzenie linii obronnej opartej o rzekę. Zygmunt zwołał krucjatę, jednak przybyłe na Węgry rycerstwo skierował na Hospodarstwo Wołoskie. Księstwo rozrywane było walką pomiędzy dwoma pretendentami do hospodarskiego tronu: Danem, którego popierał Luksemburczyk, i Radem Łysym zwanym Praznaglava. Ten ostatni cieszył się wsparciem Turków, którzy wielokrotnie osadzali go na tronie. Na przełomie lat 1426 i 1427 ponownie wkroczył do księstwa i odzyskał władzę. Jak podaje Ilona Czamańska w „Mołdawii i Wołoszczyźnie wobec Polski…", Zygmunt postanowił zatem odzyskać tron dla wiernego lennika. Zawisza Czarny na pewno wziął udział w kampanii, która skończyła się powodzeniem. Nowy władca osadzony przez króla Zygmunta udzielił pomocy suwerenowi. Dariusz Piwowarczyk pisze, że dowództwo nad posiłkami wołoskimi powierzono właśnie Zawiszy Czarnemu z Rożnowa.

W tym samym czasie jednak król stracił szansę na pokojowe uzyskanie Golubaca. W trakcie negocjacji z księciem Jeremiaszem, który władał miastem i zamkiem, okazało się, że był on gotów odstąpić twierdzę za 12 tys. dukatów. Zamiast się zgodzić, Zygmunt rozpoczął kampanię krętactw, usiłując podważyć legalność władzy Jeremiasza. Skończyło się to fatalnie – pod koniec roku 1427 książę za taką samą sumę poddał się sułtanowi Muradowi II. Wojska osmańskie zajęły twierdzę, a rozwścieczony Zygmunt postanowił zdobyć ją siłą. Ledwie skończyła się zima i skierował pod fortecę armię krzyżowców. I tym samym wpadł w śmiertelną pułapkę.



Sulima – herb Zawiszy Czarnego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/VOYTEK S

Oblężenie Golubaca jest słabo opisane w polskiej historiografii. Badacze ograniczają się do cytowania Długosza, który wystawił piękne epitafium Zawiszy. Tak czy owak, Luksemburczyk zakładał, że zdobędzie twierdzę, zanim sułtan zdoła zebrać i przeprawić do Europy ogromną armię. Mylił się, gdyż wojska osmańskie nadciągnęły znacznie szybciej.

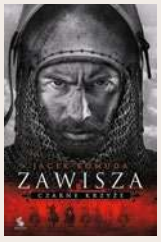
Zygmunt znowu stchórzył – wysłał do Turków posłów i rozpoczął układy. Ostatecznie doszło do zawarcia zawieszenia broni na trzy lata. Węgrzy i Niemcy mieli zwinąć oblężenie, przeciwnicy zaś mieli pozwolić im wycofać się na północną stronę Dunaju. Jednak sułtan lub jego dowódca nie dotrzymali warunków i zaatakowali przeprawiające się przez rzekę wojska krzyżowców. To o tyle ważne, że był to Murad II – ten sam, który 17 lat później wyrzucał niedotrzymanie pokoju naszemu królowi Władysławowi Warneńczykowi.

Według Długosza Zawisza pozostał na południowym brzegu, chociaż Zygmunt przysłał mu łódź. Być może tak jak pod Niemieckim Brodem Sulimczyk postanowił osłaniać ucieczkę króla. Długosz opisuje, że włożył lśniącą zbroję i dosiadłszy małego konia, w eskorcie dwóch pieszych wyruszył naprzeciwko armii tureckiej. Wszystko to możemy włożyć między bajki; Zawisza nigdy nie podejmował takich szaleństw jak samotna szarża na przeważającego wroga. W dodatku górzysty teren pod Golubacem nie nadaje się do walki konnej. Rycerz zapewne walczył wraz z pozostałymi Polakami i Wołochami na przeprawie i dostał się do niewoli. „Z powodu lśniącej zbroi i połowy czarnego orła, który nosił jako herb na rycerskim stroju okrywającym zbroję, uważano go za króla lub księcia" – pisał Jan Długosz.

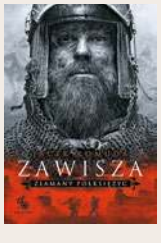
Zawisza zapewne nie obawiał się o życie. Bogatych jeńców Turcy oszczędzali, poza tym Zygmunt nieraz wykupywał go z niewoli. Niespodziewanie między dwoma wojownikami powstał spór o to, do kogo należy możny jeniec. „Jeden i drugi [Turek] rościł sobie do niego pretensje z powodu budzącej poważanie godności królewskiej, którą w ich przekonaniu piastował. Ale ponieważ słabszy nie może stawić oporu silniejszemu, wyciągnąwszy oszczep, [Turek] ściął głowę Zawiszy". Stało się to prawdopodobnie w murach Golubaca, gdyż tam spędzono wziętych do niewoli rycerzy.

Do dziś nie znamy miejsca pochówku Zawiszy. Jego ciała nigdy nie odnaleziono, symboliczny pogrzeb odbył się w kościele oo. Franciszkanów w Krakowie. Król Niemiec i Węgier naprawdę żałował śmierci wiernego dworzanina; przyznał wdowie Barbarze roczną rentę w wysokości 300 florenów, prosił też wielkiego księcia Witolda o opiekę nad rodziną.

„Bóg jeden wie, jak bolejemy w najgłębszym pogrążeni smutku, a to tym bardziej że rycerstwo straciło w Zawiszy najzręczniejszego i najobrotniejszego towarzysza i wodza. Że atoli Zawisza, jak to zresztą całemu światu wiadomo, najdzielniejszym był rycerzem, najdoświadczeńszym wojownikiem i wielkim dyplomatą, że wiele pomiędzy nami a Waszą Książęcą Mością dobrego uczynił, co się zresztą z dzieł jego okazuje; domagają się jego znakomite czyny, ażeby zmarły ojciec w swych synach ożył i w swoim potomstwie" – pisał Zygmunt do księcia litewskiego. Były to być może jedyne szczere słowa władcy, które wypowiedział on za życia.



JACEK KOMUDA
„ZAWISZA. CZARNE KRZYŻE"
FABRYKA SŁÓW



JACEK KOMUDA
„ZAWISZA. ZŁAMANY PÓŁKSIĘŻYC"
FABRYKA SŁÓW

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ae40cb95d



XIV–XV w. / Między Polską, Węgrami i Krzyżakami

Ścibor, Grunwald i Jasna Góra

Zamek Beckov (Słowacja), główna siedziba Ścibora ze Ściborzyc FOT. COMMONS WIKIMEDIA/PIERRE BONA



Tomasz Stańczyk

Polskie rycerstwo pełne było indywidualności. Poza wielkimi nazwiskami, które budziły respekt czy wręcz trwogę, nie brakowało też awanturników nieznających żadnych świętości

Turyści z Polski, którzy jadą nad Balaton słowacką autostradą D1, mijają w dolinie Wagu wynoszącą się 70 metrów nad jej poziom wapienną skałę, zwieńczoną zamkiem Beckov. Na przełomie wieków XIV i XV należał on do polskiego rycerza Ścibora ze Ściborzyc, który stał się węgierskim magnatem. I choć legenda Zawiszy Czarnego, rycerza i dyplomaty, przyćmiła wszystkich innych polskich rycerzy jego czasów, to najmniej ucierpiała pamięć właśnie o pochodzącym z Kujaw Ściborze. A w każdym razie zasługuje on, by wymieniać go zaraz po rycerzu z Garbowa.

Polsko-węgierskie związki dynastyczne i polityczne w XIV w. sprawiły, że Polacy zaczęli służyć królom węgierskim i robić kariery w Krajach Korony Świętego Stefana. Piastowski książę Władysław Opolczyk został mianowany przez króla Ludwika Węgierskiego palatynem, czyli najważniejszą po monarsze osobą w państwie, był on także węgierskim namiestnikiem na Rusi Halickiej.

Gdy w 1401 r. umierał Władysław Opolczyk, źle zapisany zresztą w historii Polski, wróg Jagiełły, od niemal 40 lat przebywał na Węgrzech Ścibor ze Ściborzyc. Opuścił on ojczyznę jako nastolatek, by wstąpić w służbę króla Ludwika Węgierskiego. Po jego śmierci nastąpiła dramatyczna rozgrywka o koronę. Ścibor ze Ściborzyc zaangażował się po stronie Zygmunta Luksemburskiego, który liczył na nią poprzez ożenek z Marią, córką zmarłego monarchy. Jej matka, ambitna, żądna władzy Elżbieta Bośniaczka, chciała storpedować to małżeństwo – co się jednak jej nie udało – i musiała walczyć ze zwolennikami innego pretendenta – Karola II z Durazzo, króla Neapolu. W rezultacie wpadła wraz z córką w ich ręce. Obie kobiety zostały w 1387 r. osadzone na zamku w Novigradzie.

Nielubiany zięć Zygmunt pospieszył na pomoc, obległ zamek, nie udało mu się jednak go zdobyć. Próbował następnie rozmów, do których wyznaczył Ścibora. Ten jednak został uwięziony przez obrońców zamku i był dość długo przetrzymywany, nawet po uwolnieniu Marii (Elżbieta Bośniaczka została uduszona). Zygmunt Luksemburski nie zapomniał Ściborowi tamtej misji i poświęcenia (Polak był zamknięty w lochu). Rozpoczęły się hojne nadania zamków, ziem i urzędów dla polskiego rycerza. Ścibor otrzymał m.in. wspomniany zamek Beckov.

Dziewiętnastowieczny historyk Antoni Prochaska, biograf Ścibora ze Ściborzyc, tak o nim pisał: „Na podstawie wszystkich tych nadań stanął w rzędzie najbogatszych magnatów węgierskich, władnąc wielką częścią doliny Wagu, w której to dobra były położone”.

W 1394 r. król Zygmunt Luksemburski ściągnął na wojnę z Turkami rycerzy z Polski. W tej kampanii brał udział także Ścibor, który walczył z sojusznikiem sułtana, wojewodą wołoskim Władem, i uczestniczył w przegranej dwa lata później bitwie pod Nikopolis, gdzie zresztą został ranny. Polski rycerz był w świcie króla uciekającego z pola bitwy. W zamieszaniu po klęsce Ścibor wykazał wielką energię jako wojewoda siedmiogrodzki. „Nie tylko zachował Siedmiogród przy koronie węgierskiej – pisał Antoni Prochaska – ale sprawił, że wewnętrzne zamieszki, jakie z powodu braku króla w granicach państwa powstały, uspokoił”. Luksemburczyk po powrocie na Węgry odwdzięczył się Polakowi

eprasa.pl 4ae40cb95d

dalszymi nadaniami, które z nadatkiem rekompensowały poczynione prze Polaka wydatki na sfinansowanie zaciężnych wojsk. W sumie Ścibor władał 31 zamkami.

Panowanie Zygmunta było cały czas zagrożone, nie lubiano go na Węgrzech z powodu niemieckiego pochodzenia, „gwałcenia praw narodu i okrucieństwa, z jakim tłumił niezadowolenie i powstania na Węgrzech". Ścibor wiernie trwał przy królu, także w 1401 r., gdy ważyły się jego losy. Pobił on wówczas pretendenta do korony, margrabiego Josta z Moraw. Kilka lat później Polak znalazł się wśród pierwszych osób odznaczonych Orderem Smoka, utworzonym przez Luksemburczyka.

Sprzedaż Nowej Marchii

Uwikłany w rebelię przeciw sobie i obronę tronu, dramatycznie potrzebując pieniędzy, Zygmunt Luksemburski postanowił sprzedać w 1402 r. Krzyżakom dziedziczną Nową Marchię. Zlecił to zadanie Ściborowi, jako Polakowi, „aby tym bardziej uśpić czujność Polaków, omamić ich obietnicą zastawu". Ścibor przeprowadził finezyjną i cyniczną rozgrywkę. Obiecywał Jagielle i panom polskim, że Luksemburczyk odda im w zastaw Nową Marchię. Służyło to jednak wyłącznie podbiciu ceny. Właściwym nabywcą miał być zakon krzyżacki, który o taką transakcję bardzo zabiegał. Polska straciła w ten sposób możliwość połączenia z księstwami zachodniopomorskimi rządzonymi przez Gryfitów i – co gorsza – stała się zagrożona przez Krzyżaków z kolejnego kierunku. Jednak transakcja miała też dobrą stronę dla Polski. Ścibor wymusił na zakonie taką kwotę za Nową Marchię, że mocno nadszarpnęło to jego budżet. Można więc sądzić, że z tego powodu Krzyżacy nie mieli wystarczających funduszy, by dostatecznie uzbroić się przeciw Polsce.



Ścibor ze Ściborzyc, portret imaginacyjny

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Gdy w 1410 r. jasne się stało, że zbliża się wojna z zakonem krzyżackim, polscy rycerze – m.in. Zawisza Czarny – służący u Zygmunta Luksemburskiego, na wezwanie Jagiełły lub z własnej inicjatywy, wrócili do kraju. Nie było wśród nich Ścibora ze Ściborzyc. „Zapewne i Ścibor dostał podobne wezwanie – uważał Prochaska – on jednak nie myślał o posłuszeństwie, ponieważ objął z ramienia króla Zygmunta ważną misję zapobieżenia wojnie polsko-pruskiej".

Słowa te wymagają jednak komentarza. Czy Ścibor – owszem, polski rycerz, ale posiadający jednak węgierski indygenat i będący magnatem węgierskim, zaufanym Luksemburczyka – musiał być posłuszny rozkazom króla polskiego? Chyba jednak nie.

Zygmunt Luksemburski zapewne miał zamiar nie dopuścić do tej wojny, ale poselstwo Ścibora wiozło jednak ze sobą akt wypowiedzenia wojny Polsce, gdyby doszło do konfliktu z Krzyżakami. Za ten akt zresztą zakon słono zapłacił, co ponownie podkopało jego finanse, a do wojny potrzeba przecież trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Ścibor, prowadząc rozmowy w Polsce, zorientował się w sile wojsk polsko-litewskich, toteż przybywszy do Malborka, odradzał wielkiemu mistrzowi konfrontację. Na próżno jednak. Ulrich von Jungingen nie posłuchał głosu rozsądku. „Miał odpowiedzieć, że nic innego nie spodziewał się usłyszeć z ust Kujawianina rodem, który w interesie Polski doradza pokój, ale, który on, jako wielki mistrz, odrzuca" – pisał Prochaska.



Pieczęć Ścibora ze Ściborzyc

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/SZEGEDI LÁSZLÓ

Gdy do Malborka, w którym przebywał Ścibor, doszła wieść o klęsce pod Grunwaldem, w jego polskim otoczeniu wybuchła radość, której rycerze żywiołowo dawali wyraz. Ścibor rozkazał im jednak zachowanie powściągliwości, by nie drażnić Krzyżaków. Nieco później po powrocie na Węgry Ścibor dokonał dywersyjnego ataku na ziemię sądecką, paląc Stary Sącz. Była to jednak żadna pomoc dla Krzyżaków, a jedynie demonstracja. W 1412 r. Ścibor był jednym z negocjatorów i sygnatariuszy korzystnego dla Polski układu lubowelskiego Jagiełły z Zygmuntem Luksemburskim. Najważniejszym jego postanowieniem było zerwanie sojuszu Luksemburczyka z Krzyżakami.

Pod Grunwaldem

Dzięki znakomitemu dziejopisowi Janowi Długoszowi znamy wielu rycerzy, którzy za jego sprawą wybili się z anonimowego tłumu walczących. Marcin z Wrocimowic dzierżył chorągiew ziemi krakowskiej, najznaczniejszą, z orłem w koronie na czerwonym tle. Podczas bitwy pod Grunwaldem Krzyżacy usiłowali ją zdobyć. Chorągiew wypadła nawet z rąk Marcina z Wrocimowic, lecz szybko została podniesiona i obroniona. Długosz pisał: „Rycerze polscy pragnąc zetrzeć haniebną zniewagę, w najzawziętszy sposób atakują wrogów i rozbijają kompletnie, kładąc pokotem wszystkie te siły, które się z nimi starły".

Innym epizodem bitwy było zamieszanie w polskich szeregach, gdy część rycerzy, widząc w pewnym oddaleniu wojsko, uznała, że są to Litwini, a nie Krzyżacy, „ulegając ludzkiej słabości do spodziewania się czegoś lepszego" – jak pisał Długosz. Dobiesław z Oleśnicy, zwycięzca turnieju sprzed kilku lat, zorganizowanego podczas spotkania Jagiełły z Ulrichem von Jungingenem, by przeciąć te wahania i wątpliwości, popędził samotnie w stronę wroga i wdał się w pojedynek z Krzyżakiem, który wystąpił z szeregów. Wprawdzie w rezultacie Dobiesław musiał uciekać do swoich, ale pod wpływem tej konfrontacji – jak pisał Długosz

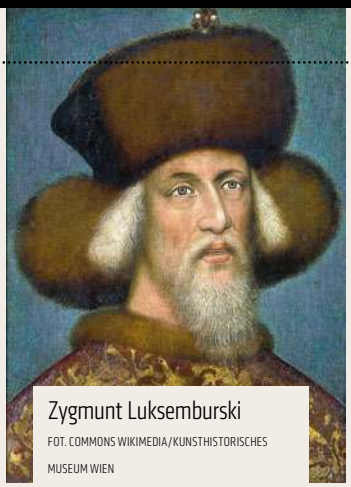
eprasa.pl 4ae40cb95d

– „oddziały polskie, wyzbywszy się wahania, które ich wstrzymywało, wieloma chorągwiami rzucają się na ustawionych w 16 chorągwiach wrogów".

W pewnym momencie niebezpieczeństwo zawisło nad królem Jagiełłą, który dowodził bitwą, ale nie brał w niej udziału. Krzyżacy zorientowali się, że towarzyszy mu dość nieliczny poczet rycerzy, ale król również zauważył niebezpieczeństwo i wysłał swego sekretarza, 21-letniego Zbigniewa Oleśnickiego, do najbliższych oddziałów z prośbą o pomoc. Rycerz Mikołaj Kiełbasa odparł jednak Oleśnickiemu ostro: „Nieszczęśniku, czy nie widzisz, że wrogowie nacierają? A ty zmuszasz nas, byśmy poniechawszy walki, która w tej chwili ma się zacząć, ratowali króla?". Wprawdzie Długosz w innym miejscu pisał, że król jest wart tysięcy wojowników, z czego można wnosić, że powinno się go chronić za wszelką cenę, ale zanotował też dalsze słowa Kiełbasy: „Czyż jest to co innego niż ucieczka z szeregów, podanie tyłów wrogowi oraz narażenie zarówno nas, jak i króla w razie załamania się naszych sił na oczywiste niebezpieczeństwo?".

Jednak i tak zawisło ono nad Jagiełłą. W stronę monarchy ruszył Dypold Kikierzyc z Łużyc (von Kökeritz). Król zdecydował się przyjąć pojedynek z Krzyżakiem. Nie wiadomo, jak on by się skończył, być może śmiercią Jagiełły i załamaniem się wojska polskiego i litewskiego, gdyby nie Zbigniew z Oleśnicy, który zaatakował Dypolda. „Bez zbroi i broni, mając tylko na wpół złamaną włócznię, ugodził go w bok i zwalił go z konia". Długosz pisał, że wdzięczny król chciał go wynagrodzić pasowaniem na rycerza. Młody sekretarz miał odpowiedzieć jednak, że „winien być wcielony nie do świeckiego wojska, ale do duchownego, że woli walczyć zawsze dla Chrystusa niż ziemskiego i śmiertelnego króla". Wtedy Jagiełło obiecał, że uczyni go kiedyś biskupem, co też się stało po 15 latach.

Być może słowa Zbigniewa Oleśnickiego są tylko legendą stworzoną przez Długosza, który w swoich kronikach pisze bardzo pochlebnie o nim. Nie wiadomo, czy Oleśnicki myślał już wtedy, pod Grunwaldem o karierze duchownej. Ale choć Jagiełło proponował mu w odruchu wdzięczności pas rycerski, to sekretarz



Zygmunt Luksemburski
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/KUNSTHISTORISCHES MUSEUM WIEN

króla nie mógł zostać rycerzem. Zaatakowanie z boku Krzyżaka pędzącego na pojedynek z królem, który przyjął wyzwanie, zostało bowiem potraktowane jako czyn haniebny, zabójstwo, niezależnie od tego, że być może Oleśnicki uratował życie Jagielle.

Napad na Jasną Górę

W kwietniu 1430 r. dokonano napadu na klasztor na Jasnej Górze. Odarto wówczas ze złotych ozdób obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, a jej wizerunek miał zostać uszkodzony. Jak pisał Długosz, wówczas i jeszcze długo później sądzono, że napad zorganizowali husyci, lecz według niego nie było to prawdą. Sprawcami byli polscy rycerze (Długosz nazywa ich szlachcicami), a motyw miał być rabunkowy. „Pewni szlachcice polscy,



Marcin z Wrocimowic. Fragment „Bitwy pod Grunwaldem" Jana Matejki FOT. WIKIPEDIA

którzy zbyt rozrzutnie roztrwonili swoje majątki po ojcach i mieli długi, przekonani, że klasztor częstochowski, czyli Jasna Góra, ma wielkie skarby i dużo pieniędzy [...], dobrawszy sobie rabusiów z Czech, Moraw i Śląska, w uroczystość Wielkiej Nocy, wspomniani szlachcie napadają na klasztor". Długosz wymienia nazwiska tych rycerzy: Jakub Nadobny z Rogowa i Jan Kuropatwa z Łańcuchowa, a także kniaź ruski Fryderyk, czyli Fedko Ostrogski.

Owszem, husyci rabowali kościoły katolickie na Śląsku, w Czechach i na Morawach, ale napad na Jasną Górę nie leżał w ich interesie, ponieważ zabiegali wówczas – bezskutecznie – o pomoc Polski. Nie ma też dowodów, że napad był prowokacją biskupa krakowskiego Zbigniewa Oleśnickiego lub biskupa wrocławskiego Konrada Oleśnickiego (na Śląsku toczył on ciężką walkę z husytami), mającą skłonić Jagiełłę do zbrojnego wystąpienia przeciw husytom. Skądinąd król początkowo uwierzył w wersję o husyckim napadzie, ale nie miało to żadnych politycznych konsekwencji.

Prawdą jest jednak, że w napadzie brali udział, oprócz polskich rycerzy Jakuba i Jana, Czesi, Morawianie i Ślązacy i prawie na pewno byli to husyci, niedziałający jednak z pobudek religijnych. Husytą był także kniaź Fedko Ostrogski, dowodzący własnym oddziałem. I to właśnie jego prof. Jacek Kowalski w książce „Średniowiecze. Obalanie mitów. Podręcznik bojowy" uważa za inspiratora napadu na Jasną Górę o charakterze rabunkowym. Tę hipotezę potwierdza łagodne potraktowanie przez króla Jakuba Nadobnego i Jana Kuropatwy, którzy byli więzieni dość krótko.

Czy blizny na wizerunku Matki Boskiej powstały podczas owego napadu? Przez wieki sądzono, że tak. Profesor Kowalski przytacza opinię z lat 80. ubiegłego wieku Anny Różyckiej-Brzyzek, która uważała, że blizny zostały celowo wyryte (zapewne dla upamiętnienia faktu profanacji obrazu) i nie powstały w 1430 r. A następnie podaje późniejszą opinię prof. Wojciecha Kurpika, według którego ktoś zadał obrazowi szerokie cięcia. I nie powstały one raczej podczas zdzierania ozdób, lecz były akcją obrazoburczą. A jeśli tak, to przy okazji rabunku mogli dokonać tego właśnie husyci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ae40cb95d



Walka rycerzy na tkaninie z Bayeux, XI w.

FOT. WIKIPEDIA/BAYEUX TAPESTRY MUSEUM

Pancerz, miecz i kopia / Średniowieczne „czołgi”

Rycerska ewolucja



Tymoteusz Pawłowski

Średniowieczny rycerz składał się z miecza, zbroi, konia i rycerza właściwego. Na przestrzeni tysiąca lat wszystkie te elementy się zmieniały i stawały coraz potężniejsze. Jednak wraz z nadejściem XVI–wiecznej rewolucji w sztuce wojennej rycerz nagle stracił całą swoją przewagę i stał się łatwym celem

Konie zostały udomowione ponad 5 tys. lat temu na stepach dzisiejszego Kazachstanu. W tym czasie były to niewielkie zwierzęta, nie większe od tarpanów czy kuców. Do jazdy wierzchem nadawały się słabo, jeszcze mniej do walki, chociażby z tego powodu, że wojownik wraz z uzbrojeniem i pancerzem ważył po prostu zbyt dużo. Dlatego też pojawiły się bojowe wozy konne, zwane dziś rydwanami. Był to rewolucyjny wynalazek, dzięki któremu ludy indoeuropejskie – a więc nasi przodkowie – opanowali pół świata. Rydwanów używali bohaterowie wojny trojańskiej, toczonej w XII w. p.n.e., później zaczęły jednak wychodzić z użycia i już w czasie wojen Greków z Persami walczono z końskich grzbietów.

Jednak zarówno w Grecji, jak i w Rzymie podstawą sił zbrojnych byli wciąż żołnierze piechoty. Konnica bywała użyteczna, ale z rzadka służyła do walki, częściej do zwiadu oraz do pościgu. Ten, kogo stać było na konia, mógł szybko stać się bogaczem, zbierając po prostu porzucony podczas ucieczki dobytek przegranych.

Konnica rzadko służyła do walki, przede wszystkim dlatego, że koni było niewiele, były więc one drogie i niechętnie ryzykowano ich zdrowie w zamieszaniu bitewnym. Istniał jednak jeszcze powód czysto techniczny: na koniach potrafiono jeździć, ale z walką było już gorzej. Brak było drobnych, zdawałoby się, udogodnień: właściwego siodła, wędzidła, ostróg czy strzemion. Każdy zadany cios mógł zakończyć się upadkiem z wierzchowca, każdy przyjęty cios również… Jednym z nielicznych wodzów starożytności, który kawalerią rozstrzygał bitwy, był Aleksander, ale nosił on przydomki Macedoński (czyli miał skąd czerpać konie) oraz Wielki (a więc potrafił rozwiązać nawet największe problemy).

Różne podaje się daty zakończenia starożytności i początku średniowiecza,

eprasa.pl 4ae40cb95d



Richard Marshal wysadza z siodła Baldwina Guisnesa, XIII w. FOT. WIKIPEDIA

ale wszystkie one związane są z koniem, a właściwie ze zmianą trybu walki z pieszej na konną. Doskonałą datą dzienną jest 9 sierpnia 378 r., gdy pod Adrianopolem Goci pokonali Rzymian. Była to na wiele stuleci ostatnia walna bitwa, w której jedna ze stron – ta przegrana – opierała swoją potęgę na piechocie. Przez kolejne tysiąc lat piechota była tylko tłem dla jazdy.

Ideologia i ekonomia

Wzrost roli jazdy związany jest z postępem technicznym, przede wszystkim skonstruowaniem siodła wraz z odpowiednimi akcesoriami. Siodło – które pojawiło się jeszcze w starożytności – potrzebne było jeźdźcowi, aby nie spadł z konia, a także koniowi, aby siedzenie jeźdźca nie pokaleczyło grzbietu. Równie ważne były strzemiona, bez których nie można było skutecznie walczyć. Strzemiona pozwalały uniknąć upadku, pozwalały również wznieść się do zadania ciosu mieczem lub włócznią, przede wszystkim jednak umożliwiały kierowanie koniem bez udziału rąk, które można było wykorzystać do trzymania broni i tarczy.

Przez stulecia uważano, że strzemiona pojawiły się wraz z barbarzyńcami, którzy podbili Rzym, dziś jednak wiemy, że historia ich rozwoju jest bardziej skomplikowana i dłuższa. Jak to często bywa, za autorów tego wynalazku uważają się niemal wszyscy: Arabowie, Chińczycy, Hindusi i – oczywiście – Pieczyngowie, będący swego czasu wcieleniem archetypicznego rosyjskiego wynalazcy samouka. Polacy też mogą być dumni, ponieważ strzemion jako pierwsi mogli używać nasi przodkowie – przynajmniej duchowi – czyli Sarmaci.

Gdy w Boże Narodzenie 800 r. Karol Wielki koronował się na cesarza, jego wojownicy jeździli na potężnych koniach, siedząc w siodłach o głębokich siedziskach i wysokich łękach, trzymając stopy w rozbudowanych strzemionach. Byli w stanie pokonać zarówno barbarzyńskich Sasów, jak i cywilizowanych Maurów. Jednak kilkadziesiąt lat po śmierci Karola Wielkiego rozpadło się również jego państwo: na zachodzie powstała Francja, a na wschodzie – Niemcy. Wówczas w obu językach pojawiło się słowo definiujące swoją epokę: „chevalier" od słowa „cheval", czyli koń, oraz „ritter" – od słowa „reiten", czyli jeździć.

Oba te słowa tłumaczy się na język polski jako „rycerz", czyli wojownik konny zobowiązany do służby swojemu panu. Nie ma co ukrywać: polskie słowo jest kalką z niemczyzny, należy jednak pamiętać, że mogło być gorzej, tak jak u Anglików, u których „knight" (ang. rycerz) również pochodzi z niemieckiego. „Knecht" w języku Goethego i Goebbelsa oznacza jednak sługę, a przecież podobno lepiej być rycerzem niż sługą.

Tak naprawdę nie ma większej różnicy, ponieważ słowo „knight" przypomina, że rycerz był sługą swojego monarchy, tak samo jak monarcha był sługą swoich poddanych. Jedynym jego zadaniem było zapewnienie im bezpieczeństwa. Czynił to z pomocą duchownych, którzy dbali o bezpieczeństwo duchowe, oraz rycerzy, którzy dbali o bezpieczeństwo fizyczne.



Polski herb Strzemię FOT. COMMONS WIKIMEDIA/BASTIAN

Chłopi natomiast byli zobowiązani łożyć na utrzymanie duchownych i rycerzy, więc ciężko na ich rzecz pracowali, podobnie jak – bardzo nieliczni w tamtych czasach – mieszczanie. Ten system wzajemnych powiązań – zarówno finansowych, jak i honorowych – określa się jako feudalizm.

Duchowni się bogacili, a rycerze trwonili majątek. Musieli dysponować kilkoma końmi – najdroższym był destrier, potężne zwierzę służące tylko do boju, kosztujące tyle, ile dziś kosztuje supersamochód. Do przemieszczania się służył podjezdek, mniejszy, wygodniejszy, tańszy w utrzymaniu, ale i tak kosztujący tyle, co współczesny samochód z wyższej półki. Dobrze było też mieć couriera, czyli szybkiego i zwinnego wierzchowca potrzebnego w razie ucieczki, no i parę koni ciągnących wóz – albo wozy – z zapasami. Do obsługi potrzebnych było również kilku lub kilkunastu ludzi, z których część można było wsadzić na podjezdki i użyć do walki, a część zostawała w obozie i pilnowała dobytku.

Pancerz

Z dobytku najcenniejsza była zbroja. Oczywiście pancerz z czasów cesarza Karola Wielkiego różni się dość mocno od pancerza z czasów króla Kazimierza Wielkiego. W IX w. najczęściej przybierał on formę metalowych łusek przymocowanych do skórzanego kaftana. Liczba, wielkość i sposób ich mocowania zmieniały się w czasie. Wszystko też zależało od zamożności rycerza i położenia geograficznego jego ojczyzny. Istnieją więc różnego rodzaju zbroje łuskowe, lamelkowe, bechtery, brygantyny i kolczugi. Te ostatnie – wykonane z niewielkich żelaznych kółek łączonych nitami – były szczególnie popularne w od IX do XIV w.

W XV w. marzeniem każdego rycerza stała się zbroja płytowa, wykonana – jak sama nazwa wskazuje – z odpowiednio wygiętych płyt żelaznych lub stalowych, okrywająca całe ciało: od stóp do głów. Zbroja taka potrafiła ważyć i 30 kg, ale między bajki trzeba włożyć opowieści o tym, że z powodu jej masy rycerzy

eprasa.pl 4ae40cb95d

wsadzano na koń za pomocą dźwigów. Zbroje były wykonywane tak, aby zapewnić rycerzowi pełną swobodę ruchów, można było w nich nie tylko walczyć, lecz także skakać i biegać. Tak samo zresztą jak w oporządzeniu współczesnych żołnierzy, ważącym tyle samo co średniowieczna zbroja lub nawet więcej.

Niewygoda noszenia zbroi polegała na czymś innym. Nie chodzi bynajmniej o niemożliwość skorzystania z toalety – „strategiczne" elementy zdejmowały się łatwo i szybko – tylko o... strefę zgniotu. Płyty pancerne osłaniały przed ostrzem, ale uderzenie musiało być zamortyzowane. Pod pancerz zakładano więc różnego rodzaju waciaki, pikowane przeszywanice oraz grube kożuchy – i to niezależnie od pogody. Gdy pod Grunwaldem Władysław Jagiełło zwlekał z ruszeniem do boju, doskonale wiedział, co robi: jego rycerze stali w cieniu, rycerze krzyżacy dosłownie smażyli się w lipcowym słońcu.

Zbroje były bogato ornamentowane, rycerze nosili również kolorowe płaszcze i tarcze zdobione herbami. Była to nie tylko kwestia estetyki, lecz także czystej użyteczności. Płaszcz ochraniał metal przed rdzą oraz rycerza przed ostrzelaniem przez własne wojska. Bogactwo ornamentu miało również jeszcze jedną funkcję: dawało znać stronie przeciwnej, że pod pancerzem kryje się możny rycerz, którego nie opłaca się zabijać, tylko wziąć do niewoli.

Uzbrojenie

Podobnie jak pancerze na przestrzeni stuleci zmieniało się także uzbrojenie – zarówno to używane przez rycerzy, jak i przeciwko nim. Powszechnym elementem uzbrojenia była tarcza, wykonywana najczęściej z drewnianych desek wzmocnionych metalowymi elementami. Piechota nosiła z reguły tarcze prostokątne lub okrągłe. Rycerstwo natomiast wolało używać tarcz dłuższych, najpierw owalnych, później migdałowatych, znanych doskonale z tkaniny z Bayeux ilustrującej podbój Anglii przez Wilhelma Zdobywcę w 1066 r. Chodziło o to, aby wydłużony dół tarczy chronił również uda rycerza. Pewien ślad tamtych lat możemy odnaleźć w kształcie współczesnych tarcz herbowych, chociażby w herbie Rzeczypospolitej, która jest tarczą rycerza, a nie piechura.

Podstawowym uzbrojeniem w średniowieczu była włócznia. Ta używana przez piechurów miała nieco ponad dwa metry długości – dłuższą trudno było manewrować w bitewnym ścisku. Włócznia rycerska była z reguły nieco dłuższa, ponieważ rycerze walczyli w nieco luźniejszym szyku i znajdowali się wyżej nad ziemią, nie musieli więc martwić się, że zahaczą o nią podczas wykonywania ciosów lub zasłon. I to była najważniejsza zaleta rycerstwa – posiadanie broni o większym zasięgu niż piechota i możliwość zadania ciosu z przewagą wysokości. W wielu sytuacjach rycerze mogli niemal bezkarnie atakować piechotę, często zdarzało się, że piesze oddziały rozsypywały się na sam widok nielicznych nawet jeźdźców.

Wyścig zbrojeń sprawił, że pojawiały się coraz dłuższe włócznie. W jeździe przybrały one kształt kopii długich nawet na sześć metrów. W piechocie były to piki, dłuższe nawet od kopii, ale trudniejsze w użyciu: rycerską kopię można było obsługiwać jedną ręką, a do piki trzeba było obu. Co więcej, oddział rycerzy uzbrojonych w kopie mógł wykonywać szybkie i skomplikowane manewry, a oddział pikinierów poruszał się z prędkością dryfu kontynentalnego.

Podstawowym uzbrojeniem była włócznia, ale w niektórych sytuacjach lepiej było użyć czegoś mniejszego. Najczęstszym wyborem rycerzy był topór – tani, prosty w użyciu i doskonale nadający się do walki zarówno z przeciwnikiem nieopancerzonym, jak i opancerzonym (oraz do prac w obozie). Wbrew pozorom miecze były mniej popularne, jako droższe i wymagające perfekcyjnego wyszkolenia: nie tak łatwo jest przebić się mieczem przez zbroję płytową wroga. Miecz jednak stał się symbolem rycerstwa, właśnie z powodu swojej ceny, niepraktyczności i elitarności.



Zbroja późnośredniowieczna

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/RAMA

Piechurzy wykorzystywali do walki przeciwko rycerzom niemal wszystko – nie tylko włócznie i piki, lecz także cepy, topory i noże. Najskuteczniejszą bronią okazała się jednak halabarda. Było to połączenie włóczni (do nadziania przeciwnika, jeśliby próbował szarży na wprost), haka (do ściągania rycerza z konia) oraz topora (do ucięcia głowy obalonego rycerza). Halabarda jednak pojawiła się na polu walki dość późno, gdy rycerze tracili już powoli swoją rację bytu.

Broń palna

Za koniec średniowiecza uchodzą upadek Konstantynopola w 1453 r., odkrycie Ameryki w 1492 r. czy wystąpienie Marcina Lutra w 1517 r. Każda z tych dat związana jest z upowszechnieniem się broni palnej: Turcy przebili się przez mury Konstantynopola dzięki armatom, Ameryka została opanowana dzięki arkebuzom i dzięki nim protestanci wygrali wojny religijne.

Rycerze byli praktycznie niepokonani w walce wręcz, ich głównym wrogiem była broń dystansowa. Szkolenie łucznika było długie i kosztowne, więc trudno było zgromadzić armię łuczników zdolną pokonać armię rycerzy – udało się to chyba jedynie Anglikom w czasie wojny stuletniej. Większym zagrożeniem byli kusznicy – ich szkolenie było tanie i krótkie. To właśnie dlatego kusznicy byli znienawidzeni przez rycerzy i wyklęci przez Kościół – ich istnienie naruszało same podstawy feudalnego porządku społecznego.

Postępu jednak nie da się zatrzymać, tak jak nie dało się zatrzymać rozwoju broni palnej. Strzała z łuku lub bełt z kuszy mogły zranić rycerza, ale częściej odbijały się od tarczy czy pancerza. Kula z arkebuza przebijała najgrubszy nawet pancerz. Wystarczył jeden strzał i nie było już rycerza... Proch oznaczał koniec średniowiecza, a więc i koniec rycerstwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ae40cb95d



FOT. ALEKSANDER BARTECKI

To była nasza kopalnia...

Historia kopalni to nie tylko dzieje techniki, statystyki wydobycia, lecz także codzienność jej pracowników. Na przestrzeni lat wielkość załogi kopalni „Katowice” („Ferdynand”) zmieniała się w zależności od postępu wdrażania nowych instalacji oraz panującej koniunktury gospodarczej. W szczytowych momentach bogucicka brać górnicza liczyła nieco ponad 4 tys. osób. W ramach wystawy „200 lat kopalni »Katowice«. Nasza kopalnia” chcieliśmy także oddać głos kilku pokoleniom górników związanych z tym zakładem. W trakcie przygotowań znaleźliśmy różne sposoby, aby umożliwić zwiedzającym kontakt z prawdziwymi wypowiedziami pracowników kopalni „Katowice” („Ferdynand”).

Odnośnie do lat przed drugą wojną światową bardzo pomocne okazały się kwerendy prasy lokalnej. Górnicy bardzo rzadko pisali wspomnienia i pamiętniki, jednak często dzielili się swoimi spostrzeżeniami za pośrednictwem gazet. Stąd mamy m.in. informację o występie orkiestry górniczej z 1897 r. czy przebiegu uroczystości barbórkowych w 1876 r. Bardzo często pojawiały się także skargi na warunki pracy w zakładzie. W 1912 r. członek załogi „Ferdynanda” donosił: „Z naszej kopalni żadnych skarg w gazetach nie słychać, jak gdybyśmy tu mieli raj. A tak nie jest […]. Na naszej kopalni Ferdynand są wysokie pokłady i praca niebezpieczna. Często wywiozą górnika z potłuczonemi kościami i na pół zabitego […]”. Kilka przykładów tego typu wypowiedzi zostało umieszczonych w przestrzeni wystawy.

Parę lat temu Muzeum Śląskie w Katowicach prowadziło projekt związany z dokumentowaniem historii mówionej, którego celem było gromadzenie wypowiedzi górników z naszego zakładu. Ich słowa miały umożliwić lepsze poznanie historii miejsca, w którym funkcjonuje Muzeum, oraz specyfiki górniczej Bogucic, jednej z dzielnic Katowic. Pośród eksponatów można odnaleźć fragmenty tych nagrań. Zawarte są w nich wspomnienia atmosfery towarzyszącej pracy oraz świętowaniu uroczystości branżowych. Jeden z rozmówców zwraca uwagę na odpowiedzialność ciążącą na załodze prowadzącej wydobycie pod centrum stolicy województwa, inny przypomina postać kobiety sztygara dbającego o bezpieczeństwo górników. Wśród wypowiedzi podjęte zostały także tematy trudne, jak historia wypadku zbiorowego z 28 grudnia 1982 r. oraz okoliczności zamknięcia kopalni.

Dodatkowo w ramach wydarzeń towarzyszących wystawie organizowane będą specjalne oprowadzania z udziałem dawnych pracowników kopalni „Katowice”. Reprezentują oni różne odcinki pracy czy zajmowany poziom w hierarchii służbowej. Inaczej wydobycie wyglądało z perspektywy służb wentylacyjnych czy elektryka, a jeszcze inaczej widzieli je górnicy pracujący bezpośrednio na ścianach wydobywczych. Każdy z nich tworzy przed zwiedzającymi własny obraz kopalni, zwraca uwagę na bliskie mu eksponaty, zwyczaje i współpracowników, uzupełniając dla nas barwną mozaikę działającej kopalni. Osoby te nie są przewodnikami, często pierwszy raz wystąpią w swojej roli, jednak wszystkich łączy sentyment do zlikwidowanej 24 lata temu kopalni.

Wystawa potrwa do 30 czerwca 2024 r. Kurator wystawy: dr Piotr Rygus.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 4ae40cb95d



Król Artur, rycerze Okrągłego Stołu i Święty Graal FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GALLICA

Wywiad / Z prof. Jackiem Kowalskim, autorem książki „Średniowiecze. Obalanie mitów”



rozmawia Piotr Włoczyk

Śladami Lancelota

/ – Kultura rycerska poczęła rozkwitać u nas na dobre dopiero za panowania Kazimierza Wielkiego, osiągając swoje apogeum na przełomie wieków XIV i XV. Nasi rycerze wędrowali wówczas po europejskich dworach i brali tam chwalebny udział w turniejach, a wizerunki polskich herbów znalazły się w zachodnich herbarzach – mówi prof. Jacek Kowalski

PIOTR WŁOCZYK: Czy Henryk II miał wyjątkowego pecha czy może jednak od początku nietrudno było przewidzieć, jak taka zabawa może się skończyć dla króla Francji?

PROF. JACEK KOWALSKI: Miał pecha. W jego czasach – a mówimy tu o turnieju odbywającym się w Paryżu w roku 1559 – turnieje nie łączyły się już z wielkim ryzykiem. Przywdziewano na taką okazję specjalną zbroję, szczególnie bezpieczną, ale zdatną wyłącznie do gonitwy w szrankach, bo ograniczała mocno widoczność i swobodę ruchu. Galopujący ku sobie przeciwnicy oddzieleni byli płotem. Niestety, traf chciał, że drzazga ze złamanej kopii przeszła przez wąski otwór przyłbicy, przebiła oko i utkwiła w królewskim mózgu. Śmiertelnie ranny monarcha wkrótce zmarł. Był to jednak przypadek wyjątkowy. Natomiast pięć wieków wcześniej, w stuleciu XI, u progu turniejowych dziejów, ryzyko śmierci było niepomiernie większe. Nie znano wtedy jeszcze turnieju w wersji „jeden na jeden”. Dwie gromady zawodników uderzały na siebie wzajemnie i staczały regularną bitwę, tworząc gęstwę walczących, tzw. mêlée.

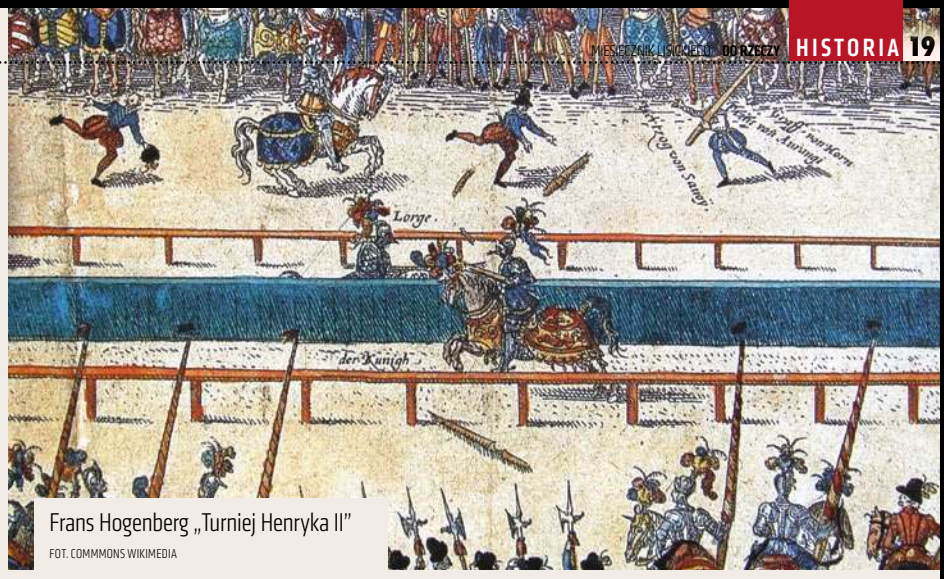
Zaczęło się od ćwiczenia rycerskiej sprawności?

Niewątpliwie takie były praźródła turnieju. W średniowieczu wczesnym i dojrzałym pojedynczy rycerz był odpowiednikiem czołgu, potężną siłą bojową, i musiał utrzymywać odpowiednią formę. Niemniej turnieje przekroczyły granice zwykłych ćwiczeń. Były zarówno rycerskim świętem, jak i widowiskiem i interesem. Zjeżdżała się ciżba widzów, szedł handel, a w samej walce też chodziło o finanse. Rycerz uczestniczący w turnieju nie zamierzał nikogo zabijać, chciał tylko pokonać przeciwnika i zagarnąć jego konia i zbroję – niezwykle cenne łupy. Bywali rycerze, którzy na turniejach zbili wielki majątek. Niestety, nader często zdarzały się wypadki śmiertelne, dlatego sobory XII i XIII w. zakazywały turniejowych gonitw, a tym, którzy na turnieju stracili życie, odmawiały prawa do chrześcijańskiego pochówku.

Kościół traktował ich jak samobójców?

Tak jakby. Ale oficjalne stanowisko hierarchii nijak nie zaważyło na praktyce. Tym bardziej że rozkwit turniejów szedł w parze z pojawieniem się idei rycerskiej…

eprasa.pl 4ae40cb95d



Frans Hogenberg „Turniej Henryka II"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

... no właśnie. Mówimy o walce, która wysuwa się na pierwsze miejsce, ale to tylko jedna strona rycerskiego „medalu"...

Wcześniej wojownik mógł być pobożny i waleczny, lecz zajęcie wymagające zabijania jawiło się jako z natury grzeszne, a co najmniej podejrzane – oczywiście w oczach intelektualnej elity, czyli wykształconych duchownych. To zmienia się radykalnie od końca XI stulecia, gdy średniowiecze wchodzi w swój wiek pełni. Ważnym sygnałem tej zmiany były pierwsza krucjata i misja, którą w roku 1095 papież powierzył grzesznym wojownikom. Mówił wówczas wyraźnie, że ci wszyscy niegodni ludzie, którzy zabijają bliźnich, mają szansę na zbawienie, jeżeli użyją broni w sposób chwalebny – broniąc Kościoła na wschodzie. Wkrótce potem św. Bernard z Clairvaux stworzył ideał „Rycerza Chrystusowego" – „Miles Christi". Wziął w ten sposób udział w powstaniu zakonu templariuszy, orężnego ramienia królów Jerozolimy. Czy ideał ten miał więcej zalet czy wad – to już temat na oddzielną dyskusję. Sama idea rycerska wykształciła się w pełni w następnych dekadach, co ciekawe – równolegle z ewolucją całej kultury Zachodu, która ujrzała wówczas powstanie gotyku, rozkwit scholastyki, kultury dwornej i wspaniałej literatury w językach narodowych. Otóż odtąd godność rycerza, pod pewnymi względami przynajmniej, przewyższała wszystkie inne. Nawet król nie mógł być dobrym monarchą, jeśli nie był dobrym rycerzem. A dobry rycerz nie musiał być wcale zamożny, winien jedynie pilnować rycerskich cnót. Taką godność rycerską głoszą powieści arturiańskie, których bohaterowie biją się na turniejach, czczą dworne damy i nikt ich z tego tytułu nie potępia. Mało tego, wkrótce pojawiła się powieściowa fikcja o poszukiwaniu Świętego Graala, a wraz z nią – idea „rycerstwa niebieskiego". Oto u końca XII w. pod piórem Chrétiena de Troyes powstaje „Opowieść o Graalu", czyli o naczyniu nazwanym niedługo potem Świętym Graalem. Jest to kielich, do którego Józef z Arymatei zebrać miał krew spływającą z ran ukrzyżowanego Chrystusa. Najwznioślejszym przeznaczeniem stanu rycerskiego miałoby być – oczywiście, podkreślam, tylko wedle literackiej fikcji – odnalezienie tej relikwii, przechowywanej w niedostępnym Zamku Graala. Czynu tego dokonać mógł jedynie rycerz idealny, bez skazy.

Skąd wzorce rycerskości trafiły do Polski?

Obyczaj rycerski narodził się we Francji, ale bardzo szybko zapanował w całej zachodniej Europie. Do nas trafiał przez Niemcy i przez Czechy. Źródłem polskiego słowa „rycerz" i czeskiego „rytíř" było oczywiście niemieckie „ritter". Przy czym Czechy odegrały dla nas rolę szczególną, nie tylko z racji podobieństwa naszych języków (które w średniowieczu były sobie znacznie bliższe niż dziś). Pamiętajmy, że Królestwo Czech w wieku XIV to mocarstwo, a Praga to ośrodek kultury i sztuki o europejskim znaczeniu. Liczne z najstarszych wierszy polskich są przeróbkami wcześniejszych utworów czeskich, a do XVI stulecia znajomość czeszczyzny była pośród Polaków znakiem towarzyskiej ogłady.



Polskie herby w „Herbarzu Złotego Runa"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GALLICA

Kiedy Polacy weszli do rycerskiej elity Zachodu?

Turnieje urządzano u nas już w wieku XIII, a imiona, nadawane wówczas polskim rycerzom, świadczą o znajomości rycerskich pieśni i powieści (pytanie, w jakich wersjach językowych...). Wtedy też z wolna zaczęły się u nas pojawiać herby. Ale kultura rycerska poczęła rozkwitać na dobre dopiero za panowania Kazimierza Wielkiego, osiągając swoje apogeum na przełomie wieków XIV i XV. Nasi rycerze wędrowali wówczas po europejskich dworach i brali tam chwalebny udział w turniejach, a wizerunki polskich herbów znalazły się w zachodnich herbarzach, np. w słynnym Herbarzu Złotego Runa. Po bitwie pod Grunwaldem i po soborze w Konstancji (na którym świetnie wystąpiła polska delegacja z Zawiszą Czarnym) doszło do przemiany świadomości Zachodu. Monarchia Jagiellonów jawiła się odtąd jako mocarstwo, a nawet – można rzec – bajkowe królestwo wschodu i byliśmy nim aż do momentu, gdy na przełomie wieków XVII i XVIII rolę tę przejęła Rosja. Bezpośrednim skutkiem wspomnianej przemiany było to, że niemal z dnia na dzień stopniał zastęp krzyżackich „gości" przybywających do Prus, aby walczyć z „Saracenami".

Czy istniał jakiś jeden, ustandaryzowany kodeks rycerski?

Nie, żadne oficjalne „prawo rycerskie" nie obowiązywało. Natomiast

eprasa.pl 4ae40cb95d

w literaturze pięknej i, szerzej, w całym średniowiecznym piśmiennictwie zasady obyczaju rycerskiego formułowano wielokrotnie, w różnych wersjach. W XIII-wiecznej powieści o Lancelocie czytamy np., że „rycerz powołany został do obrony Świętego Kościoła", że „winien być sługą Naszego Pana i Jego ludu", a ostrze jego miecza „winno uderzać w tych, którzy są wrogami Pana naszego i skazicielami Jego Świętej Wiary" oraz „w złodziei i morderców". Tłumaczyłem kiedyś poetycki „Brewiarz szlachetnych" – XV-wieczny cykl ballad Alaina Chartiera, który, choć mieszczanin z pochodzenia, zyskał sławę jako poeta miłości dwornej i rycerskich ideałów. Poszczególne ballady poświęcił cnotom rycerskim. Pisał, że „stan szlachetny stworzony przez Boga, / Aby strzec wiary i sprawiedliwości" oraz by „służyć królowi i bronić poddanych", a podstawowe rycerskie cnoty to, wedle niego, wiara, wierność, honor, prawość, męstwo, miłość, dworność, pilność, czystość, hojność, wstrzemięźliwość i wytrwałość. Jak widzimy, obok cnót związanych z walką kodeks rycerski obejmował kanon pobożności i dwornej ogłady.

Żaden szanujący się rycerz nie mógł obyć się bez damy, której wiernie służył...

Rycerz i jego dama to dwie strony jednego, dwornego świata. Dama jako postać ważna wkracza do historii rycerstwa w pierwszej połowie XII w., a wraz z nią owa wspomniana wyżej konieczność ogłady, umiejętność eleganckiego współżycia z płcią piękną. Stąd też do kanonu cech idealnego rycerza



Stanisław Samostrzelnik „Pasowanie na rycerza" FOT. BIBLIOTEKA PAN W KÓRNIKU

WWW.DORZECZY.PL



JACEK KOWALSKI
„ŚREDNIOWIECZE. OBALANIE MITÓW"
FRONDA



JACEK KOWALSKI
„KRÓL, POETA, RYCERZ BOŻY. TYBALD, HRABIA SZAMPANII"
DĘBOGÓRA

doszła, przynajmniej we Francji, sztuka składania wierszy i pieśni – z reguły miłosnych. Dworne hobby przekształcało się niekiedy w twórczość wysokiego lotu, jak w przypadku trubadurów rycerzy, truwera Tybalda, hrabiego Szampanii, czy Karola, księcia Orleanu – najwybitniejszych poetów średniowiecznej Francji. W tym miejscu wypada też wspomnieć przerabiany w liceum (chyba wciąż jeszcze?) polski wiersz „O zachowaniu się przy stole", który nie jest niczym innym, jak kodeksem dwornego rycerza. Jego autorem był najpewniej Przecław Słota z Gosławic, przebywający na poznańskim dworze starosty Tomka z Węgleszyna.

W Hollywood rycerze są wierni słowu, dbają o panny, bronią sierot i wdów...

... ale i tam pojawiają się rycerskie czarne charaktery. Taki jest wymóg filmowej fikcji, ale taki też jest świat średniowiecznych powieści rycerskich. Ich bohaterowie niejednokrotnie mają problemy z praktykowaniem rycerskich cnót. I to nawet najsławniejsi z nich – jak Lancelot, Gowen, Persewal. Lancelot dzierży tu swoistą palmę pierwszeństwa, bo przyprawił rogi królowi Arturowi! Niewierności i cudzołóstwa w tym świecie pełno... I nie wiemy oczywiście, na ile literatura odzwierciedlała rzeczywistość, ale wiadomo, że fikcja z codziennością często się zazębia i że literatura zarówno wpływa na życie, jak i sama czerpie z niego garściami. A historia rycerstwa, w przeciwieństwie do rycerskiej idei, różowa przecież nie była.

No właśnie, czy prawdziwy rycerz faktycznie nigdy się nie cofał?

W XII-wiecznej pieśni „Aliscans" widzimy rycerza Wiwiana, który ślubował, że nigdy nie cofnie się przed niewiernymi. Jednak śmiertelnie ranny – gdy cofnął się w boju zaledwie o długość włóczni – popadł w wątpliwość, czy będzie zbawiony, skoro złamał przysięgę. To – rzecz jasna – literacka wizja, świadomie przerysowana, ale też kreśląca pojęcie silnie obecne w rycerskiej świadomości. Zwłaszcza na ostatnim etapie istnienia rycerskiej jazdy, w stuleciach XIV i XV, kiedy jej wojenna przydatność się zmieniała – realizowanie takich zasad stało się przyczyną wielu klęsk (porażki Francuzów pod Crécy, Poitiers, Azincourt).

Kiedy pojawił się zwyczaj pasowania na rycerza?

W drugiej połowie wieku XI. Wiemy, że Władysław Herman pasował obu swoich synów, Zbigniewa i Bolesława. Bolesław Krzywousty uczyniony został rycerzem w Płocku, w święto Wniebowzięcia Matki Bożej, 15 sierpnia 1100 r. Przy czym zwyczaj ten z pewnością długo jeszcze nie był u nas powszechny. Dodajmy bowiem, że pasowanie to osobny zaszczyt i szczególna ceremonia, której nie wszyscy szlachcice dostępowali. Miało zwykle oprawę religijną (choć, uwaga, pasowania nigdy nie uważano za sakrament). Wedle jednego z wariantów młodzieniec, po nocy czuwania w kościele, otrzymywał broń z rąk rycerza lub kapłana, a ten ostatni odmawiał błogosławieństwo nad każdą częścią uzbrojenia. Potem inni rycerze przypinali młodzieńcowi ostrogi i wręczali kopię z proporcem – a ceremonię wieńczył symboliczny policzek lub, w późniejszych stuleciach, uderzenie płazem miecza po ramieniu – ostatnia zniewaga, jaką nowo pasowany miał znieść bez skalania swego honoru. Na pewno zdarzały się też ceremonie krótsze. Istniał wszak również zwyczaj grupowego pasowania młodzieży przed bitwą – tak uczynił Jagiełło pod Grunwaldem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Jacek Kowalski
jest wykładowcą Zakładu Historii Sztuki Średniowiecznej UAM, znawcą literatury starofrancuskiej, bardem, autorem książki „Średniowiecze. Obalanie mitów".

eprasa.pl 4ae40cb95d

Muzeum Getta Warszawskiego
www.1943.pl

Premiera książki



PRZEWODNIK
PO DAWNYM GETCIE WARSZAWSKIM

www.sklep.1943.pl

eprasa.pl 4ae40cb95d



Jakub Ostromęcki

Nasze zamki nie miały jedynie bronić granic. Były również ośrodkami kolonizacji, a to znaczy, że miały być bezpiecznym i wygodnym gniazdem dla króla, księcia, jego rodziny, urzędników lub – co stało się częste w XIV w. – dla prywatnych właścicieli, czyli rycerzy i biskupów



Obrona Głogowa FOT. BIKOP.EU/MARIA ŁOPATKIEWICZ

W obecnych polskich granicach do XIII w. nie było zamków, lecz grody. Różnica jest powszechnie znana. Gród otoczony był pochyłym, misternej konstrukcji wałem zbudowanym z drewna, ziemi i nieobrobionych kamieni. Był odporny na uderzenia taranów, a jeśli oblepiono go gliną – to również na ogień. To właśnie w grodach rozegrały się dwa najsłynniejsze oblężenia w historii Polski średniowiecznej. Mowa o obronie Niemczy w 1017 r. i Głogowa w 1109 r.

Niemcza była grodem dość oryginalnym. W zasadzie były to trzy grody zbudowane na jednym wzgórzu, w razie potrzeby mogące pomagać sobie nawzajem. W tej epoce w Polsce nie było jeszcze rycerzy – czyli wojowników mających osobne prawa, obyczaje, dzierżących prywatne lub feudalne dobra. Elitą wojska byli zawodowi drużynnicy na utrzymaniu księcia, wyposażeni jednak w podobny sposób jak zachodnioeuropejskie rycerstwo.

Atakujący Polskę Henryk II najpierw próbował wziąć Niemczę z marszu. Gdy to się nie udało, zaczął budować trebusze oraz wieże oblężnicze. Chrobry kategorycznie zakazał załodze bluzgać i złorzeczyć napastnikom, którzy widząc milczący gród, uznali jego obrońców za zimnokrwistych profesjonalistów. Niekontrolowane wrzaski mogły poza tym łatwo spowodować wewnątrz grodu panikę.

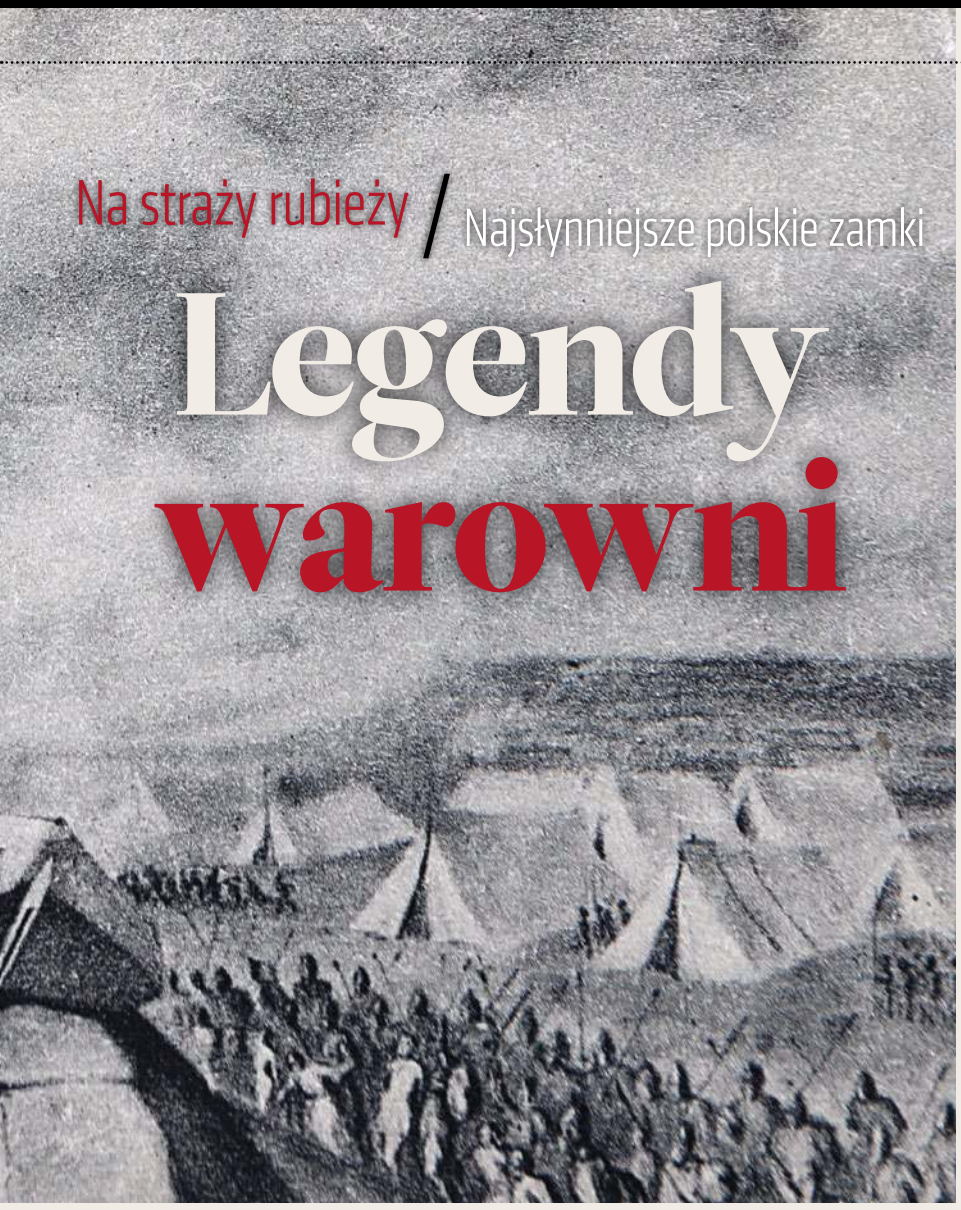
Po trzech tygodniach przygotowań cesarz dał rozkaz do drugiego szturmu. Wieże mogły podjechać pod gród tylko od południa i tu walki były najkrwawsze. Obrońcy rzucali z wałów faszynę i podpalali ją, od czego zajęła się większość cesarskich wież. W drugiej fali ruszyli na gród lennicy cesarstwa – Czesi. Za pomocą drabin wdarli się na wał, jednak zostali odparci. Po nich szczęścia spróbowali pogańscy Wieleci zachęceni przez cesarza wizją bogatych łupów, ale i oni nie dali rady. Na wałach Niemczy obrońcy wystawili wtedy gigantyczny krzyż, będący przepowiednią i niemym wyrzutem wobec cesarza: „Trzymasz z poganami i dlatego przegrasz!". Henryk wojnę rzeczywiście przegrał, czego skutkiem był korzystny dla nas pokój w Budziszynie.

Oblężenie Głogowa podczas inwazji Henryka V miało bardzo podobny przebieg, z tą różnicą, że cesarska jazda nieomal wzięła gród z zaskoczenia, wpadając do podgrodzia i siekąc odpoczywających tam polskich wojów. Trzystu obrońców zdołało jednak zawrzeć wrota grodu i przez kilka tygodni bronić się w środku przed cesarskimi hufcami. Po kilkuset latach oblężenie Głogowa stało się powodem do kpin z pewnego znanego

eprasa.pl 4ae40cb95d

Na straży rubieży / Najsłynniejsze polskie zamki

Legendy warowni



polskiego aktora, który raczył stwierdzić, że pod Cedynią Polacy wiązali niemieckie dzieci do machin oblężniczych. Nie pod Cedynią, ale właśnie pod Głogowem, i nie Polacy niemieckie, ale Niemcy polskie. Rzeczone dzieci to synowie głogowskich drużynników oddani jako zakładnicy Niemcom w czasie, gdy polska załoga słała gońców do Krzywoustego z pytaniem, czy pozwoli poddać Głogów. Krzywousty, grożąc potencjalnym defetystom wyrafinowanymi mękami, kazał gród bronić do upadłego.

Cesarz, gdy tylko się o tym dowiedział, ani myślał wypuścić zakładników. Obrońcy jednak, wiedząc, jak perfidny i okrutny potrafi być ich książę, zaczęli łupać z kusz, łuków i trebuszy w niemieckie machiny oblężnicze, nie zważając na żywe tarcze. Nie wiemy, ilu zakładników przeżyło jatkę. Gród jednak się obronił.

Od grodu do zamku

Skoro nasze grody były tak znakomite, to dlaczego w XIV w. ustąpiły ostatecznie zamkom budowanym z kamienia i cegły? Otóż wał wytrzymywał znakomicie uderzenia taranów i był odporny na ogień, ale wieża bramna czy zabudowania wewnątrz wałów, zbudowane całkowicie z drewna, łatwo się zapalały. Na zamku wszystkie najważniejsze konstrukcje obronne są dużo bardziej odporne na ogień. Ponadto na zamku odpowiednio solidna ściana domu mieszkalnego może służyć jednocześnie jako mur. Nie da się jednak mieszkać wewnątrz ziemnego wału. Gród można wznieść w środku puszczy. Na skale – raczej nie. Tymczasem XIII- i XIV-wieczni fundatorzy zamków chcieli wykorzystać dodatkowe walory obronne w postaci wzgórz i skał – najlepszym tego przykładem jest Zamek Chojnik koło Jeleniej Góry czy Chęciny koło Kielc.

Nasze zamki nie miały jedynie bronić granic. Były również ośrodkami kolonizacji, a to znaczy, że miały być bezpiecznym i wygodnym gniazdem dla króla, księcia, jego rodziny, urzędników lub – co stało się częste w XIV w. – dla prywatnych właścicieli, czyli rycerzy i biskupów. Oprócz wygodnego dormitorium musiały mieć przestronną kaplicę, salę, gdzie mnożna sprawować sądy, suche i odporne na ogień pomieszczenie kancelaryjne, magazyn wszelakich dóbr dostarczanych przez miejscowych chłopów i oczywiście loch, z reguły mieszczący się w najniższych kondygnacjach donżonu. Gród, w którym umocnienia stanowiły nieraz nawet dwie trzecie powierzchni zabudowanej, do tego się nie nadawał.

Na południu Polski przeważają tzw. zamki nieregularne, zbudowane na naturalnych wzniesieniach, z wydobywanego w pobliżu kamienia. W Polsce Centralnej i na północy budowano zamki o regularnej konstrukcji, przeważnie z cegły. Po 1466 r. weszliśmy w posiadanie znacznej liczby krzyżackich zamków konwentualnych zbudowanych na planie kwadratu, z wypiętrzonym, monumentalnym domem zakonnym, mieszczącym pośrodku przestronny dziedziniec z krużgankami.

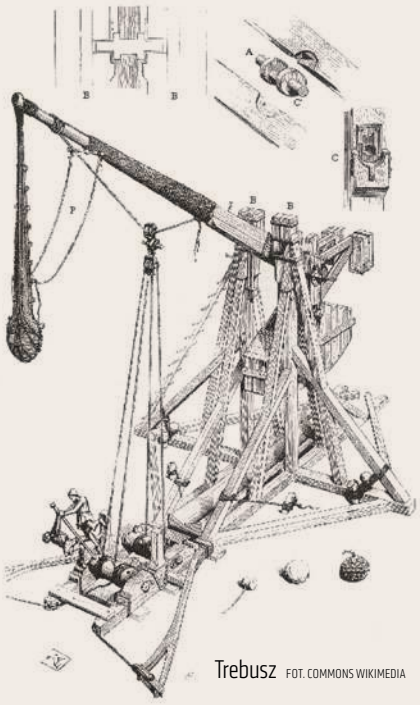
Niepozorne ruiny

Jednym z zamków kazimierzowskich wzniesionych w połowie XIV w. w celu obrony przed Krzyżakami była Złotoria. Strzegła wideł Drwęcy i Wisły, w pobliżu wsi o tej samej nazwie, niedaleko Torunia. Dziś pozostały z niej jedynie marne resztki sterczące z nadrzecznych krzaków i łęgów, pobazgrane sprayem, kompletnie pozbawione owej mrocznej, romantycznej aury, która często towarzyszy ruinom zamków znajdujących się w bardziej malowniczej scenerii.

eprasa.pl 4ae40cb95d



Książę Władysław Biały. Obraz Jana Matejki
FOT. DOMENA PUBLICZNA



Trebusz FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Niepozorny zamek może poszczycić się jedną z barwniejszych historii w dziejach wojskowości polskiego średniowiecza.

W latach 70. XIV w. w dziejach Złotorii pojawia się Piast z kujawskiej linii rodu, Władysław Biały. Po śmierci Kazimierza Wielkiego pretendent do polskiej korony, a więc konkurent króla Ludwika Węgierskiego, siostrzeńca zmarłego monarchy. Niesamowita była to postać. Pielgrzym, niedoszły mnich, podróżnik, awanturnik i rycerz. W Ziemi Świętej klęczał przy grobie Chrystusa, zjeździł Rzeszę, Francję, krzyżackie Prusy. Rozmawiał z papieżem i cesarzem. We Francji dwa razy wstępował do zakonów i dwa razy z nich uciekał, raz od cystersów i raz od benedyktynów. W 1375 r. pobity w polu przez stronników Ludwika dowodzonych przez starostę wielkopolskiego Sędziwoja z Szubina wycofał się ku Złotorii, którą opanował podstępem. Dowódca zamku, niejaki Krystyn, szwagier rzeczonego starosty, znany był w całych Kujawach z tego, że za kołnierz nie wylewał i z reguły nikomu nie odmawiał. Wykorzystali to sprytnie szpiedzy Białego, upijając dowódcę do nieprzytomności.



Obrona Niemczy na medalu FOT. WCN

Zaszywszy się w Złotorii, kujawski Piast próbował kąsać swoich andegaweńskich wrogów. Z rozkazu Ludwika wraz z Sędziwojem pod zamek pociągnął wtedy Bartosz Wezenborg, potomek zasymilowanych Niemców z Miśni, poszukiwacz przygód nie gorszy do Władysława. Pielgrzymował wcześniej do Composteli, ale nie byłby godzien miana rycerza, gdyby nie zatrzymał się w Paryżu na organizowanym tam wówczas turnieju. Umiejętności, dworność i szastanie pieniędzmi tak spodobały się miejscowym, że Wezenborg stał się pierwowzorem jednego z rycerskich romansów Antoniego de la Sale. Wiosną 1376 r. pod Złotorią oblegał Białego przez kilka miesięcy, ale nie mógł zdobyć zamku. Wśród szturmujących mury Złotorii był z nim inny sławny rycerz i zarazem książę Kazimierz IV Słupski, po kądzieli wnuk Kazimierza Wielkiego. Kamień ciśnięty przez jednego z obrońców straszliwie ranił Kaźka w głowę. Na skutek tego urazu rok później pomorski książę zmarł.

Kujawski pretendent oprócz trebuszy i kadzi z wrzątkiem do pomocy miał również niewielką wiślaną flotyllę, której desanty szarpały patrole i obozy „królewskich". Znów spisał się kontrwywiad Białego – złapano zamkowego młynarza, stronnika Andegawenów, i dzięki jego zeznaniom, wymuszonym oczywiście torturami, udało się sprowokować część oblegających do ataku na pozornie nieistrzeżoną bramę. Większość dostała się w zasadzkę w wąskim przejściu bramnej wieży i została wyrżnięta do nogi. Sędziwój ledwo uszedł z życiem.

Biały wiedział jednak, że jego zapasy się kończą, a na odsiecz nie ma co liczyć. Ostatecznie kujawski Piast i Wazemborg umówili się, że Władysław opuści zamek, aby negocjować z Ludwikiem. Jeśli do ugody nie dojdzie, to wróci do Złotorii, a Bartosz honorowo odda mu ją z powrotem! Obaj, jako nieodrodni synowie swojego stanu, stwierdzili, że umowę najlepiej przypieczętować… pojedynkiem na kopie. Równy jak stół teren wokół Złotorii nadawał się do tego znakomicie. Dwaj awanturnicy popędzili przeciw sobie i lepszy okazał się Wazemborg. Sam unikając trafienia, ugodził przeciwnika dość poważnie w ramię. Jak przystało na rycerza, opatrzył rywala i eskortował go aż na Węgry. Ludwik uznał jednak takie postępowanie za spoufalanie się z wrogiem i odebrał Wezenborgowi dobra, a Złotoria przeszła w ręce innego Piasta, Władysława Opolczyka, który z kolei w 1391 r. zastawił zamek i całą ziemię dobrzyńską Krzyżakom. Rozsierdziło to Jagiełłę i całe polskie rycerstwo, które zrzuciło się na olbrzymią kwotę zastawu, i Jagiełło spłacił sporny teren w 1404 r.

W 1409 r. wybuchła wojna z zakonem. Jednym z pierwszych zamków oblegany przez Ulricha von Jungingena była Złotoria. Krzyżacy zabrali się do oblężenia metodycznie, fachowo, z rozmachem właściwym swojemu zakonowi. Wraz z armią podążyły dziesiątki toruńskich rzemieślników i fachowców od wszelakich machin i robót inżynieryjnych. Pobożnych mnichów nie opuszczał jednak duch rycerskiej przygody – pod Złotorię sprowadzili muzykantów i niewiasty, które ze specjalnego podium obserwować mogły krwawe zapasy zakutych w stal mężów. Złotoria – jak przyjmuje większość badaczy – padła po ośmiu dniach. Do dziś powtarza się, że załoga zamku została wówczas wycięta w pień. Jest to sformułowanie nieprecyzyjne – w czasie ostatecznego szturmu straty obrońców mogły być faktycznie duże, ale Krzyżacy wzięli 40 jeńców. Z tej liczby znamy nazwiska 28 rycerzy i zbrojnych.

eprasa.pl 4ae40cb95d

Jeden z nich, Dobko Olewiński, zwolniony po grunwaldzkiej wiktorii, brał odwet na Krzyżakach pod Koronowem tak zawzięcie, jakby chciał zmazać hańbę wcześniejszej porażki. Za swe czyny w bitwie został przez Jagiełłę sowicie nagrodzony. Złotoria, jako zamek graniczny, jeszcze przez kilkadziesiąt lat przeżywać będzie okres świetności, po czym po drugim pokoju toruńskim w 1466 r., będąc już z dala od jakiegokolwiek niebezpieczeństwa, zacznie popadać w ruinę. Proces ten będzie trwał do dziś.



Ruiny zamku w Złotorii
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Zamkowe legendy

Wiele zamków na naszych terenach zasłynęło wcale nie z powodu spektakularnych oblężeń – w Małopolsce czy w Sudetach były takie, których murów nigdy nie tknęła wroga drabina ani taran. Od XIX w. zaczęły one przyciągać rzesze turystów. Romantyczni poeci uznali je za tak bardzo czarujące, że dziś niemal każda z tych warowni może poszczycić się własną legendą, w której zawsze coś straszy, gdzieś tkwi skarb i gdzie leje się krew i kwitnie wielka miłość.

Jednym z zamków, o których częściej mówi się z powodu jego piękna i legend niż historycznych bitew, jest śląski Chojnik, położny niedaleko Jeleniej Góry. Zamek założyli Piastowie świdniccy. Bolko II Mały rozbudował to górskie gniazdo o wieżę i dom mieszkalny wznoszące się do dziś nad skalistą przepaścią. Waleczny Piast, stronnik Korony Polskiej, zmarł jednak bezpotomnie i zamek przeszedł we władanie królów Czech, a potem niemieckiego rodu Schaffgotschów.

W Chojniku od lat opowiada się o Kunegundzie. W polskiej wersji legendy była to córka fikcyjnego Brunona zwanego Szafrankiem. Rycerz miał tylko jedną córkę i – jak to często bywa w takich przypadkach – traktował ją jak syna. Dziewczyna rychło nauczyła się strzelać z łuku, ciskać oszczepem i jeździć konno. Wyrosła jednak na próżną i zimną arogantkę. Zalotnikom powiedziała, że posiądzie ją ten, kto w pełnej zbroi na rumaku przejedzie po murze zamkowym stojącym nad przepaścią. Wielu śmiałków postradało życie w tych zawodach, inni – bardziej trzeźwi na umyśle – odjechali, pukając się w czoło. Po pewnym czasie w zamku pojawił się Jan z Bogowoli. Kunegunda zaniemówiła. O okrutnej próbie dawno zapomniała, teraz zawładnęła nią miłość do tajemniczego przybysza. Jan oświadczył jednak, że jako honorowy rycerz i chorągiewny samego Łokietka próbie i tak się podda. Kunegunda była przerażona. Jan przejechał jednak po murze bez większego uszczerbku. Pani na Chojniku już chciała prowadzić gościa pod ołtarz, gdy ten wypalił, że na Chojnik przyjechał tylko po to, aby sprostać niebezpiecznemu wyzwaniu, i do żeniaczki za bardzo mu się nie spieszy, tym bardziej z jakąś okrutnicą. Zaspokoiwszy żądzę przygód, ruszył w siną dal bić się gdzieś z Krzyżakami, a zrozpaczona Kunegunda rzuciła się w przepaść. Jej duch straszyć ma do dziś w pobliskich borach i wąwozach.



Zamek Chojnik
FOT. JAGIELLOŃSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

Turystom odwiedzającym zamki serwuje się zwykle legendarne opowieści, zaczynając od słów: „Z zamkiem związana jest legenda…”. Rzadko jednak słychać wyjaśnienie, jak i kiedy to związanie powstawało. Budowanie zamkowych legend w większości przypadków sięga czasów dużo młodszych niż średniowiecze. W przypadku chojnickiej legendy o Kunegundzie wyglądało to następująco. W 1797 r. Friedrich Schiller napisał wiersz „Rękawiczka” (przetłumaczony potem przez Mickiewicza), inspirując się najprawdopodobniej zdarzeniem z XVI-wiecznego dworu króla Francji Franciszka I, gdzie pewna dama rzuciła swoją rękawiczkę na wybieg pełny drapieżników, oczekując, że tylko ten z dworzan, który wejdzie między bestie i przyniesie jej fant, będzie godzien jej serca. Jeden ze śmiałków podołał zadaniu, po czym zdobycz cisnął w twarz próżnej i zepsutej arystokratce. W 1809 r. do Chojnika przybył pruski żołnierz i poeta Theodor Körner. W dziele „Kynast”, jak z niemiecka wołano na Chojnik, opisał dzieje Kunegundy oparte na podobnym co „Rękawiczka” motywie. W połowie XIX w. trafili w Sudety polscy przewodnicy i badacze – Rozalia Saluson i Maciej Bogusz Stęczyński – wtórnie nadając Kunegundzie polski, piastowski sznyt.

Kres zamkom znajdującym się dziś na naszych ziemiach położyli w XVII w. Szwedzi. Wiele z nich, niedostosowanych do obrony przed artylerią, zostało zniszczonych i jest ruiną do dziś.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ae40cb95d

Pierwsza wojna światowa / Berlin podpala Rosję



Antybolszewicka demonstracja w Piotrogrodzie. „Oddać Lenina Wilhelmowi" FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Niemiecki pociąg Lenina



Mikołaj Iwanow

Pomysł Aleksandra Parvusa przekuty został w jedną z najbardziej błyskotliwych i udanych operacji niemieckiego wywiadu

3 kwietnia 1917 r. na Dworcu Fińskim w Piotrogrodzie, stolicy byłego Imperium Rosyjskiego, które kilka miesięcy wcześniej ogłoszono republiką, zebrał się wielki tłum. Wszyscy oczekiwali na pociąg z Helsinek, którym przyjechać miał przywódca Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji, Władimir Iljicz Uljanow, znany większości zebranym pod pseudonimem Lenin.

Kiedy pociąg wtoczył się na stację, przyszły wódz rewolucji nie zawiódł. Od razu wskoczył na wieżę podstawionego przez żołnierzy samochodu opancerzonego i wygłosił płomienne przemówienie. W celu upamiętnienia tego wydarzenia na dworcu wzniesiono w późniejszym czasie pomnik z brązu ukazujący przemawiającego Lenina, który wzywa naród do nowej rewolucji.

Prawie nikt z zebranych w ten wiosenny dzień na placu przed Dworcem Fińskim i entuzjastycznie witających swego idola nie wiedział, że przyjazd Lenina do Rosji (po prawie 20-letniej emigracji) zorganizował niemiecki sztab generalny. Była to jedna z najbardziej błyskotliwych i udanych operacji niemieckiego wywiadu, która doprowadziła do wyeliminowania Rosji z koalicji antyniemieckiej i podpisania pokoju separatystycznego. Lenin wrócił do Rosji w otoczeniu swych najbliższych towarzyszy. Był przy tym hojnie zaopatrzony przez II Rzeszę w środki finansowe (ok. 3 mln marek) na przeprowadzenie kolejnej rewolucji i wyprowadzenie kraju z wojny.

Fakty te są znane od dawna. Po porażce Niemiec w wielkiej wojnie dokumenty dotyczące operacji przerzucenia Lenina do Rosji trafiły do zachodnich sojuszników i zostały upublicznione. W Związku Sowieckim te informacje określano jednak jako perfidne kłamstwo. Dopiero

eprasa.pl 4ae40cb95d

po rozpadzie ZSRS prawda o kulisach przybycia Lenina do Piotrogrodu zaczęła przebijać się do społecznej świadomości. Na ten temat powstawać zaczęły prace naukowe i publicystyczne.

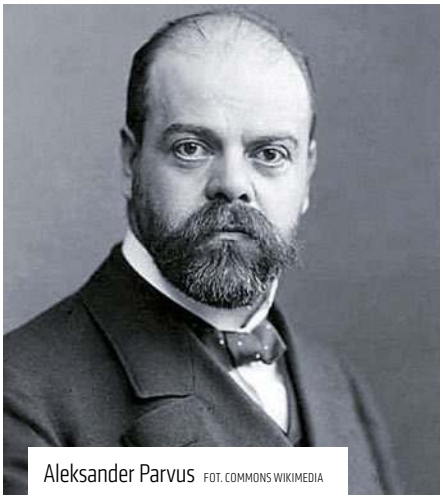
Ponadnarodowa współpraca

Głównym organizatorem przejazdu Lenina i jego najbliższych współpracowników przez walczące z Rosją Niemcy był Aleksander Parvus, nazywany „diabłem rewolucji rosyjskiej". Swą polityczną karierę zaczynał w szeregach Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy (SDKPiL), później należał do Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD) i sporo publikował w lewicowej niemieckiej prasie. Co ciekawe, Parvus, choć mieszkał ponad 10 lat w Niemczech oraz Szwajcarii i był jednym z liderów niemieckiej socjaldemokracji, na Międzynarodowym Socjalistycznym Kongresie w Londynie w 1896 r. był członkiem delegacji rosyjskiej. Ta wolta miała podkreślać internacjonalistyczny charakter rosyjskiej lewicy socjalistycznej, gdzie powoli coraz bardziej do głosu zaczęli dochodzić bolszewicy.

Aleksander Parvus należał do czołowych teoretyków międzynarodowej socjaldemokracji, a w partii Lenina, dzięki swoim szerokim powiązaniom z niemiecką SPD, symbolizował internacjonalizm bolszewizmu. Apogeum jego kariery politycznej przypadło na czas rewolucji lutowej, kiedy razem z Lwem Trockim stanął na czele Rady Delegatów Robotniczych w Petersburgu. Zgubiła go jednak niepohamowana żądza bogacenia się. Prawdopodobnie również na przerzuceniu Lenina do Rosji zarobił potężną sumę.

Pomysł Parvusa, aby przewieźć Lenina do Rosji, znalazł poparcie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Niemiec. Poparli go baron Helmuth von Maltzahn i zastępca przewodniczącego Reichstagu, Matthias Erzberger. Ten ostatni przedstawił plan Kwaterze Głównej Sztabu Generalnego, w której skład wchodzili m.in. cesarz Wilhelm II, gen. Paul von Hindenburg i gen. Erich Ludendorff. Propozycję tę oceniono jako „genialny manewr", co potwierdzają dokumenty niemieckiego MSZ opublikowane po drugiej wojnie światowej. W notatce sporządzonej na potrzeby Sztabu Generalnego pisano np.: „Uważamy, że z naszego punktu widzenia lepiej jest wspierać ekstremistów, bo to najszybciej doprowadzi do konkretnych rezultatów. Najprawdopodobniej za około trzy miesiące możemy liczyć na to, że dezintegracja w Rosji osiągnie etap, w którym będziemy mogli rozbić Rosję siłą militarną".

Po wydaniu pozytywnej opinii kanclerz upoważnił ambasadora Niemiec w Bernie, Gisberta von Romberga, do skontaktowania się z rosyjskimi emigrantami i zaproponowania im przejazdu do Rosji przez Niemcy. Jednocześnie niemieckie MSZ zwróciło się do Skarbu Państwa o przyznanie 3 mln marek na antywojenną propagandę w Rosji. Pieniądze te miały być przekazane „ruchom



Aleksander Parvus FOT. COMMONS WIKIMEDIA

pacyfistycznym" w Rosji za pośrednictwem Parvusa.

Upadek caratu skłonił Niemców, którzy znaleźli się w beznadziejnej sytuacji w przedłużającej się wojnie, do poszukiwania realnych możliwości wyeliminowania Rosji z wojny, co dawało ich zdaniem nadzieję na zwycięstwo Niemiec na Zachodzie. Szef sztabu frontu wschodniego, gen. Max Hoffmann, wspominał później: „W sposób naturalny staraliśmy się za pomocą propagandy i innych środków wzmocnić ten zamęt i rozkład, który został spowodowany w armii rosyjskiej przez rewolucję lutową". Wysłanie Lenina i innych rewolucjonistów do Rosji było więc z perspektywy Niemców najbardziej logicznym posunięciem.

Jednocześnie Aleksander Parvus próbował działać niezależnie od niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i zwrócił się do Sztabu Generalnego także osobiście. Zaangażował w sprawę również polskiego bolszewika z SDKPiL, Jakuba Haneckiego, zaufanego człowieka Lenina, który miał bezpośredni kontakt zarówno z liderem bolszewików, jak i z Grigorijem Zinowjewem, będącym drugim człowiekiem w kierownictwie partii. Hanecki, którego nie bez podstaw nazywano „portmonetką partii", zajmował się finansowaniem działalności bolszewików (pieniądze pozyskiwał np. z przemytu). W tamtym czasie mieszkał w Sztokholmie. Na prośbę Parvusa od razu zaangażował się w sprawę przerzucenia Lenina do Rosji.

24 marca 1917 r. do Zurychu, w celu zorganizowania podróży Lenina i Zinowjewa, przybył specjalny wysłannik niemieckiego wywiadu, Georg Sklarz, mający wszystkie pełnomocnictwa potrzebne do organizacji przejazdu. Zainteresowanie Niemców transportem liderów bolszewików było tak duże, że sam cesarz Wilhelm II nakazał wręczyć Leninowi kopie oficjalnych niemieckich dokumentów zawierających materiały dotyczące rzekomego pokojowego nastawienia Niemiec.

Szczegóły operacji

Plan przewiezienia Lenina i jego komunistycznych towarzyszy zawierał propozycję dostarczenia ich bezpośrednio do Rosji „zapieczętowanym wagonem" przez środek frontu, gdyby Szwecja odmówiła przyjęcia rosyjskich rewolucjonistów. Szwecja wyraziła jednak na to zgodę. Warunki podróży zostały zaakceptowane i podpisane 4 kwietnia przez szwajcarskiego socjaldemokratę, Fritza Plattena, pełniącego rolę osobistego przedstawiciela Lenina, oraz Georga Sklarza jako przedstawiciela strony niemieckiej. Tekst porozumienia brzmiał:

„1. Fritz Platten ponosi pełną odpowiedzialność i na własne ryzyko podróżuje w pociągu razem z emigrantami politycznymi i uchodźcami powracającymi przez Niemcy do Rosji.

2. Kontakty z władzami i urzędnikami niemieckimi prowadzi wyłącznie

eprasa.pl 4ae40cb95d



Parowóz ciągnący wagony z bolszewikami

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MAKSIM CHŁOPOW

Platten. Nikt nie ma prawa wejść do wagonu bez jego zgody.

3. W wagonach pociągu uznaje się prawo eksterytorialności. Nie wolno przeprowadzać kontroli paszportów ani ewidencji pasażerów przy wjeździe i przy wyjeździe z Niemiec.

4. Pasażerowie zostaną przyjęci do wagonów pociągu bez względu na ich poglądy i stosunek do kwestii wojny lub pokoju.

5. Platten zobowiązuje się zapewnić pasażerom bilety kolejowe po normalnych obowiązujących cenach.

6. Jeśli to możliwe, to podróż powinna odbywać się bez zakłóceń. Nikt nie powinien opuszczać wagonu ani z własnej woli, ani na polecenie kogokolwiek. Nie powinno być żadnych opóźnień w transporcie, chyba że będzie konieczność techniczna.

7. Podróż odbywa się na zasadzie późniejszej zorganizowanej wymiany na niemieckich lub austriackich jeńców wojennych lub internowanych w Rosji.

8. Pośrednik i pasażerowie zobowiązują się zabiegać u władz rosyjskich o wykonanie punktu 7 niniejszej umowy".

Określenie „zaplombowany wagon" już wtedy, gdy odbywała się podróż Lenina, trafiło na pierwsze strony gazet w wielu krajach świata. Winston Churchill wypowiedział się na ten temat o wiele bardziej obrazowo. Oświadczył mianowicie, że Lenina przywieziono do Rosji w „zapieczętowanym wagonie [...] jak bakcyl dżumy".

Eksterytorialna kreska

Wbrew pokutującym przekonaniom w czasie podróży tylko trzy drzwi wagonu z czterech były zamknięte. Te ostatnie służyły do komunikacji ze światem zewnętrznym, czym zajmowali się Platten oraz dwaj oficerowie niemieccy. Do ich zajęć należało m.in. kupowanie gazet i mleka. Według pomysłu Lenina na podłodze w korytarzu wagonu narysowano kredą linię wyznaczającą granicę eksterytorialności oddzielającej Niemców od bolszewików. Lenin zarządził także wydawanie biletów wstępu do toalety, co jego zdaniem zapobiegało jej nadmiarowemu zajmowaniu przez palaczy.

W wagonie Lenina podróżowały 32 osoby. Wśród nich byli m.in. Grigorij Zinowjew, żona Lenina, Nadieżda Krupska, jego kochanka, Inessa Armand oraz córka przyszłego przywódcy polskich bolszewików Feliksa Kona, Helena Usijewicz (sam Kon był w innym wagonie). Tak jak zostało ustalone, Niemcy zapewnili pociągowi Lenina przejazd priorytetowy. Posuwał się on z południa na północ Niemiec niemal bez przerwy. W ciągu doby pociąg z Leninem przybył na stacje Sassnitz, gdzie bolszewicy przesiedli się na pokład statku „Queen Victoria" i popłynęli do Szwecji. W Trelleborgu powitał ich Jakub Hanecki. Z powodów konspiracyjnych Lenin odmówił spotkania z Parvusem. W imieniu wodza spotkał się z Parvusem i długo z nim rozmawiał, wywodzący się także z SDKPiL, Karol Radek. Istnieją przypuszczenia, że to właśnie na tym spotkaniu omawiano finanse partii. Lenin nie bez podstaw obawiał się, że na jaw wyjdzie finansowanie jego partii przez Niemców. Po drodze chciał więc unikać kontaktów, które mogły go skompromitować.



„Do Piotrogrodu". Sowiecki znaczek pocztowy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Lenin jednocześnie, choć hojnie zaopatrzony przez władze Rzeszy, starał się wywołać wrażenie, że partia nie ma żadnych pieniędzy. Prosił o pomoc finansową mieszkających w Skandynawii działaczy komunistycznych, wziął pieniądze od konsula Rosji w Sztokholmie. Po przybyciu do Piotrogrodu przedstawił nawet odpowiednie pokwitowania nowym władzom Rosji.

Następnego dnia po przybyciu do Rosji, czyli 4 kwietnia 1917 r., Lenin wygłosił słynne tezy kwietniowe skierowane przeciwko Rządowi Tymczasowemu i polityce „rewolucyjnej obronności". Wojnę Rosji z Niemcami określił jako „drapieżną, imperialistyczną", nawoływał do „rozpowszechnienia w wojsku powszechnej propagandy dotyczącej konieczności zawarcia pokoju". Tezy zawierały również żądanie dymisji Rządu Tymczasowego, przekazania władzy w ręce Rad Robotniczych i Żołnierskich oraz eliminacji biurokracji i policji.

Po opublikowaniu tez Lenina w „Prawdzie" jeden z dowódców niemieckiego wywiadu w Sztokholmie wysłał telegram do MSZ w Berlinie o następującej treści: „Przyjazd Lenina do Rosji zakończył się całkowitym sukcesem. Działa on dokładnie tak, jak byśmy tego chcieli". Również dowódca frontu wschodniego, gen. Erich Ludendorff, napisał w swoich pamiętnikach: „Wysyłając Lenina do Rosji, nasz rząd wziął na siebie szczególną odpowiedzialność. Z militarnego punktu widzenia przedsięwzięcie to było uzasadnione, Rosję należało obalić wszystkimi dostępnymi środkami".

Gwoli ścisłości odnotujmy, że zapieczętowany wagon, w którym grupa emigrantów pod wodzą Lenina wróciła do Rosji, nie był jedynym. W maju 1917 r. tą samą drogą do kraju wróciła znaczna grupa mieńszewików internacjonalistów, eserowców i przedstawicieli innych odcieni socjaldemokracji rosyjskiej, na czele z Julijem Martowem, Pawiełem Akselrodem i Anatolijem Łunaczarskim (wówczas nie był jeszcze bolszewikiem).

eprasa.pl 4ae40cb95d



Dworzec Fiński
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, A. PAWŁOWICZ

Podróż inną trasą dla rosyjskich opozycjonistów była dość niebezpieczna. Dla przykładu: przywódca eserowców, Wiktor Czernow (po rewolucji listopadowej zaciekły przeciwnik Lenina), został aresztowany w Wielkiej Brytanii w czasie próby dostania się do Rosji. Później władze brytyjskie aresztowały w Kanadzie Lwa Trockiego, a oczekiwanie na jego zwolnienie z angielskiego obozu dla internowanych trwało kilka miesięcy.

Eliminacja

Historia podróży Lenina w zaplombowanym wagonie byłaby niepełna, gdybyśmy nie wspomnieli o tragicznym finale większości jej uczestników. Chodzi tu nie tylko o tragedię, którą była dla całej ludzkości rewolucja bolszewicka w Rosji, lecz także o los tych wszystkich popleczników Lenina, którzy chcieli zbudować w Rosji nowy świat. Prawie wszyscy zginęli jako „wrogowie ludu" w wielkim terrorze rozpętanym w latach 30. przez Józefa Stalina. Tragicznego losu nie uniknął nawet główny zarządca „zaplombowanego wagonu", Fritz Platten, który w latach 20., na swą zgubę, przeprowadził się z bogatej Szwajcarii do „ojczyzny światowego proletariatu". W 1937 r. aresztowano i rozstrzelano jego żonę za domniemane szpiegostwo na rzecz Niemiec. Następnie, w marcu 1938 r., pod zarzutem szpiegostwa na rzecz obcego państwa aresztowano samego Plattena. O dziwo, skazano go jedynie na cztery lata łagru bez utraty praw za „nielegalne posiadanie broni" (Platten posiadał kieszonkowego mausera, na którego nie miał pozwolenia), gdyż w toku „śledztwa" ustalono, że nie był on zaangażowany w działalność szpiegowską. Karę odbywał w obozie leżącym w obwodzie archangielskim. Z tego okresu zachowało się jego 20 listów. Świadczą one, że Platten był ciężko chory, głodny i prawie niezdolny do pracy, lecz wciąż naiwnie wierzył w sprawiedliwość i szybkie uwolnienie. „Dobrą pracą będę się starał skrócić karę więzienia" – pisał. W obozie Platten opowiadał współwięźniom i niektórym strażnikom o swoich spotkaniach z Leninem. Zaczął również pisać o nim wspomnienia.

Wraz z początkiem kolejnej wojny z Niemcami nadzieje Plattena na uwolnienie szybko wyparowały. Nie zwolniono go po zakończeniu terminu odbywania kary. Friedrich Platten zmarł 22 kwietnia 1942 r. – w kolejną rocznicę urodzin Lenina. W oficjalnym zaświadczeniu wydawanym krewnym stwierdzono, że „w czasie odbywania kary zmarł na chorobę układu krążenia". Pochowano go w zbiorowej mogile, a dokładne miejsce pochówku nie jest znane.

Według innych źródeł Platten nie zmarł z przyczyn naturalnych, lecz 22 kwietnia 1942 r. został zastrzelony. Podobno tego dnia jeden ze strażników zabrał go poza obóz i zabił. Wersję tę potwierdził syn Plattena przemawiający jesienią 1988 r. w Moskwie podczas uroczystości poświęconych 105. rocznicy urodzin jego ojca. Jak mówił, w 1958 r. otrzymał list z wyrazami skruchy od byłego strażnika obozu, który pisał, że w 1942 r., na ustny rozkaz komendanta, osobiście wyprowadził Plattena za płot i zastrzelił go, gdyż więźniowi skończył się okres odbywania kary, a zwolnienia w warunkach toczącej się wojny były zakazane.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Fritz Platten FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Historia kolonializmu / Niemieckie zbrodnie w Afryce

Czaszki w niemieckich magazynach



Walka Niemców i askarysów z tubylcami w Niemieckiej Afryce Wschodniej. Obraz Themistoklesa von Eckenbrechera FOT. COMMONS WIKIMEDIA/BASSENGE COM



Anna Szczepańska

Na początku XX w., zanim ktokolwiek pomyślał o Hitlerze, Niemcy dokonali w Afryce dwóch ludobójstw i zbudowali tam obozy koncentracyjne. Już wtedy niemieccy „naukowcy" rozpoczęli badania nad rasą

Kłaniam się ofiarom niemieckiego panowania kolonialnego. Jako prezydent Niemiec chcę prosić o przebaczenie za to, co Niemcy zrobili waszym przodkom" – mówił na początku listopada tego roku prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier podczas wizyty w Tanzanii, nawiązując do zbrodni, których państwo niemieckie dokonało na terenie Niemieckiej Afryki Wschodniej na początku XX w. W samej Tanganice (od 1964 r., po połączeniu z Zanzibarem, Tanzania) Niemcy zabili wówczas, wedle różnych szacunków, od 75 do 300 tys. ludzi. Niemal w tym samym czasie podobnych zbrodni niemieckie władze kolonialne dokonały w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej (dziś Namibia), gdzie zginęło ok. 100 tys. osób.

Jeszcze do niedawna władze Niemiec nie uznawały tych masowych mordów za ludobójstwo i próbowały uniknąć odpowiedzialności. Sytuacja zmieniła się kilka lat temu, przede wszystkim za przyczyną namibijskich działaczy z ludów Herero i Nama, którzy zaczęli domagać się od Niemców reparacji i oddania szczątków ich przodków, które od stu lat zalegają w magazynach niemieckich instytucji badawczych. Działaczy wsparł rząd Namibii, który oficjalnie wystąpił o wypłatę zadośćuczynienia. Rozmowy w tej sprawie prowadzono od 2005 r. Ostatecznie Namibijczykom udało się odzyskać kilkadziesiąt kości i zakonserwowanych fragmentów skóry swoich przodków. W 2021 r. Niemcy przyznali natomiast oficjalnie, że zbrodnie popełnione w Namibii były ludobójstwem, i zgodzili się przekazać na rzecz Windhuku 1,1 mld euro w ramach programu „odbudowy i rozwoju". To sformułowanie nie jest przypadkowe, gdyż Berlin od początku unika słowa „reparacje". Zastrzega przy tym, że w stosunku do tego, za co odpowiedzialne są kajzerowskie Niemcy, nie może być stosowana Konwencja ONZ w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa z 1948 r., gdyż prawo nie działa wstecz, a poza tym konwencja ta dotyczyła zbrodni popełnianych przez nazistów.

Po Namibijczykach o podobną rekompensatę oraz zwrot szczątków

eprasa.pl 4ae40cb95d

i zagrabionych dóbr kultury upomniała się Tanzania. Czy ma szansę na podobne pieniądze? Czas pokaże. Przyznanie się Niemców do zbrodni sprzed lat oraz polepszanie relacji z państwami Afryki (w tym z byłymi koloniami) nie wynika w końcu z nagłego poczucia skruchy. Berlin dołącza w ten sposób do kolejnego „wyścigu o Afrykę".

W samej Namibii nie wszyscy są zadowoleni z takiego porozumienia z Berlinem, choć z naszej, polskiej perspektywy wydaje się, że Namibijczycy osiągnęli sukces, wymuszając na Niemcach przyznanie się do ludobójstwa. Trudno będzie jednak wzorować się na namibijskich argumentach. Niemcy bowiem w ostry sposób rozgraniczają zbrodnie popełnione w czasach kolonialnych od tych, które popełniły „nazistowskie Niemcy" w czasie drugiej wojny światowej, jak gdyby w przypadku Cesarstwa Niemieckiego, Trzeciej Rzeszy i RFN nie istniała ciągłość państwowa.

Herero i Nama

„Namibia" to nazwa względnie nowa, stworzona przez działaczy skupionych w Organizacji Ludu Afryki Południowo-Zachodniej (SWAPO) i przyjęta przez ONZ w 1968 r. Jest to jedno z najmłodszych państw w Afryce. Namibia uzyskała niepodległość w 1990 r., po kilku dekadach walki z RPA, która okupowała to terytorium od 1915 r. Zanim jednak w Namibii pojawili się Burowie, znajdowała się ona pod władzą Niemców i znana była jako Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia.

W połowie XIX w. do Namibii przybyli protestanccy misjonarze, a później niemieccy kupcy. Wcześniej mieszkańcy wiedli dość spokojne (nie licząc lokalnych konfliktów) życie, hodowali bydło i handlowali z Brytyjczykami z Kolonii Przylądkowej, od których w zamian za krowy i konie kupowano np. zachodnie ubrania i broń. Handlem zajmowali się przede wszystkim Hererowie i Nama – w owym czasie najliczniejsze grupy etniczne. Wodzowie tych największych grup wymykają się powszechnym wyobrażeniom o afrykańskich przywódcach. Dość liczna grupa posługiwała się językiem angielskim, a niektórzy umieli czytać i pisać. Do tego, z punktu widzenia Europejczyków, ludzie ci, posiadający niekiedy po kilkadziesiąt tysięcy sztuk bydła, byli milionerami.



Adolf Lüderitz

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

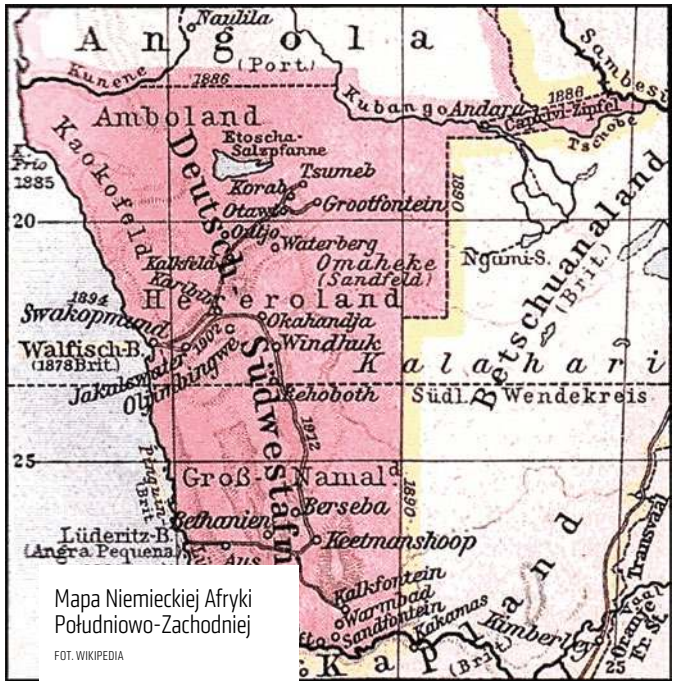
„Dziewicze" tereny w 1887 r. postanowił podbić niemiecki kupiec, Adolf Lüderitz. Choć Otto von Bismarck nie był zwolennikiem posiadania kolonii, to Lüderitz postawił go przed faktem dokonanym, informując, że w imieniu Rzeszy zakupił znaczne tereny. Do Namibii zaczęli ściągać osadnicy, którzy na własną rękę nabywali od Afrykanów działki. Ruszyła też budowa portów: Lüderitz i Swakopmund.

Lüderitz początkowo działał legalnie, skupując ziemię i podpisując z poszczególnymi wodzami umowy kupna-sprzedaży. Rozumiał jednak, że rozległego terytorium nie uda się utrzymać bez wojska. W końcu Berlin wysłał do Afryki pierwszy kontyngent.

Pacyfikacja

Formująca się niemiecka administracja od początku miała problem z wodzem Herero, Samuelem Maharero, i wodzem Nama, Hendrikiem Witbooiem. Obaj nie zgadzali się oddać ziemi i byli gotowi jej bronić. Pierwszym niemieckim gubernatorem w Namibii został Heinrich Göring (ojciec Hermanna), który jednak, głęboko gardząc czarnymi, nie wskórał niczego w relacjach z Herero i Nama. W 1889 r. zjawił się w Afryce drugi gubernator, Curt von François. Afrykanami gardził jeszcze bardziej, lecz dysponował zarazem większą siłą militarną. W kwietniu 1893 r. François dokonał masakry wioski Nama. Zginęło 80 osób, 100 zostało rannych, a 70 uprowadzono jako niewolników. „Nigdy nie sądziłem, że członek białego, cywilizowanego narodu jest zdolny do takich rzeczy. Ale ten człowiek ograbił mnie. Widziałem, jak zabija małe dzieci przy piersiach ich matek. Zabijał starszych ludzi i kobiety, i mężczyzn" – mówił później Hendrik Witbooi.

Od tamtej chwili Niemcy mieli w Witbooiu śmiertelnego wroga. Przez kilkanaście lat ten dzielny namibijski wódz wielokrotnie dawał się im we znaki. François nie umiał poradzić sobie z atakującymi z zaskoczenia jeźdźcami Witbooia. Niemcy nigdy nie pokonali wojowników Nama w bezpośrednim starciu. Ich opór zdusili, stosując ludobójcze metody na cywilach.


Angola
(Port.)
Kunene
1886
Amboland
Kaokofeld
Deutsch
Etoscha-
Salzpfanne
Tsumeb
Grootfontein
Otavi
Otjio
Waterberg
Omaheke
(Sandfeld)
Hereroland
Okahandja
Windhuk
Swakopmund
1894
Walfisch-B.
(1878 Brit.)
Jakalswater
Ohrigwa
Kehoboth
Südl. Wendekreis
Kalahari
Betschuanaland
(Brit.)
Ngami-S.
Südwestafr.
Groß-Namad.
Bethanien
Berseba
Keetmanshoop
Lüderitz-B.
(Angra Pequena)
Kalkfontein
Warmbad
Sandfontein
Kakamas
Kapland
(Brit.)
Transvaal
Oranje Fr. St.
Sambesi
Kubango
Andara
Caprivi-Zipfel
Tschobe
1890
1912
1890
1890
1890



Tubylcy z ludu Nama w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej FOT. WIKIPEDIA/BUNDESARCHIV

François został w końcu odwołany do Berlina. Jego miejsce zajął Theodor Leutwein, który zamiast walczyć, zaprosił Herero i Nama do negocjacyjnego stołu, grając na czas. Kiedy walki ucichły, niemiecka kolonia coraz bardziej się rozwijała. Przybywało osadników, budowano nowe miasta i pojawiło się wielkie zapotrzebowanie na siłę roboczą.

W 1903 r. powstały w Namibii pierwsze rezerwaty dla czarnych. Na wydzielonych terenach, pod okiem niemieckich żołnierzy, umieszczono m.in. Herero, Nama, Owambo, Damara czy San, pozbawiając ich uprzednio większości bydła i wszelkich dóbr. Odrywając od ziemi przodków, pozbawiono ich też tradycji. Rezerwaty tworzono na obszarach jałowych, gdzie nie dało się niczego uprawiać, a nieliczna rogacizna nie miała co jeść. Rezerwaty były wyrokiem śmierci rozłożonym na lata. Afrykanie byli zmuszeni pracować na niemieckich farmach.

W 1904 r. zbuntowali się Hererowie skupieni wokół Samuela Maharero. Symbolem tamtych dni stały się propagandowe obrazki pokazujące dzikich Afrykanów zdzierających białą suknię z bezbronnej Niemki. Faktem jest jednak, że Hererowie atakowali tylko niemieckich mężczyzn. Niemcy nie mieli za to skrupułów, aby zabijać afrykańskie kobiety i dzieci.

Leutwein nie radził sobie ze zdławieniem rebelii. Do Namibii wysłano wówczas Lothara von Trothę, zaprawionego w bojach w Chinach i Tanganice. Trotha nie zamierzał bawić się w dyplomację. Od razu przystąpił do realizacji planu eksterminacji czarnych, których określał jako „podludzi".

Jedyną szansą dla Hererów była ucieczka do brytyjskiej Beczuany. Na idących przez półpustynne tereny ludzi, wśród których było wielu starców i dzieci, napierali Niemcy. Wojownicy Herero raz po raz ścierali się z Schutztruppe.

Trotha najpewniej celowo spychał Hererów na pustynię Kalahari. Kiedy Afrykanie znaleźli się w jej obrębie, Niemcy zamknęli ich niczym w kotle, otoczyli ujęcia wody i wszystkie drogi ucieczki. Hererowie podjęli heroiczny marsz przez pustynię w kierunku granicy z Beczuaną nazwany przez nich szlakiem łez. Niewielu udało się tam dotrzeć. Po drodze umierali z pragnienia i głodu. Aby niemowlęta przeżyły jak najdłużej, zabijano bydło, aby dać dzieciom do picia krew.

„Blokadę" pustyni zdjęto po trzech miesiącach. Część Hererów postanowiła wrócić do Namibii, lecz Niemcy aresztowali ich i wywozili do więzień oraz obozów koncentracyjnych, które od 1905 r. powstawały w różnych miejscach kolonii.

Kiedy wieści o losie Hererów dotarły na południe, Nama także podjęli walkę z kolonizatorem. Stosowali sprawdzoną taktykę wojny podjazdowej i przez kilka miesięcy byli dla Niemców nieuchwytni. W końcu jednak doszło do bitwy pod Vaalgras, w której Niemcy zdobyli przewagę. W walce poległ wówczas Hendrik Witbooi, co częściowo załamało morale Afrykanów. Niektórzy uszli z pola bitwy, inni kontynuowali walki z Niemcami jeszcze przez trzy lata.

Wkrótce okazało się, że eksterminacja wszystkich Hererów i Nama wykracza poza logistyczne możliwości administracji niemieckiej w Namibii – pisał o tym do kanclerza Bernharda von Bülowa gen. Alfred von Schlieffen (autor tzw. planu Schlieffena), który zresztą od początku wspierał Trothę. Skoro wszystkich niepokornych nie dało się zabić, to należało wykorzystać ich do pracy. Brak siły roboczej był zresztą stałą niemiecką bolączką. Niewolnicy nie byli może zbyt wydajni, ale za to byli tani w „eksploatacji". Hererów i Nama umieszczono w pięciu obozach koncentracyjnych. Trzymano tam mężczyzn, kobiety i dzieci, wszystkich zmuszano do pracy. Co ładniejsze Afrykanki oddawano osadnikom niemieckim jako „pomoc domową".

Warunki w obozach były tak złe, że w ciągu pierwszych miesięcy umierało 40 proc. więźniów. Ostatni niemiecki obóz koncentracyjny w Namibii zlikwidowano w styczniu 1908 r. Niektórych wodzów Herero i Nama przetrzymywano jednak w więzieniach do 1915 r., kiedy to uwolniły ich wojska południowoafrykańskie. W wyniku ludobójczej polityki Niemiec zginęło w Namibii ok. 35 proc. Nama (20 tys. ludzi) i nawet 80 proc. Hererów (ok. 80 tys. osób).

Afryka Wschodnia

Niemcy zjawili się na obszarze dzisiejszej Tanzanii w połowie lat 80. XIX w. Za pierwszego człowieka, który zapragnął stworzyć tam niemiecką kolonię, uważany jest Carl Peters. Podobnie jak Lüderitz w Namibii Peters nabywał ziemię w Tanganice od lokalnych wodzów, twierdząc, że robi to w imieniu państwa niemieckiego. Jego działania spotkały się początkowo z głośnym protestem Bismarcka. Niemcy nie tylko nie chcieli (jeszcze) kolonii w Afryce, lecz także byli zbulwersowani plotkami na temat okrucieństwa Petersa oraz jego intymnymi kontaktami z czarnymi kobietami. Protesty Berlina nie powstrzymały jednak odkrywcy w eksplorowaniu coraz dalszych zakątków Afryki Wschodniej.

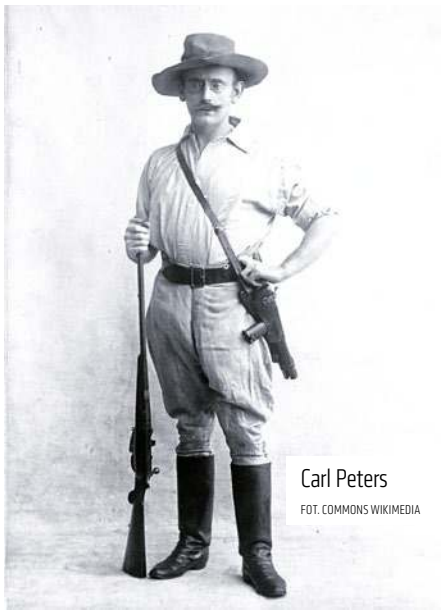
W 1885 r. Bismarck ogłosił objęcie protektoratem rejonu Wielkich Jezior. Przeciwko niemieckim roszczeniem protestował sułtanat Zanzibaru. Niemcy

eprasa.pl 4ae40cb95d

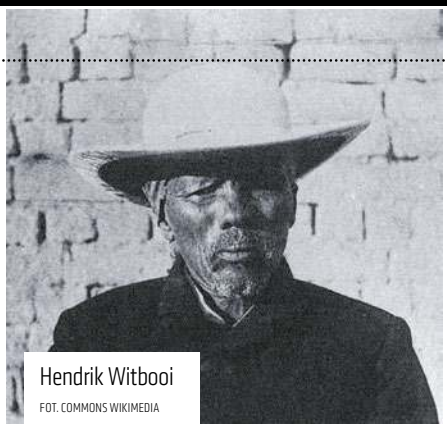
wysłali wówczas na wyspę swoich żołnierzy, zmuszając sułtana do uznania ich władzy na kontynencie. Obiecali jednocześnie, wraz z władzami brytyjskimi, że będą szanowali niezależność sułtanatu. Niedługo później Niemcy i Brytyjczycy ustalili przebieg granicy pomiędzy Niemiecką Afryką Wschodnią (dziś to kontynentalna Tanzania, Rwanda, Burundi i część Mozambiku) a Brytyjską Afryką Wschodnią (Kenia).

Niemcy w szybkim tempie rozwijali kolonię. Budowali kolej, uprawiali bawełnę, kawę, sizal i kauczuk. Choć początkowo deklarowali zniesienie niewolnictwa, które było dochodową gałęzią gospodarki dla muzułmańskich władców, to tak naprawdę korzystali z istniejącego systemu zależności i akceptowali istnienie quasi-niewolniczej społeczności. Ludność kolonii wykorzystywali do pracy na plantacjach i w kopalniach.

W 1888 r. doszło do powstania Busziri – muzułmańska ludność Tanganiki wystąpiła przeciwko Niemcom. Dwa lata później niemieckiej administracji poważnie dała się natomiast we znaki grupa etniczna Hehe, której na drodze do ekspansji terytorialnej stali kolonizatorzy. Z bitnymi wojownikami Hehe pod wodzą słynnego wodza Mkwawa miał się rozprawić Emil von Zelewski (jego bratanek, Erich von dem Bach-Zelewski, był odpowiedzialny m.in. za stłumienie powstania warszawskiego), choć nie dysponował



Carl Peters
FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Hendrik Witbooi
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

dobrym wojskiem. Do walki prowadził bowiem kilkunastu niemieckich żołnierzy i 320 wojowników z grupy etnicznej Askari. Siły Zelewskiego poniosły sromotną klęskę, a on sam zginął. Walki z Hehe trwały jeszcze przez kilka lat.

Maji–Maji

Niemcy wykorzystywali Afrykanów do pracy przy budowie infrastruktury oraz na licznych plantacjach. Coraz większa chęć zysku i wyśrubowane wymagania, dotyczące ilości dostarczanej przez Afrykanów bawełny, doprowadziły w 1905 r. do buntu ludności, który do historii przeszedł jako rebelia Maji-Maji.

W Niemieckiej Afryce Wschodniej, tak samo jak w Afryce Południowo-Zachodniej, Niemcy zdemolowali istniejące od pokoleń społeczeństwa. W Tanganice ludzi zmuszano do pracy na rzecz białych, wielu mężczyzn porzucało rodziny, szukając zatrudnienia na ziemi osadników. Ich nieobecność sprawiała, że kobiety musiały przejąć ich role, jednak nawet mimo to nie były w stanie wyżywić rodziny. Całym wioskom zaczął grozić głód.

Afrykanie zaczęli odwoływać się do animistycznych obrzędów pomieszanych ze specyficznie wyznawanym islamem. Twierdzono, że Niemców, niczym złe duchy, należy wypędzić z Afryki. Przewodnikiem Afrykanów został Kinjikitile Ngwale (nazywany Bokero), szaman i medium, który twierdził, że dzięki przyrządzonym przez niego specyfikom niemieckie kule będą zamieniać się w wodę. Bokero skupił wokół siebie różne grupy etniczne (m.in. Matumbi, Ngindo, Yao, Ngoni). Niemcy schwytali go i zabili w lipcu 1905 r., ale bunt nie ustał.

Niemieckie placówki, pola i farmy były atakowane na coraz większym obszarze, w różnych miejscach naraz. Na prośbę gubernatora Gustava Adolfa von Götzena w październiku 1905 r. do Niemieckiej Afryki Wschodniej dotarły posiłki. Wyposażone w broń palną, w tym karabiny maszynowe, regularne wojska niemieckie szybko poradziły sobie z marnie uzbrojonymi wojownikami. Niemcy ponadto, zgodnie z rozkazem Götzena, stosowali taktykę spalonej ziemi. Wsie, uprawy i spichlerze – wszystko, co napotykali, było niszczone. Ich celem było wywołanie klęski głodu, która zmusi Afrykanów do poddania się. Walki trwały do połowy 1907 r. Taktyka Niemców się sprawdziła. Czarni mieszkańcy Niemieckiej Afryki Wschodniej tysiącami umierali z głodu. Szacuje się, że zginęło wówczas od 75 do 300 tys. Afrykanów. Niemieckie straty wyniosły w tym czasie... 15 osób.

Czaszki w skrzyniach

Ważnym i przemilczanym następstwem ludobójczej polityki Niemiec w Namibii oraz Tanzanii był rozwój tzw. badań nad rasą. To wtedy w niemieckiej pseudonauce pojawiły się pojęcia „czystość rasowa" i „mieszanie ras". Do Afryki przybywały dziesiątki „naukowców", którzy badali różnice pomiędzy rasą czarną i białą. Mierzono czaszki, notowano uwagi, a szczątki zabitych Afrykanów pakowano w skrzynie i wywożono tysiącami do Niemiec, gdzie poddawano je dalszym oględzinom. Do dzisiaj setki tysięcy Afrykanów nie mogą pochować swoich przodków, gdyż ich kości zalegają na magazynowych półkach niemieckich instytucji. Proces oddawania Namibijczykom i Tanzańczykom kości członków ich rodzin rozpoczął się stosunkowo niedawno. Wciąż jest to jednak tylko promil wszystkich szczątków, które na początku XX w. zbezcześcili Niemcy, poddając je pseudonaukowym badaniom, chcąc udowodnić tezę o wyższości rasy aryjskiej nad resztą świata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA LITERATURA:

Erichsen C., Olusoga D., ***„Zbrodnia kajzera";*** *Nawrocki K.,* ***„Niemieckie wyparcie", [w:] „Wszystko, co najważniejsze"*** *(on-line); Perras A.,* ***„Carl Peters and German Imperialism";*** *Wallace M.,* ***„History of Namibia".***

eprasa.pl 4ae40cb95d



Druga wojna światowa / Walki na Morzu Jońskim

Niemiecka zemsta na Włochach

Włoscy oficerowie z 33. Dywizji Piechoty „Acqui" w Argostoli FOT. FONDAZIONE EUROPA CEFALONIA CORFU



Arkadiusz Karbowiak

Kara za odejście od sojuszu z Hitlerem i stawienie zbrojnego oporu wobec Niemców była straszna. Represje i egzekucje dotknęły kilku tysięcy żołnierzy

8 września 1943 r. ogłoszono, podpisane pięć dni wcześniej, zawieszenie broni pomiędzy Królestwem Włoch a aliantami. To wydarzenie nie stanowiło dla Niemców specjalnej niespodzianki. Już wcześniej, na wypadek takiej sytuacji, przygotowali oni ukryty pod kryptonimem Asche (Oś) plan rozbrojenia armii włoskiej. Dzięki temu w większości przypadków jednostki włoskie bez walki złożyły broń, oddając ją w ręce Niemców. Jednak nie wszędzie tak się stało. Obszarem, na którym doszło do zbrojnej konfrontacji niemiecko-włoskiej, były okupowane przez Włochów od 1941 r. Wyspy Jońskie, gdzie służbę pełniły pododdziały 33. Dywizji Piechoty „Acqui".

Zanim Włosi przybyli na wyspy, brali udział w walkach w zachodnich Alpach w czerwcu 1940 r., a później, do kwietnia 1941 r., w walkach z armią grecką. Na Kefalinii, największej wyspie archipelagu, stacjonowały 17. Pułk Piechoty, 33. Pułk Artylerii i 317. Pułk Piechoty. Na Korfu zaś 18. Pułk Piechoty. Dowódcą dywizji, od czerwca 1943 r., był gen. Antonio Gandin.

W sierpniu 1943 r., obawiając się małego zaangażowania Włochów w obronę (lub przejścia na stronę aliantów) tych położonych strategicznie wysp, Niemcy przemieścili na Kefalinię żołnierzy z Festungs Infanterie Regiment 966 (składała się z dwóch batalionów 909 i 910, wzmocnionych 2 baterią Sturmgeschütz-Abteilung 201), którym dowodził ppłk Joachim Brage.

W dniu ogłoszenia rozejmu na wyspie przebywało ponad 10 tys. włoskich żołnierzy, którzy informację o jego zawarciu przyjęli z radością, mając nadzieję na szybki powrót do domu. 8 września 1943 r. dowódca 11. Armii gen. Carlo Vecchiarelli przesłał gen. Gandinowi radiogram zakazujący podejmowania działań militarnych przeciwko Niemcom, a także nakazywał współpracę z aliantami i greckim ruchem oporu. Ponadto generał sugerował, by w przypadku czyjegokolwiek ataku Włosi podjęli walkę. W reakcji na tę depeszę gen. Gandin wysłał w pobliże dowództwa dywizji dodatkowe jednostki. Następnego dnia Gandin spotkał się z ppłk. Bargem. Była to pierwsza z serii rozmów, które miały miejsce w dniach 9–14 września 1943 r. pomiędzy stroną niemiecką a włoską.

Dowódca dywizji uznał, że negocjacje będą najlepszym rozwiązaniem trudnej sytuacji, w której znaleźli się Włosi. Generał zapewne liczył na wynegocjowanie honorowych warunków kapitulacji i możliwość powrotu żołnierzy do Włoch. Zupełnie inne cele miała strona niemiecka. Ppłk Barge otrzymał od dowódcy XXII Górskiego Korpusu Armijnego gen. Huberta Lanza rozkaz rozbrojenia Włochów oraz ich internowania. Lanz być może oczekiwał, że uda mu się to

eprasa.pl 4ae40cb95d



Włoska uroczystość wojskowa w Argostoli

FOT. FONDAZIONE EUROPA CEFALONIA CORFU

zadanie zrealizować pokojowo, tym bardziej że siły, którymi dysponował, były znacząco mniejsze niż włoskie.

9 września na Kefalinię dotarł drugi radiogram z dowództwa 11. Armii nakazujący wydanie Niemcom całej broni ciężkiej. Gandin, przewidując być może, że owa decyzja zapadła pod wpływem niemieckich nacisków, próbował skontaktować się ze swoim dowództwem w celu potwierdzenia tych dyspozycji. Tymczasem z Brindisi, gdzie przebywały włoskie władze królewskie i Naczelne Dowództwo, nadeszły 11 i 12 września dwie depesze. Pierwsza wzywająca do uznania Niemców za wrogów i druga rekomendująca podjęcie z nimi walki.

Również po stronie przeciwnej decyzja o konfrontacji powoli dojrzewała. Zanim ją podjęto, gen. Löhr, któremu podlegał ten teatr działań, mając na uwadze, że gen. Gandin cieszy się w Oberkommando der Wehrmacht bardzo dobrą opinią (szczególnie doceniał go gen. Alfred Jodl), wydał zalecenie, aby rozmowy z Włochem prowadzić tak, by go nie urazić. Stacjonujący na Wyspach Jońskich Niemcy mieli początkowo nadzieję, że walk na Kefalinii uda się uniknąć. I pewnie tak by się stało, gdyby nie „buntownicze" nastroje, które szerzyły się wśród Włochów.

Włoski bunt

Sprzeciw podsycali m.in. dwaj młodzi oficerowie artylerii, kpt. Renzo Apolloni i kpt. Amos Pampalonii, którzy krytycznie odnosili się do pomysłu oddania broni ciężkiej Niemcom. Ich zdanie zaczęło podzielać coraz więcej żołnierzy. W sukurs przyszli im ponadto członkowie komunistycznego ruchu oporu ELAS, którzy rozpowszechniali ulotki zachęcające do stawienia oporu Niemcom, deklarując wsparcie, gdyby do tego doszło. Dwaj wysłannicy ELAS spotkali się nawet z gen. Gandinem, prezentując propozycję wspólnej walki z Niemcami, jednak włoski dowódca nie zgodził się na to. Jego podkomendni postanowili więc działać na własną rękę i przekazali ELAS pewną ilość broni,



Generał Antonio Gandin

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

co pozwoliło na rekrutację ok. 300 ochotników do służby w komunistycznej partyzantce.

Konspiratorzy wywodzący się z szeregów młodzieżówki EAM (Frontu Wyzwolenia Narodowego), czyli EPON, dokonali wspólnie z Włochami ataku na niewielki oddział niemiecki. Niemcy zrozumieli wówczas, że wśród Włochów narastają wrogie wobec nich nastroje. W związku z tym ppłk Barge postawił ultimatum gen. Gandinowi, nakazując zdanie broni ciężkiej do 13 września do godz. 18 (termin przesunięto ostatecznie na 15 września).

Tymczasem w szeregach wojsk królewskich narastał ferment. Oskarżano nawet Gandina o zdradę. Ponieważ niesubordynacja zaczęła obejmować coraz szersze kręgi, dowódca postanowił przeprowadzić w dywizji swoiste „referendum". Żołnierze mieli się wypowiedzieć, czy są za kapitulacją, za podjęciem walki z Niemcami czy też za dołączeniem do Niemców. Zdecydowana większość żołnierzy wybrała opcję zbrojnej konfrontacji. W tej sytuacji Gandin, mimo że chciał uniknąć przelewu krwi, postanowił podjąć walkę.

Prący do konfrontacji włoscy artylerzyści już dzień przed wspomnianym „referendum", 13 września, ostrzelali dwie łodzie transportowe. Na jednej z nich zginęło pięciu niemieckich marynarzy, a kilku odniosło rany. Gandinowi udało się jeszcze wymusić zakończenie wymiany ognia. Tego dnia na zajętą przez Niemców część wyspy przybył gen. Lanz, który przeprowadził rozmowę telefoniczną z gen. Gandinem.

15 września, po upływie terminu zdania broni ciężkiej, stacjonujący na wyspie niemiecki 910. forteczny batalion piechoty wspierany przez bombowce Ju-87 Stukas ruszył do ataku. 16 i 17 września gen. Lanz wysłał na wyspę kolejne jednostki. Na dowódcę sił desantujących, złożonych z pododdziałów 1. Gebirgs-Division oraz 104. Jäger-Division, wyznaczony został energiczny oficer, mjr Harald von Hirschfeld.

Niemcy nie chcieli dopuścić do wykorzystania przez aliantów wysp w inwazji na Grecję, dążyli więc do szybkiej rozprawy z żołnierzami dywizji „Acqui". 21 września niemieccy żołnierze rozpoczęli decydujący atak. Wsparcie z powietrza, a także znakomite wyszkolenie oddziałów górskich niwelowały liczebną przewagę Włochów. 22 września Niemcy wkroczyli do Argostoli, stolicy Kefalinii. Tego dnia oddziały włoskie skapitulowały.

Zbrodnie Niemców

Pierwszy rozkaz dotyczący rozstrzeliwania oficerów odpowiedzialnych za stawianie oporu Wehrmachtowi lub współpracę z ruchem oporu wydano już 15 września. Trzy dni później OKW przekazało decyzję Adolfa Hitlera, aby ze względu na „zdradzieckie" i „perfidne" zachowanie Włochów na Kefalinii nie brać ich do niewoli. Wódz III Rzeszy potraktował podjęcie walki przez włoskich żołnierzy jako bunt. Podstawą do wyrażenia takiej opinii było to, że po obaleniu Mussoliniego premier Badoglio podporządkował jednostki włoskie

eprasa.pl 4ae40cb95d



Generał Hubert Lanz (trzeci z prawej) na ławie oskarżonych w Norymberdze FOT. COMMONS WIKIMEDIA/USHMM

dowództwu niemieckiemu. Taką logikę trudno określić jednak inaczej niż tylko jako poszukiwanie wydumanych argumentów, które „zalegalizują" złamanie konwencji genewskiej oraz popełnienie zbrodni wojennych. Rząd włoski miał bowiem prawo wycofać się z sojuszu z III Rzeszą i wydać rozkaz o stawieniu oporu Niemcom (decyzja o formalnym wypowiedzeniu wojny 13 października 1943 r. nie była warunkiem koniecznym, aby uznać stosowanie wobec Włochów zasad konwencji genewskiej). Nie jest do końca jasne, czy Włosi podejmując decyzję o walce, mieli świadomość konsekwencji, które miały ich spotkać. Generał Lanz twierdził po wojnie, że ostrzegał przed tym gen. Gandina. Ponieważ jednak rozmowa odbywała się przez telefon, nie sposób tej informacji zweryfikować.

22 września, po zakończeniu walk, gen. Lanz wystąpił do swojego dowództwa z prośbą o instrukcje w kwestii dalszego postępowania z gen. Gandinem i wziętymi do niewoli włoskimi oficerami. Odpowiedź była jednoznaczna: „Należy natychmiast potraktować gen. Gandina i jego odpowiedzialnych dowódców, zgodnie z rozkazem Führera". Niemiecki dowódca, wiedząc o dużej liczbie jeńców, dopytywał również, jak ma postępować wobec 5 tys. Włochów, którzy zostali ujęci, a – jak twierdził – nie brali udziału w walce. Tych ludzi, po konsultacjach z Hitlerem, nakazano potraktować jako jeńców wojennych.

Dwa dni później ok. 166 włoskich oficerów przetrzymywanych w ogrodzie willi Casetta Rossa oczekiwało na egzekucję. Jako pierwszy stracony został gen. Antonio Gandin. Jego los podzieliło 129 oficerów. Pozostałych 37 ostatecznie ułaskawiono (niektórych uratowało np. pochodzenie, gdyż wywodzili się z południowego Tyrolu). Przestępczy rozkaz Hitlera wykonali m.in. dowodzący plutonami egzekucyjnymi ppor. Otmar Mühlhauser i ppor. Franz Pieber.



Odznaka 33. Dywizji Piechoty „Acqui" FOT. WIKIPEDIA

Dzień po egzekucji w okolicach Casetta Rossa, w odwecie za ucieczkę dwóch oficerów ze szpitala polowego, Niemcy rozstrzelali siedmiu kolejnych włoskich oficerów. Na polecenie gen. Lanza ciała wszystkich ofiar zatopiono w morzu, obciążając je uprzednio kamieniami.

Wskazane wyżej liczby rozstrzelanych na Kefalinii stanowią ułamek dokonanych zbrodni. 21 września tylko w okolicach Frangaty w ośmiu miejscach zamordowano co najmniej 405 włoskich jeńców. 22 września podkomendni mjr. Reinholda Klebego rozstrzelali w okolicy miejscowości Troianata 316 włoskich jeńców (w literaturze podawana jest też liczba ponad 600). W sumie – według najbardziej sumiennego, niestety nieżyjącego już badacza, Franka Hermanna Meyera – w masakrze na Kefalinii śmierć w walce oraz w wyniku egzekucji poniosło ok. 2,5 tys. Włochów, z czego udało się odnaleźć i ekshumować ciała 2176 żołnierzy (dla porównania: straty Wehrmachtu na Kefalinii wyniosły 54 zabitych, 23 zaginionych, 156 rannych). Należy dodać, że większość żołnierzy dywizji „Acqui" przeżyła wrześniowe masakry. Na kontynent zostało przeniesionych i trafiło do obozów 6227 żołnierzy. Ta liczba byłaby większa, ale w czasie transportu niektóre okręty przewożące Włochów wpadły na miny lub stały się ofiarami alianckich ataków lotniczych, w efekcie czego 1564 jeńców zginęło na morzu. Ponadto 1286 Włochów Niemcy pozostawili na Kefalinii, aby wykonywali różne prac na wyspie. Trzystu żołnierzy słoweńskiego pochodzenia wcielono jako hiwisów do 104. Jäger-Division.

Na Korfu również doszło do zbrodni, ale ich skala była jednak dużo mniejsza. Pierwszą nieudaną próbę zajęcia wyspy podjęto 13 września 1943 r. Kolejną przeprowadzono 24 września 1943 r., kiedy na wyspie pojawili się Niemcy pod dowództwem kpt. Fritza Dittmanna. Dwa dni później walki zakończyły się całkowitym sukcesem Wehrmachtu. W niewoli znalazł się sztab dowództwa pułku, z płk. Luigi Lusigianim na czele. 27 września został on stracony wraz z 18 innymi oficerami. W walkach poległo ok. 600 Włochów (część z pewnością rozstrzelano po wzięciu do niewoli).

Po wojnie zamieszany w sprawę masakry na Kefalinii gen. Lanz stanął przed trybunałem w Norymberdze w procesie nr VII. Zbrodnia na Kefalinii była jednym z punktów aktu oskarżenia. Generał bronił się, wskazując, że sprzeciwiał się rozkazowi Hitlera, co mogło być prawdą, tyle że owego sprzeciwu jasno nie wyraził. Ostatecznie trybunał skazał Lanza na karę 12 lat więzienia (w 1951 r. został jednak ułaskawiony). © ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA LITERATURA:

Meyer H.F., Edelweiß B., ***„Die 1. Gebirgs-Division im Zweiten Weltkrieg"****; Fricke G.,* ***„Das Unternehmen des XXII. Gebirgsarmeekorps gegen dei Inseln Kefalonia und Korfu im Rahmen des Falles »Achse« (September 1943)", [w:] „Militärgeschichtliche Mitteilungen"****, nr 1, academia.edu; Mikulová S.,* ***„»Kephalonia« in der bundesdeutschen und italienischen Erinnerungskultur 1943 bis 1989"****, Praha 2015 i inne.*

eprasa.pl 4ae40cb95d

Druga wojna światowa / „Dywizja duchów" atakuje



Amerykańscy żołnierze na moście Ludendorffa

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/BUNDESARCHIV

Bezcenny most na „świętym" Renie



Piotr Semka

Niemcy próbowali wszystkich sposobów, by zniszczyć kluczowy most Ludendorffa. Niespodziewany sukces Amerykanów doprowadził Hitlera do furii

Walki Amerykanów w zachodniej Europie od czerwca 1944 r. do maja 1945 r. nie zostały zapamiętane poprzez pryzmat jednej, potężnej bitwy, która otworzyła drogę do centrum Niemiec. Z tego okresu najbardziej znane są trzy batalie, które zresztą zyskały powszechną sławę dzięki udanym filmom wojennym. Na pierwszym miejscu w świadomości Amerykanów znajdują się lądowanie w Normandii, potem walki o Ardeny i wreszcie zdobycie Remagen oraz „niezniszczalnego" mostu Ludendorffa na Renie. Kolejny epizod, czyli ponure i krwawe walki o las Hürtgen, zyskał popularność nieco później, dzięki grom komputerowym. Z kolei takie filmy jak „Furia" czy „Kompania braci" przypomniały, że zajmowanie kolejnych kilometrów terytorium Niemiec to żmudne walki o setki miasteczek i wsi bronionych z fanatyzmem przez SS i Hitlerjugend. Jeżeli jednak wskazać najbardziej efektowny epizod, który przyniósł przy tym chwałę Amerykanom i pokazał odwagę US Army, to może to być właśnie zdobycie mostu w Remagen.

Święta rzeka

W niemieckiej tradycji Ren był zawsze ważną linią obrony. Już w czasach starożytnych plemiona germańskie broniły się na linii Renu, odpierając nacierające legiony rzymskie. Opowieści o tym przekazywano sobie w legendach i pieśniach. Pamięć o jednej z największych europejskich rzek jako o „reducie" Germanii rozkwitła na nowo w XIX w., m.in. za sprawą malowidła Wilhelma Camphausena ukazującego przeprawę pruskich oddziałów Gebharda Leberechta von Blüchera przez Ren pod Kaub w pościgu za oddziałami Napoleona. Był to obraz, który wisiał obowiązkowo w mieszkaniu każdego Niemca patrioty w pierwszej połowie XIX w.

Ren był faktycznie największą naturalną przeszkodą dla każdego, kto chciał zaatakować Niemcy z zachodu. Dlatego obrona tej rzeki, a szczególnie przepraw mostowych, była zawsze priorytetem dla planów operacyjnych sztabu generalnego Prus, a potem Niemiec.

Most w Remagen był dwutorowym mostem kolejowym na Renie pomiędzy miejscowościami Remagen a Erpel. Jego budowę zaczęto w 1916 r. Przeprawa skracała czas dostawy amunicji z fabryk Zagłębia Ruhry na front niemiecko-francuski w czasie pierwszej wojny światowej. Aby zbudować trakcję kolejową, przekuto tunel przez wzgórze Erpeler Ley. Most nazwano imieniem gen. Ericha Ludendorffa, który po zwycięstwie nad Rosją nad jeziorami mazurskimi w 1914 r. był sławiony jako zbawca Niemiec. Choć most otwarto oficjalnie 1 maja 1918 r., to oddano go do użytku dopiero 15 sierpnia, więc w niewielkim już stopniu wpłynął on na losy wielkiej wojny.

Późne wilhelmińskie Niemcy uwielbiały surowość form i nawiązania do średniowiecza Hohenstaufów. Ten gust odbił się w wyglądzie mostu. Od wschodniego brzegu chroniły go dwie ogromne

eprasa.pl 4ae40cb95d

wieże z ciemnego kamienia, które zaprojektowano jako minitwierdze broniące dostępu do przeprawy. Surowy wizerunek był dziełem znanego architekta Karla Wienera. W sumie most miał 398 m długości i 28,5 m wysokości.



Wilhelm Camphausen „Blucher przekracza Ren" FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ DEUTSCHES HISTORISCHES MUSEUM

Wysadzić czy nie

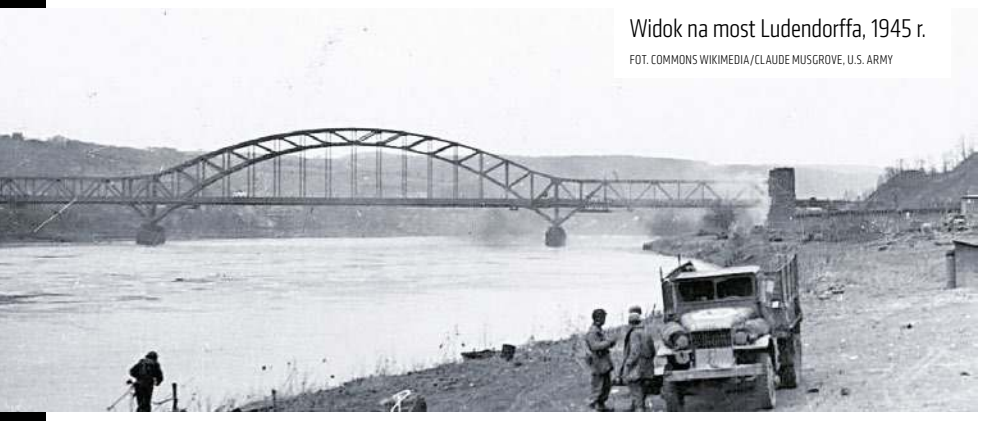
Po pierwszej wojnie światowej, choć był to most kolejowy, korzystali z niego głównie piesi, gdyż pociągi kursowały po nim bardzo rzadko. Jego wyniosłe wieże stały się za to lokalną atrakcją i symbolem Nadrenii. Rozmaite nacjonalistyczne organizacje niemieckie traktowały pielgrzymkę pod wieże mostu Ludendorffa jako demonstrację chęci odzyskania siły wojskowej „spętanej" przez traktat wersalski.

O znaczeniu militarnym mostu nigdy jednak nie zapomniano. Doskonalono metodę rozkładania materiałów wybuchowych i spięcia ich w jednolity system, który można było wysadzić za pomocą pojedynczego impulsu. Na początku drugiej wojny światowej most został zaminowany, ale po rozgromieniu Francji uznano, że nic nie zagraża tej symbolicznej reńskiej reducie. Ładunki wybuchowe zdemontowano więc i wywieziono do obozu pod Darmstadt. Jedyne, co częściowo zaszkodziło mostowi, to naloty alianckie.

W marcu 1945 r. niemieckie wojska były zagrożone szybkim postępem Amerykanów. Rozważano obłożenie mostu Ludendorffa ładunkami wybuchowymi, lecz obawiano się sytuacji, która miała miejsce na moście Mülheimer w Kolonii, który wskutek zrzucenia na niego niezbyt dużej bomby wyleciał w powietrze, ponieważ na stałe „nafaszerowany" był materiałami wybuchowymi. Po tej katastrofie dowództwo Wehrmachtu zakazało umieszczania na mostach ładunków, jeżeli wróg nie zbliży się na odległość 8 km.

Na nieszczęście dla Niemców rankiem 7 marca 1945 r. oddziały 9. Dywizji Pancernej, działającej w składzie 1. Armii Stanów Zjednoczonych, przesunęły się niespodziewanie szybko w kierunku Remagen. Nieprzypadkowo zresztą nazywano ją „phantom division", czyli „dywizją duchów". Amerykanom sprzyjał także chaos, który panował w okolicy mostu. Dowódcy wiedzieli, że po zachodniej stronie Renu są jeszcze oddziały Wehrmachtu, które próbują odskoczyć od sił alianckich idących z zachodu i chcą przekroczyć rzekę w tym miejscu. Duży strumień cywilów, którzy także uciekali przed armią USA, wzmagał zamieszanie. Major Johann Scheller, który w nocy z 7 na 8 marca przejął dowodzenie nad mostem, był zwolennikiem utrzymania przeprawy, aby jak najwięcej niemieckich żołnierzy i ciężkiego sprzętu mogło się uratować przed amerykańskim uderzeniem.

Z perspektywy Niemców sytuacja nie wyglądała najlepiej. Zamęt pogłębiany był jeszcze przez narastającą panikę w służbach kwatermistrzowskich Wehrmachtu. Obrona mostu zażądała przesłania 600 kg wojskowych materiałów wybuchowych, tzw. pionierskich, które łatwo wybuchały i miały sporą siłę rażenia. Saperom pracującym przy moście Ludendorffa dostarczono jednak zaledwie 300 kg donalitu. Wojskowi protestowali. Materiału tego używano co prawda w górnictwie, lecz był to stosunkowo słaby środek wybuchowy, który nie nadawał się do wysadzenia ciężkiego mostu. Jak zwykle jednak w relacji sztab – podwładni saperzy otrzymali tylko polecenie, że mają poradzić sobie przy pomocy tego, co dostali.



Widok na most Ludendorffa, 1945 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA/CLAUDE MUSGROVE, U.S. ARMY

Atak z zaskoczenia

Jest coś w starym wojskowym powiedzeniu, że najlepiej pewne operacje wykonują oficerowie, którym nikt nigdy nie powiedział, że coś jest niemożliwe. Gdy 7 marca o godz. 13 niewielka szpica amerykańskiej 9. Dywizji Pancernej dotarła do mostu, jej dowódca, 22-letni ppor. Karl H. Timmermann, uznał, że trzeba zrobić wszystko, aby zająć most Ludendorffa. Jego zwierzchnik, gen. William M. Hooge, także rozumiał, że nienaruszony most na Renie to dla Amerykanów dar od losu, więc dał Timmermannowi swoją zgodę na ryzykowny atak.

Niemcom od początku się nie wiodło. Pierwsza eksplozja, którą zarządzili, wykazała, że donalit to zdecydowanie za słaby w tym przypadku środek wybuchowy. Część ładunków wyrwała jedynie 10-metrowy krater na przyczółku na lewym brzegu rzeki. Niemcy wiedzieli, że Amerykanie mają wszelkie szanse zająć przeprawę. Scheller rozkazał wówczas

eprasa.pl 4ae40cb95d

wysadzenie wszystkich ładunków. Nastąpił wybuch. Most lekko wygiął się w górę, lecz po paru sekundach opadł na swoje miejsce. Zanim dym po eksplozji się rozwiał, trzej amerykańscy żołnierze wbiegli na most i sprawnie przecięli kable przy ładunkach donalitu. Byli to żołnierze szkoleni w umieszczaniu ładunków wybuchowych na mostach i doskonale znali schematy. Czynu tego dokonali pod ostrym ostrzałem z karabinów maszynowych. Mieli więc wielkie szczęście, że nie tylko wykonali misję, lecz także że w ogóle uszli z życiem.

Pierwszym amerykańskim żołnierzem, który dotarł na wschodni brzeg mostu, był sierż. Alexander Drabik z Holland w Ohio (z pochodzenia Polak). Jak wspominali jego koledzy, przebiegł on 117 m pod zmasowanym obstrzałem. Ani on, ani jego żołnierze nie odnieśli żadnej rany, co zakrawało na prawdziwy cud. W krótkim czasie most Ludendorffa znalazł się w rękach Amerykanów. Spora część obrony niemieckiej oddała się do niewoli. Porucznik Timmermann i jego 12 podwładnych, z Drabikiem na czele, zostali odznaczoneni później Krzyżem Wybitnej Służby. Jest to order premiujący inicjatywę i odwagę.

Wrota do Zagłębia Ruhry

Generał Dwight Eisenhower nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. „Ten most jest na wagę złota" – miał powtarzać, obiecując nagrody żołnierzom, którzy go zajęli.

Zdobycie niemal nietkniętego mostu było niczym los wygrany na loterii. „Ike" rozkazał natychmiast gen. Omarowi Bradleyowi przerzucić przez Ren jak największą liczbę dywizji. Już w ciągu pierwszej doby przez most przeszło 8 tys. żołnierzy amerykańskich. Przez koleje 10 dni rzekę przekroczyło 18 alianckich pułków. I wtedy właśnie most Ludendorffa jak kapryśny trzeci uczestnik walk między Niemcami i Amerykanami postanowił wyłączyć się z gry. Okazało się, że choć wybuchy przy użyciu donalitu nie spowodowały zawalenia mostu, to osłabiły go na tyle, że dalsza intensywna eksploatacja stała się niemożliwa. 17 marca 1945 r. most runął. Nie zrobiło to jednak na nikim większego wrażenia, bo do tego czasu Amerykanie zbudowali na Renie trzy mosty pontonowe.

Hitler szaleje

Wiadomość o przechwyceniu przez Amerykanów przeprawy na „świętym Renie" wywołała wściekłość Adolfa Hitlera. Führer uznał, że został zdradzony. Aby uniemożliwić aliantom przeprawę, rozkazał zniszczenie mostu za pomocą artylerii. Wtedy jednak znowu do Amerykanów uśmiechnęło się szczęście. Zmasowany ostrzał artyleryjski w dniach 8–9 marca okazał się w większości niecelny. 10 marca, znów na rozkaz Hitlera, rozpoczęto kontratak, który miał odbić most. Niepowodzeniem zakończyła się też akcja niemieckich nurków, którzy mieli podłożyć materiały wybuchowe na filarach mostu. Akcja „ludzi żab" została zauważona dzięki użyciu potężnych reflektorów. Niemcy byli tak zdeterminowani, aby uspokoić Hitlera, że 12 marca wysłali do zbombardowania mostu swoje pierwsze bombowce odrzutowe – Arado Ar 234. One także nie zdołały zniszczyć przeprawy. Równie mało udany był atak 11 rakiet V-2 w kierunku przyczółku mostowego. Most dalej stał tak, jak stał. Jedna z niemieckich rakiet trafiła tylko w dom w Remagen, w którym przebywali amerykańscy żołnierze, powodując śmierć wielu z nich.

Już 9 marca Hitler powołał specjalny sąd wojskowy, przed którym mieli stanąć ludzie odpowiedzialni za oddanie mostu Amerykanom. „Sędzia rzeźnik", jak przezywano gen. por. Rudolfa Hübnera, nie wziął pod uwagę wyjaśnień oficerów, którzy wskazali, że przysłanie słabego donalitu zamiast profesjonalnego środka wybuchowego było powodem utraty mostu. Hübner wiedział, że Hitler oczekuje, iż posypią się głowy, więc bez skrupułów skazał pięciu oficerów na śmierć za tchórzostwo i zaniedbanie obowiązków służbowych. Czterech z nich natychmiast rozstrzelano. Przeżył jedynie kpt. Wilhelm Bratge, sądzony zaocznie. Ocalenie zawdzięczał temu, że trafił do niewoli amerykańskiej.

Aby zastraszyć wszystkich potencjalnych „frontowych niedołęgów", feldmarsz. Albert Kesselring, który po



Pozostałości wież mostu Ludendorffa FOT. COMMONS WIKIMEDIA/KNIGHTLAGO

aferze w Remagen przejął dowodzenie zachodnim frontem od feldmarsz. Gerda von Rundstedta, kazał odczytać wszystkim żołnierzom specjalny rozkaz. „Zarządzam, aby każdy przypadek niepowodzenia militarnego był jak najszybciej badany i rozstrzygany przez sąd polowy. Oczekuję, że sąd zastosuje najsurowsze środki i jak największą surowość" – głosił rozkaz.

Mordercy na wolności

Po wojnie wdowa po rozstrzelanym mjr. Schellerze, Lissel Scheller-Gottschalk, wystąpiła do prokuratury w Koblencji o ukaranie oficerów sądu specjalnego za zbrodnię sądową. Wskazywała, że wyroki wydane przez sąd pod kierownictwem gen. Hübnera były przykładem zbrodni przeciwko ludzkości. Prokuratura w Koblencji w 1951 r. umorzyła postępowanie z powodu braku dowodów. Jedyne, co dzielna wdowa uzyskała, to uchylenie wyroku wydanego na jej męża. Doczekała się tego gestu ze strony państwa niemieckiego dopiero w drugiej połowie lat 60. W ponownym procesie przed sądem rejonowym w Landshut w lutym 1967 r. mjr Scheller został oficjalnie zrehabilitowany.

Ruiny mostu i dwa jego pozostałe filary zostały zdemontowane latem 1976 r., gdyż przeszkadzały w żegludze po Renie. W dwóch wyniosłych wieżach przyczółku mostowego zorganizowano muzeum pokoju. Remagen stało się obowiązkowym punktem wizyt wycieczek amerykańskich w zachodnich Niemczech, szczególnie po sukcesie filmu „Most w Remagen" z 1969 r. Dopiero ten film unaocznił światu bohaterstwo amerykańskich żołnierzy, którzy zdobyli most Ludendorffa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ae40cb95d

1931 r. / Zabójstwo Igi Korczyńskiej

Cztery strzały w Ananasie



Sławomir Koper

Morderstwo pięknej tancerki było jedną z najgłośniejszych spraw kryminalnych II RP. Sprawca przekonywał potem w sądzie, że „nie zabija się tych, których się kocha", a wyrok zaskoczył wszystkich

6 sierpnia był jedną z najważniejszych dat w kalendarzu II RP. Wprawdzie nie było to oficjalne święto państwowe, jednak rocznicy wymarszu I Kompanii Kadrowej z krakowskich Oleandrów poświęcano dziesiątki imprez na terenie całego kraju. Podobne było też w 1931 r. i dlatego, by nie zepsuć święta, dopiero 8 sierpnia w gazetach pojawiły się informacje o dokonanej dwa dni wcześniej zbrodni w stołecznym teatrzyku rewiowym Ananas. Jej ofiarą padła młoda i urodziwa tancerka, Iga Korczyńska, a zabójcą okazał się były narzeczony dziewczyny, Zachariasz Drożyński. Morderca trafił do szpitala, gdyż natychmiast po oddaniu śmiertelnych strzałów do tancerki usiłował popełnić samobójstwo.

Drożyński trafił Igę dwukrotnie w klatkę piersiową, następnie skierował lufę w swoją stronę i nacisnął spust po raz kolejny. Ewidentnie jednak symulował próbę samobójczą, gdyż postrzelił się tylko w ramię. Upadając, strzelił jeszcze raz, tym razem pocisk trafił w sufit.

Śmiertelnie ranna Korczyńska była przytomna, a gdy ją opatrywano, poprosiła szeptem, by zawiadomić matkę, aż wreszcie rozpaczliwie krzyknęła, że się dusi. Przewieziona do szpitala zmarła przed północą.

Policja, która pojawiła się na miejscu zdarzenia, początkowo uznała Drożyńskiego za martwego. Morderca bowiem zaraz po oddaniu ostatniego strzału rozerwał ubranie, aby wyeksponować ranę, i udawał nieprzytomnego. Jednak kiedy usłyszał, że ma zostać zabrany na sekcję zwłok, nagle zaczął dawać oznaki życia. Rana zresztą nie była ciężka i już kilka dni później trafił ze szpitala do aresztu.

Bez reszty

Jadwiga Wielgus (bo tak naprawdę nazywała się Iga) była córką szewca ze Starego Miasta. W czasach II RP dzielnica ta nie uchodziła za specjalnie ekskluzywną, większość kamienic zasiedlała biedota i także rodzina Igi nie należała do zbyt zamożnych, jako że „ojciec był pijakiem i miewał kochanki".

Dziewczynka była smagłą brunetką o ślicznej buzi i niezwykle zgrabnej fi-



Iga Korczyńska na scenie teatrzyku Ananas FOT. NAC

eprasa.pl 4ae40cb95d



Szyld teatrzyku Ananas FOT. NAC

gurze. W młodym wieku trafiła do szkoły baletowej działającej przy stołecznym Teatrze Wielkim, gdzie szybko okazała się jedną z najbardziej utalentowanych uczennic.

W wieku 16 lat jednak rozstała się ze szkołą. Razem z Konradem Ostrowskim zaczęła tańczyć w duecie w pomniejszych kinach podmiejskich z nadzieją na późniejszy rozwój artystyczny. Płacono im razem po 30 zł za występ, co nie było mało, gdyż przy codziennych występach (co było całkiem prawdopodobne) dawało dochód w wysokości 450 zł miesięcznie (pracownik umysłowy w tym czasie zarabiał ok. 250 zł). Korczyńska jednak nie myślała o własnych potrzebach. Nie należała do specjalnie rozrzutnych i „wydawała bardzo mało na toalety". Matka przyznawała, że córka dawała 5 zł dziennie na utrzymanie, podczas „gdy mąż nie płacił wcale". Biorąc pod uwagę to, że Wielgusowa nie pracowała, dziewczyna właściwie utrzymywała całą rodzinę.

Zachowane wspomnienia podkreślają, że Iga była osobą skromną i uczciwą, o bardzo miłym usposobieniu. Chociaż szybko pojawili się wokół niej starsi wielbiciele, to nie zamierzała zostać utrzymanką, mimo że takie rozwiązanie zapewniłoby jej stabilizację finansową. Marzyła jednak o wielkiej miłości, twierdząc, że gdy spotka odpowiedniego kandydata, odda mu się bez reszty. I niestety taki człowiek pojawił się w jej życiu.

Przyszły jej zabójca był od niej starszy o sześć lat. Był synem adwokata zaginionego w Rosji podczas pierwszej wojny światowej i miał aż 15 rodzeństwa. Rodzinę prześladowało jednak jakieś fatum – czterech bądź pięciu braci Drożyńskiego zginęło na froncie, jeden popełnił samobójstwo, inny zapadł na chorobę psychiczną. Duża śmiertelność panowała także wśród sióstr, wskutek czego w chwili procesu żyło tylko pięcioro rodzeństwa. Podobno Zachariasz studiował, jednak nigdy nie ukończył żadnego kierunku studiów i właściwie nie miał zawodu.

„Matowa, ciepła bladość południowca – opisywała go Irena Krzywicka. – Jednocześnie raczej buzia niż twarz, usta pulchne, gdy niezaciśnięte, głowa mała i okrągła. Mówią, [...] że się grubo pudrował i karminował sobie usta, cóż dziwnego, gdy się ma twarz lalczynego pierrota, co przetłumaczone na język dzisiejszy oznacza twarz wzorowego żigolo. Oto typowy fordanser, ulubieniec starszych pań i panów – pederastów".

Do pewnego momentu Drożyński był normalnym, pełnym radości życia młodym człowiekiem. Później coś zaczęło się zmieniać – choć jako ochotnik wziął udział w wojnie z bolszewikami, to nie chciał odbyć służby wojskowej i za sfałszowanie orzeczenia lekarskiego skazano go na pół roku więzienia. Nie potrafił utrzymać się dłużej na żadnej posadzie, zresztą nigdy nie należał do specjalnie pracowitych.


Iga Korczyńska FOT. NAC

Już wtedy krążyły pogłoski, jakoby seksualnie uzależniał od siebie kobiety, by następnie wykorzystywać je finansowo. Nie gardził też szantażem, a jedną z jego ofiar miała być koleżanka z pracy, niejaka panna Lenartówna, którą zmusił do sprzedaży pianina, aby kupić sobie frak. Znacznie większy kaliber miała sprawa z żoną pewnego wziętego lekarza (prasa nie podała jego nazwiska). Omotana przez Drożyńskiego kobieta sfałszowała dwa podpisy męża na wekslach, co zakończyło się dochodzeniem policyjnym. Podobno w lokalach stołecznych ukochany Igi był znany jako „piękny Lolo".

Bez problemu oczarował też młodziutką Korczyńską, której wydał się uroczym, przystojnym światowcem. I trudno się jej dziwić, bo zawsze był nienagannie ubrany, do tego inteligentny i elokwentny. Wmówił dziewczynie, że dopiero przy nim zrobi prawdziwą

eprasa.pl 4ae40cb95d

karierę, co było początkiem drogi prowadzącej do tragedii.

Naiwna miłość

Iga podobała się mężczyznom, miała fantastyczną prezencję, do tego tańczyła niemal nago, a skromny strój bardziej podkreślał walory jej ciała, niż cokolwiek zasłaniał.

Dziewczyna rzeczywiście miała talent, a z Konradem Ostrowskim doskonale rozumiała się na scenie. Występy w podmiejskich kinach nie trwały długo i niebawem oboje przenieśli się do teatrzyku Mignon w Warszawie. Tymczasem Drożyński zaczął się obawiać Ostrowskiego, który darzył dziewczynę uczuciem i ostrzegał ją przed nim. Wobec tego zażądał od Igi, by zmieniła partnera, co było poważnym problemem, gdyż duet miał już pewną markę w stolicy. Mimo to dziewczyna potulnie zgodziła się na żądanie Drożyńskiego.

Ostatecznie dziewczyna znalazła partnera, którego narzeczony zaakceptował. Podobno tego tancerza podejrzewano o skłonności homoseksualne, więc Drożyński uznał go za niegroźnego.

Gdy po kilkunastu miesiącach znajomości Iga zaszła w ciążę, Zachariasz zażądał od niej dokonania aborcji. Relacje jej znajomych wskazują, że dziewczyna nie chciała pozbywać się dziecka, zatem Drożyński musiał użyć argumentów siłowych. Korczyńska dokonała aborcji, jednak nie myślała o zerwaniu z narzeczonym. Sprawiała wrażenie osoby całkowicie od niego uzależnionej.

Drożyński po raz ostatni pracował jesienią 1930 r., a było to zatrudnienie doraźne przy wyborach do Sejmu. Zarobił wówczas 500 zł, jednak później nie był już zainteresowany znalezieniem stałego zajęcia. Wolał liczyć na pomoc siostry, dobrze prosperującej dentystki z Lublina (zdarzyło się, że przysłała mu jednorazowo aż 600 zł), oraz na drobne sumy od matki. Podobno planował poślubienie Korczyńskiej, znajomym opowiadał o swojej wielkiej miłości, nie miał jednak pieniędzy na założenie rodziny. Stawał się zresztą coraz bardziej agresywny, zdarzało mu się grozić dziewczynie śmiercią, jeżeliby go porzuciła lub zdradziła.



SŁAWOMIR KOPER
„ZBRODNIE Z NAMIĘTNOŚCI"
FRONDA

Drożyńskiemu nie wystarczała pomoc finansowa od siostry i matki, zatem uznał, że Iga też powinna partycypować w kosztach jego utrzymania. Drożyński żył w innym świecie i uznał, że skoro on nie pracuje, to Iga powinna zarabiać na niego. Początkowo brał od niej pieniądze w formie pożyczek. Później nie był już tak subtelny i wykorzystując ślepe uczucie dziewczyny, nie cofał się przed ordynarnymi groźbami czy szantażem. Z tego powodu Iga zaczęła mieć problemy z regularnym zaopatrywaniem rodziców w pieniądze, o co pretensje do niej miał ojciec. Staremu szewcowi nie brakowało bezczelności i tupetu – podczas procesu przyznał na przykład, że chociaż widywał na twarzy córki ślady pobicia, to dopóki przynosiła do domu pieniądze, dopóty nic więcej go nie interesowało.

Ten trzeci

Cierpliwość Igi miała jednak swoje granice. Latem 1931 r. dziewczyna zdobyła się na odwagę i porzuciła narzeczonego. Ten absolutnie nie chciał się z tym pogodzić, wobec czego rodzice dziewczyny zaczęli po nią wieczorami przychodzić do teatru. Przynajmniej raz zachowali się porządnie, chociaż można podejrzewać, że przy okazji odbierali od niej pieniądze, obawiając się, że może je przejąć Drożyński. Tymczasem Zachariasz nie zaprzestał słać pogróżek, a gdy pewnego dnia spotkał matkę Korczyńskiej na ulicy, zagroził wręcz, że „zabije ją i Igę".

Zapewne wpływ na decyzję o porzuceniu Drożyńskiego miało to, że w życiu Igi pojawił się inny mężczyzna. Jednym z jej wielbicieli w Ananasie był znacznie od niej starszy, wysoki urzędnik PKO, niejaki Adamski (lub Adamczyk czy też Adam – prasa w różny sposób podawała jego nazwisko). Wytrwale adorował dziewczynę, która wreszcie zaczęła zwracać na niego uwagę. Odwiedzał ją także w domu, co nie uszło uwadze zazdrosnego Drożyńskiego. Adamski miał żonę, a podczas procesu tłumaczył się, że był kompozytorem amatorem i chciał, aby Iga tańczyła do jego utworów.

W rzeczywistości zapewne miał zupełnie inne zamiary, a Korczyńska nie była temu przeciwna. Przez ostatnie lata przekonała się, że nie może liczyć na pomoc innych i sama musi zadbać o siebie. Znajomość z Adamskim oznaczała stabilizację finansową, co było tym ważniejsze, że kariera tancerki nie trwa wiecznie. Zresztą w przypadku Igi raczej trudno było mówić o wielkich sukcesach i nadziejach na przyszłość. Wiedziała, że w przypadku kontuzji lub choroby zostałaby bez środków do życia, zatem trudno się dziwić, że ostatecznie zdecydowała się na dwuznaczną znajomość z Adamskim. Podobnie zresztą postępowały największe gwiazdy sceny kabaretowej, z Mirą Zimińską na czele.

Nietrudno sobie wyobrazić, jak na taki obrót rzeczy zareagował Drożyński. Śledził dziewczynę i groził jej śmiercią, żądając, by natychmiast przestała się spotykać z Adamskim i powróciła do niego. Iga pozostała jednak nieugięta, za co już wkrótce miała zapłacić najwyższą cenę.

Strzały w Ananasie

Feralnego dnia Korczyńska po raz pierwszy spóźniła się do teatru. Zawsze przychodziła grubo przed czasem, tym razem jednak pojawiła się ponad 20 minut po oznaczonej godzinie. Oczekujący na nią Drożyński uznał to za dowód, że była ze swoim nowym przyjacielem, co potwierdzać miały rozwichrzona fryzura dziewczyny oraz makijaż na twarzy.

Iga twierdziła, że wraca z reklamowej sesji zdjęciowej, a po chwili rzeczywiście przyniesiono walizki z jej strojami. Drożyński upierał się jednak przy swoim i niewykluczone, że tym razem miał nieco racji, bo co prawda Korczyńska nie spędzała tego dnia z Adamskim, ale nie musiała też pozować fotografowi. Wprawdzie zachowały się zdjęcia z sesji, ale nie jest znana data dzienna ich wykonania. Jeden z badaczy wysunął hipotezę, że dziewczyna mogła umilać czas uczestnikom Międzynarodowego Kongresu Anatomów lub gościom Polsko-Amerykańskiej Izby Handlowej. Nie oznaczało to automatycznie żadnej formy prostytucji, bo mogła tam przebywać

eprasa.pl 4ae40cb95d



Adwokaci biorący udział w procesie o zabójstwo Igi Korczyńskiej oraz ojciec zamordowanej (pierwszy z prawej) i brat (pierwszy z lewej) FOT. NAC

jako dama do towarzystwa lub fordanserka, a podobne zlecenia były normalną sprawą dla stołecznych tancerek. Z wiadomych jednak względów nie zamierzała się tłumaczyć przed zazdrosnym Drożyńskim.

Zresztą nie była to już ta sama Iga co kilka miesięcy wcześniej. Zaczęła nowe życie i zdecydowanie lekceważyła byłego narzeczonego. Nie sprawiała też wrażenia zaniepokojonej jego zachowaniem, chociaż wiedziała, że zawsze nosił przy sobie rewolwer. Dlatego kategorycznie odmówiła dalszej rozmowy, co chwilę później doprowadziło do tragedii. Gdy Iga odmówiła tłumaczenia, dlaczego się spóźniła, Drożyński uznał tę odpowiedź za zniewagę. Wyjął rewolwer i za chwilę rozległy się strzały. Śmiertelnie ranna Iga osunęła się na podłogę…

Zabójca przed sądem

Ostatnia dekada kwietnia 1932 r. była wyjątkowa dla wszystkich wielbicieli mocnych wrażeń w naszym kraju. 25 kwietnia ruszył we Lwowie proces Gorgonowej, następnego dnia na stołecznej ulicy zastrzelono dyrektora Zakładów Żyrardowskich, Gastona Koehler-Badina, a dzień później odbyła się pierwsza rozprawa przeciwko Drożyńskiemu. Prasa zwiększała nakłady, a wielbiciele krwawych historii i głośnych procesów naprawdę nie mogli narzekać na brak emocji.

Choć większość warszawiaków zapewne wolałaby z bliska obserwować proces lwowski, to zabójca Igi Korczyńskiej również cieszył się dużym zainteresowaniem. Przed Sądem Okręgowym w Warszawie działy się dantejskie sceny, służby porządkowe nie mogły sobie poradzić z liczbą chętnych do obserwowania procesu.

Pierwszy dzień procesu zdominowały zeznania Drożyńskiego, w których oskarżony zaprzeczył, że dokonał morderstwa z premedytacją. Mówił, że nie „zabija się tych, których się kocha", ponadto twierdził, że na ten wieczór umówiony był z jednym ze swoich znajomych, co wykluczało mordercze zamiary. Tłumaczył, że wydarzenia wymknęły się spod kontroli i gdy zrozumiał, co zrobił, chciał natychmiast popełnić samobójstwo.

Ponadto oskarżony uznał salę sądową za miejsce odpowiednie do lansowania własnej osoby, gdyż w niczym nie przypominał skruszonego grzesznika. Starannie ubrany bardziej przypominał złotego młodzieńca wybierającego się na bal czy raut.

Oskarżenie dążyło do uznania Drożyńskiego za winnego zabójstwa z premedytacją, natomiast adwokaci chcieli, aby sąd zakwalifikował zbrodnię jako czyn popełniony w afekcie. Prawnicy obu stron skoncentrowali się na przedstawianiu świadków potwierdzających ich wersję wypadków, co nie było łatwym zadaniem. Właściwie jedynymi osobami wyrażającymi się przychylnie o zabójcy byli członkowie jego rodziny: matka i siostra. Panie zgodnie twierdziły, że Zachariasz „był bardzo wrażliwym człowiekiem", a do tego szczerze kochał Igę. Pozostali świadkowie obrony nie wzbudzali zaufania, było to grono dziwnych osobników z prezesem Klubu Szaradzistów na czele. Człowiek ten zachwycał się intelektem Drożyńskiego, który potrafił podobno znakomicie układać i rozwiązywać szarady…

Rozprawę zdominowali świadkowie oskarżenia, a ich zeznania ostatecznie pogrążyły Drożyńskiego. Pojawili się dawni przełożeni Zachariasza, którzy kreślili obraz lenia i oszusta, odczytano zeznanie panny Lenartówny potwierdzające, że oskarżony był szantażystą i lubił maltretować kobiety. Artyści i pracownicy teatrzyków Mignon i Ananas przyznali, że wiedzieli o dręczeniu Igi przez Drożyńskiego, opisali też przypadki przemocy fizycznej wobec dziewczyny.

Proces trwał cztery dni, a w jego trakcie wydawało się, że los oskarżonego jest przesądzony i zostanie on uznany za winnego zbrodni z premedytacją. Domagał się tego w swojej mowie końcowej prokurator, natomiast obrońcy skoncentrowali się na przedstawieniu Drożyńskiego jako ofiary wielkiej namiętności. Podkreślali, że wcale nie miał zamiaru jej zastrzelić i że bliższy był popełnienia samobójstwa.

Wyrok zaskoczył więc wszystkich. Drożyński został uznany za „winnego dokonania przestępstwa pod wpływem silnego wzruszenia duchowego". Skazano go jednak na najwyższy wymiar kary, jaki przewidywał kodeks karny dla tego rodzaju przestępstwa – osiem lat ciężkiego więzienia.

Wyrok ten nie zadowolił nikogo: prokurator uznał, że kwalifikacja prawna czynu jest niezgodna z rzeczywistym przebiegiem wypadków, natomiast obrona twierdziła, że kara jest zbyt surowa. Obie strony zapowiedziały apelację, do której doszło w listopadzie tego samego roku. Ponownie górą byli adwokaci Drożyńskiego, gdyż karę zmniejszono do sześciu lat więzienia.

Nie wiadomo, jak dalej potoczyły się losy Drożyńskiego. Według niesprawdzonych informacji po zwolnieniu z więzienia pracował jako bileter w teatrze, a po wybuchu wojny ślad po nim zaginął.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

BIBLIOGRAFIA:

Krzywicka I., ***„Sąd idzie"****, Warszawa 1988; Sołtysik M.,* ***„Szlifbruk w »Ananasie«"****. http://palestra.pl/upload/14/98/74/1498741226_4.pdf.*

eprasa.pl 4ae40cb95d



Wojna peloponeska / Wolty Alkibiadesa

Sokrates broni Alkibiadesa w bitwie o Potidaję. Obraz Piotra Basina z XIX w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/RUSMUSEUMVRM.RU/ P. V. BASIN

Bezczelny „ateński lew”



Łukasz Czarnecki

Ateński arystokrata Alkibiades zdominował swoją osobowością drugą połowę wojny peloponeskiej. I choć w czasie trwania konfliktu zmieniał strony jak rękawiczki, dopuszczając się zdrady własnej ojczyzny, to rodacy – jak pisał w „Żabach” Arystofanes – „kochali go, nienawidzili i obejść się bez niego nie mogli”

W tej materii młody Alkibiades nie mógł trafić lepiej – tajników ateńskiej polityki uczył go sam Perykles. Rezolutny młodzieniec wcześnie stracił ojca (poległ w bitwie) i to właśnie jego wuj, Perykles, wziął chłopaka pod swoje skrzydła.

Już jako nastolatek wykazywał się niezwykłą bystrością i talentem do zjednywania sobie ludzi, aczkolwiek słowa, które czasem wypowiadał, i czyny, których się dopuszczał, wskazywały, że jego umysł był nieprzewidywalny. Gdy któregoś razu Perykles powiedział młodemu Alkibiadesowi, że nie ma czasu z nim rozmawiać, bo musi wymyślić, jak przedstawić raport finansowy Zgromadzeniu Ludowemu, zdziwiony wychowanek stwierdził, że wuj powinien raczej się zastanowić, jak ów dokument sfałszować i włożyć część pieniędzy do własnej kieszeni. Innym razem w gimnazjonie chłopak, przegrywając zapasy z kolegą, przyciśnięty do ziemi pogryzł przeciwnika. Gdy usłyszał zarzut, że gryzienie jest kobiecym sposobem walki, odparował, że raczej lwim. Wkrótce anegdota ta krążyła po całym polis. Pewien przewi-

eprasa.pl 4ae40cb95d

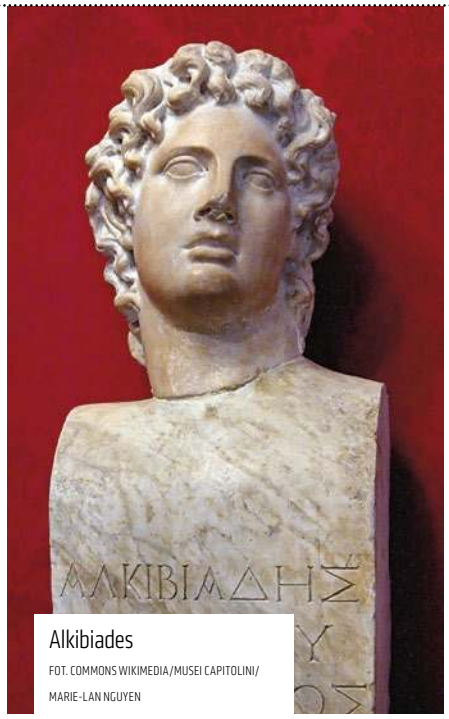
dujący obywatel stwierdził wówczas, że Ateńczycy chowają w swoich murach lwa, a potem będą mieli pretensje o to, że ten ich pogryzł.

Zresztą nie on jeden poznał się na dorastającym Alkibiadesie. Gdy pewnego dnia nasz bohater napotkał na swej drodze niejakiego Tymona, ten radośnie go pozdrowił. Ateńskie społeczeństwo przeżyło głęboki szok, bo Tymon słynął z tego, że nienawidził zarówno swoich współobywateli, jak i całej ludzkości. Gdy ktoś odważył się w końcu zapytać słynnego mizantropa, co wywołało w nim taki entuzjazm, ten z wielkim zadowoleniem oświadczył, że był to widok człowieka, który wkrótce ściągnie na Ateny liczne nieszczęścia...

To idzie młodość

Tymczasem piękny młodzieniec używał życia, nieustannie ucztując i tęgo popijając oraz oddając się rozpuście zarówno z kobietami, jak i z mężczyznami. I pewnie całkiem by się złajdaczył, gdyby jakimś cudem nie został przyjacielem Sokratesa, który za cel honoru uznał wyprowadzenie Alkibiadesa na ludzi. Jeśli chodzi o nowego ucznia słynnego filozofa, to zamierzał on raczej (jak wiemy od Platona) zaciągnąć mędrca do łóżka. Żadnemu z mężczyzn nie udało się zrealizować powziętych założeń – Sokrates pozostał obojętny na wdzięki pięknego młodziana, po tym drugim zaś nauki moralne mistrza spływały jak po kaczce. Co nie zmieniało tego, że pałali do siebie taką sympatią, iż w trakcie wypraw wojennych dzielili namiot, a pewnego razu w czasie odwrotu wojsk ateńskich po przegranej bitwie Alkibiades ocalił filozofa przed śmiercią.

Tymczasem w roku 431 p.n.e. wybuchła wojna peloponeska, a Spartanie wkroczyli do Attyki. Ateńczycy schronili się wówczas w obrębie miejskich fortyfikacji, lecz tu dopadł ich wróg groźniejszy od lacedemońskich hoplitów. Zaraza (najprawdopodobniej dżuma) zdziesiątkowała ateński lud, zabierając m.in. Peryklesa. Wraz z jego śmiercią z ateńskiej sceny politycznej zniknął najwybitniejszy w dziejach polis mąż stanu, odchodząc w momencie, gdy rodacy najbardziej go potrzebowali. Teraz nastał czas młodych



Alkibiades

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/MUSEI CAPITOLINI/MARIE-LAN NGUYEN



Perykles

FOT.COMMONS WIKIMEDIA/MARIE-LAN NGUYEN

wilków, takich jak Alkibiades, i bojących się własnego cienia tchórzy w rodzaju zażartego krytyka naszego bohatera – Nikiasza. Obaj zawzięcie rywalizowali, forsując zupełnie inne polityczne wizje. Alkibiades kreślił przed rodakami wizje podbojów i bogactwa, jego przeciwnik ostrzegał i snuł katastroficzne przewidywania. Kiedy jednak ambitny wytwórca lamp, Hyperbolos, wszedł do polityki i postanowił doprowadzić do wygnania Alkibiadesa, dotychczasowi przeciwnicy połączyli siły i tak zmanipulowali proces ostracyzmu, że na wygnanie poszedł sam Hyperbolos!

W roku 421 p.n.e. Ateny i Sparta zawarły pokój, jednak Alkibiadesowi nie było to w smak. Nieustannie szczuł i podjudzał rodaków przeciw Spartanom, namawiając ich do udzielania pomocy wrogom lacedemońskiego polis. Zaowocowało to sojuszem między Atenami a wojującym przeciw Spartanom Argos. Wojna zastępcza między dwoma greckimi mocarstwami trwała aż do roku 418 p.n.e., a w jej czasie Alkibiades został wybrany na urząd stratega. Konflikt zakończył się powrotem do status quo. Na urząd młody arystokrata powrócił w roku 417 p.n.e. i rychło wciągnął Ateny w awanturę, która miała okazać się początkiem końca ich potęgi.

Kto Ateńczyk – na Sycylię!

Podczas gdy w Atenach Alkibiades robił karierę polityczną, na Sycylii doszło do konfliktu między greckimi miastami: Segestą i Seliluntem. Wojna, która wybuchła, toczyła się na niekorzyść tego pierwszego, więc jego mieszkańcy zaczęli szukać pomocy. Gdy ich posłowie stawili się w Attyce, Zgromadzenie Ludowe zagłosowało za przeprowadzeniem interwencji zbrojnej.

Największym adwokatem wyprawy, którą zaplanowano na rok 415 p.n.e., był właśnie Alkibiades. Nieustannie snuł przed rodakami czarowne wizje i rozpalał w nich najdziksze namiętności. Wkrótce to, co miało być wsparciem nowego sojusznika w prowincjonalnym konflikcie, zamieniło się w szalony plan podboju całej Sycylii, zdobycia bogactw Syrakuz, a następnie inwazji na Afrykę. Ateńczycy nieustannie rozprawiali o podziale czekających ich skarbów, w swoich fantazjach dzieląc skórę na niedźwiedziu. Pod sztandar Alkibiadesa, którego wybrano na jednego z trzech dowódców wyprawy, garnęły się tysiące ochotników. Na nic zdawały się ostrzeżenia co trzeźwiejszych obywateli. Zignorowano także niepomyślne wróżby. A tymczasem wiele mogło dać do myślenia to,

eprasa.pl 4ae40cb95d

że najsławniejszy wówczas ateński matematyk i astrolog Meton, sprawdziwszy w gwiazdach perspektywy ekspedycji, natychmiast… spalił swój dom, by tym sposobem uzyskać od władz zwolnienie potrzebnego do odbudowy syna z udziału w sycylijskiej awanturze.

Tymczasem dzień przed wypłynięciem zgromadzonej w ateńskim porcie floty miały miejsce złowróżbne wydarzenia. Przed domami mieszkańców polis tradycyjnie stawiano hermy – kamienne czworoboki zwieńczone oblicza-mi boga Hermesa i wielkimi członkami sterczącymi dumnie z ich boków. Teraz jednak ktoś nocą wszystkie owe kultowe posągi… wykastrował. Wybuchł niesłychany skandal, zaczęło się polowanie na sprawców, a ludzie sprawdzali, czy pod ich łóżkami nie kryją się jacyś bluźniercy. Ogólna psychoza sprzyjała załatwianiu własnych porachunków, przeciwnicy Alkibiadesa znaleźli świadka, który stwierdził, że widział, jak nasz bohater parodiuje misteria ku czci bogini Demeter.

Arystokratę oskarżono o bluźnierstwo, a stąd był już tylko krok od rzucenia nań oskarżenia, że to on pourywał kamienne członki. Rzucającym takie potwarze nie przeszkadzało nawet to, że kolejny świadek, rzekomo przyglądający się procesowi owej kastracji, powiedział, że rozpoznał twarz sprawcy w świetle księżyca, podczas gdy w noc zbrodni był… nów. Alkibiades oświadczył, że jest gotów stanąć przed sądem, ale jego przeciwnicy głupi nie byli – wiedzieli, że nic nie zdziałają, gdy ich ofiara będzie miała pod bokiem tysiące rozentuzjazmowanych żołnierzy, których był wodzem. Oskarżonemu powiedziano więc, że może płynąć na Sycylię, a kwestię jego winy lub niewinności rozstrzygnie się później.

W ten sposób Alkibiades poprowadził ekspedycję do Italii, wikłając Ateny w wojnę z Syrakuzami, które nie zamierzały patrzeć bezczynnie na wtargnięcie w ich strefę wpływów. Kiedy jednak arystokrata był już na froncie, do wybrzeży wyspy przybił flagowy okręt ateńskiego polis – „Salamina" – przywożąc mu rozkaz natychmiastowego powrotu do ojczyzny i stanięcia przed



Hełm grecki FOT. ADOBE STOCK

sądem. Alkibiades zdawał sobie sprawę, że jeśli zjawi się w Atenach teraz, gdy wszyscy jego zwolennicy byli na Sycylii, to wrogowie bez przeszkód uznają go winnym domniemanego bluźnierstwa, za co karą będzie śmierć. Dlatego choć posłusznie wszedł na pokład „Salaminy", to przy postoju w najbliższym kontynentalnym porcie uciekł ze statku i zapadł się pod ziemię

Z nieprawego łoża

„Ateński lew" nie pozwolił rodakom zbyt długo zachodzić w głowę, co też się z nim stało – wkrótce do Attyki przyszły wieści, że Alkibiades jest w… Sparcie. Co więcej, nie siedział tam z założonymi rękami, tylko namawiał Spartan do wsparcia Syrakuz w wojnie z Atenami!

Gdyby ktoś z Ateńczyków zobaczył w tamtych dniach rozmiłowanego w luksusach Alkibiadesa, prawdopodobnie by go nie poznał. Natychmiast po przybyciu do Sparty przeszedł całkowitą metamorfozę – zapuścił długie włosy na modłę gospodarzy, żył po spartańsku i żywił się słynną lokalną polewką. Była ona podobno na tyle paskudna w smaku, że przestawało dziwić, dlaczego spożywający ją Spartanie nie boją się śmierci. Nawet zgon miał być lepszą perspektywą niż życie na takiej diecie...

Zdrajca osiągnął swój cel. W roku 414 p.n.e. na Sycylię pożeglowała spartańska flota z korpusem ekspedycyjnym mającym wspomóc Syrakuzy. W niedługim czasie ateńska ekspedycja zakończyła się totalną katastrofą. Ateńczycy zostali rozgromieni przez Sycylijczyków i ich nowych sojuszników, a ci, którzy przeżyli bitewną rzeź, trafili do kamieniołomu, gdzie warunki, w których ich trzymano, były tak zabójcze, że zasadne wydaje się nazwanie tego miejsca pierwszym w dziejach obozem koncentracyjnym. Okrutną niewolę przeżył tylko jeden człowiek, którego zwycięzcy oszczędzili, bo potrafił pięknie recytować poezję.

Dość szybko Spartanie wkroczyli do Attyki, a wojna peloponeska rozgorzała na nowo. Tym razem jednak zmienili strategię, przyjmując za swój plan, którego autorem był walczący teraz przeciw własnej ojczyźnie Alkibiades. Podczas gdy poprzednio najeźdźcy, złupiwszy krainę w sezonie wiosenno-letnim, jesienią wracali do siebie, teraz założyli ufortyfikowany obóz w Dekelei. Ateńczycy nie byli już w stanie opuścić obrębu Długich Murów i wrócić do swych gospodarstw, by hodować zboże czy oliwki. Stali się całkowicie zależni od importu żywności drogą morską, zostając więźniami we własnym kraju.

Dowodzący trzymającymi Ateny w oblężeniu wojskami spartański król Agis miałby zatem powody do zadowolenia, gdyby z Peloponezu nie zaczęły przychodzić dziwne wieści. Otóż ojczysty półwysep Spartan nawiedziło trzęsienie ziemi, w trakcie którego widziano Alkibiadesa… wybiegającego nago z królewskiego domu! Wkrótce zrobiło się jeszcze dziwniej, bo żona Agisa urodziła syna, choć sam Agis nie gościł w jej łożu od 10 miesięcy! Prawda szybko wyszła na jaw, bo sprawca całego zamieszania nie umiał trzymać języka za zębami i wkrótce zaczął się chwalić uwiedzeniem królowej, co uczynił, by na tronie Sparty od tej pory zasiadali jego potomkowie.

Sama niewierna monarchini też nie wypierała się romansu, nazywając swego synka „małym Alkibiadesem". Czegoś takiego dumny król Sparty znieść nie mógł i kazał swoim ludziom pozbyć się kłopotliwego gościa. Rozkazu tego królewscy siepacze jednak nie zdążyli

eprasa.pl 4ae40cb95d

wykonać, bo Alkibiades, czując, co się święci, zbiegł do Azji Mniejszej, na dwór perskiego satrapy, który zatrudnił go jako konsultanta do spraw greckich.

Bez niego ani rusz

Wkrótce do Aten przyszły kolejne wieści od ich syna marnotrawnego. Alkibiades oferował swoje nowe wpływy w Persji, by załatwić rodakom pieniądze na prowadzenie wojny. Warunkiem była jedna amnestia dla niego i zastąpienie demokracji rządami oligarchicznymi. W gruncie rzeczy były to puste obietnice, bo arystokrata przeceniał swoje znaczenie na dworze satrapy, ale padły one jednak na podatny grunt. W Atenach doszło do oligarchicznego przewrotu i objęcia władzy przez Radę Czterystu. Jednak jej rządy okazały się nadzwyczaj nieudolne, a stacjonujący na Samos żołnierze odrzucili zwierzchnictwo oligarchów i zaczęli demokratyczną kontrrewolucję… wzywając Alkibiadesa, by stanął na ich czele!

Arystokrata, który de facto doprowadził do powstania oligarchicznego reżimu, teraz poprowadził przeciw niemu demokratyczną opozycję… Można się było w tym wszystkim pogubić, dość że Czterystu odsunięto od władzy, a główny prowodyr uzyskał ułaskawienie. Przez następne cztery lata, aż do roku 407 p.n.e., dowodził flotą ateńską, odnosząc na jej czele liczne sukcesy w walkach przeciw Spartanom. Gdy po tym czasie wpłynął na czele swej eskadry do Pireusu, a Ateńczycy zobaczyli ogrom przywiezionych przez niego łupów, został powitany jako bohater. Jednak były to już ostatnie chwile sprzyjającego losu.

W rok po triumfie fortuna odwróciła się od Alkibiadesa. Jego siły morskie zostały rozgromione przez flotę spartańskiego admirała – Lizandra. Klęska nie wynikała z braku talentu dowódczego Alkibiadesa, lecz z tego, że w trakcie rozstrzygającej bitwy przebywał on na lądzie, komendę nad okrętami zostawiając swemu zastępcy. To zaniedbanie obowiązków sprawiło, że wrogowie wodza podnieśli łby i oskarżyli go o to, że zostawił swą flotę nieudacznikom, by samemu oddać się orgii z prostytutkami. Rozgoryczony lud ateński, którego łaska na pstrym koniu jeździła, na tym etapie wojny pałał już rządzą krwi i skazywał nieudolnych dowódców na śmierć. Alkibiades wiedział, że jeśli teraz wróci do ojczyzny, to marny jego los. Dlatego po raz kolejny czmychnął, tym razem na Chersonez Tracki, gdzie zawczasu przygotował sobie ufortyfikowaną kryjówkę. Tam spędzał czas, pijąc na umór z dzikimi Trakami. A tymczasem ateńskie imperium waliło się w gruzy.

Zabić lwa

1 września 405 r. p.n.e. doszło do ostatecznej konfrontacji sił morskich Aten i Sparty w bitwie pod Ajgospotamoj. Zakończyła się ona totalną klęską Ateńczyków i unicestwieniem ich floty. Na wieść o tej porażce sprzymierzone z Atenami miasta odwróciły się od nich, rok później ojczyzna demokracji skapitulowała przed zwycięskimi Spartanami, co zakończyło krwawą wojnę peloponeską. Spartanie zburzyli Długie Mury i zlikwidowali rządy ludu, narzucając polis władzę tzw. Trzydziestu Tyranów. Była to krwiożercza banda zdrajców i kolaborantów, którzy władali za pomocą terroru i mordów politycznych. Uciśnieni Ateńczycy coraz częściej zastanawiali się, gdzie jest ich Alkibiades, w nim bowiem widzieli ostatnią nadzieję na ocalenie,

To samo pytanie zadawali sobie także Trzydziestu Tyranów oraz pałający żądzą zemsty za przyprawienie mu dekadę wcześniej rogów spartański król Agis. Wkrótce udało się ustalić, że „ateński lew" przebywa na dworze perskiego satrapy Bitynii Farnabazosa i zabiega o spotkanie z samym Królem Królów. Natychmiast na wschód pomknęli gońcy z prośbą o wydanie zbiega, którego mieli zlikwidować. Satrapa początkowo odmówił skazania własnego gościa na pewną śmierć, ale że Alkibiades, mimo iż przegrał wszystko, co przegrać się dało, zachowywał się w sposób niesamowicie arogancki, zdenerwowany Farnabazos w końcu zdecydował się go pozbyć i osobiście podpisał się pod jego wyrokiem śmierci.

Jednak Alkibiadesa nie tak łatwo było dopaść. Umknąwszy z dworu bityńskiego zarządcy, ruszył w głąb imperium perskiego. Ścigający go ludzie od mokrej roboty dopadli uciekiniera dopiero na tzw. Wzgórzu Jeleni, gdzie zatrzymał się na odpoczynek. Bojąc się uczciwej walki, podpalili budynek, w którym ich ofiara spała, po czym, gdy arystokrata wyskoczył z płomieni, zakłuli go włóczniami. Dwulicowy „ateński lew", śmiertelnie ranny, skonał w ramionach towarzyszącej mu w czasie ucieczki hetery...

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Walka hoplitów FOT. COMMONS WIKIMEDIA/LOUVRE MUSEUM

eprasa.pl 4ae40cb95d



Marek Gałęzowski

1939–1945 / Realia polskiej prowincji

Okupacja niemiecka okiem Rembeka



Stanisław Rembek
FOT. WIKIPEDIA/ARCHIWUM PAŃSTWOWE W PIOTRKOWIE TRYBUNALSKIM

Dziennik pisarza został określony jako kronika bólu zbiorowości i jednostek

Stanisław Rembek jest autorem jednych z najlepszych w literaturze polskiej powieści o wojnie z bolszewikami, których Niemcy zabronili rozpowszechniać; jak zauważył ich autor – podobnie nie pozwolili na publikację „żadnych [innych] dotyczących historii, kultury polskiej i wojska polskiego". Po wojnie napisał głośny, zekranizowany kilkadziesiąt lat później przez Andrzeja Wajdę „Wyrok na Franciszka Kłosa", a także świetne opowiadania o powstaniu styczniowym, z których dwa również przeniesiono na ekran.

Jednak Stanisław Rembek, o którym mowa, był także autorem dzienników, które zaczął prowadzić jeszcze jako gimnazjalista w początkach pierwszej wojny światowej. Najbardziej dojrzałą formę, a jednocześnie wartość poznawczą zyskały te z czasów jego służby w WP w okresie wojny polsko-bolszewickiej. Z kolei wznowiony niedawno „Dziennik okupacyjny" powstał w czasie drugiej wojny światowej (przy czym większość zapisów obejmuje pierwsze jej lata) i – jak przenikliwie zauważył autor opracowania tekstu, Maciej Urbanowski – jego oryginalność polega głównie na tym, że spostrzeżenia autora i przekazywane informacje są „perspektywą mieszkańca prowincji".

Znowu przyjechali Niemcy i bili wszystkich

Widziany z perspektywy małomiasteczkowej obraz okupacji w Polsce nie różnił się szczególnie od wielkomiejskiej. I w środowiskach lokalnych przybrała ona formę nieznanego wcześniej w dziejach Polski okrucieństwa, którego nie doświadczyło żadne państwo w całości

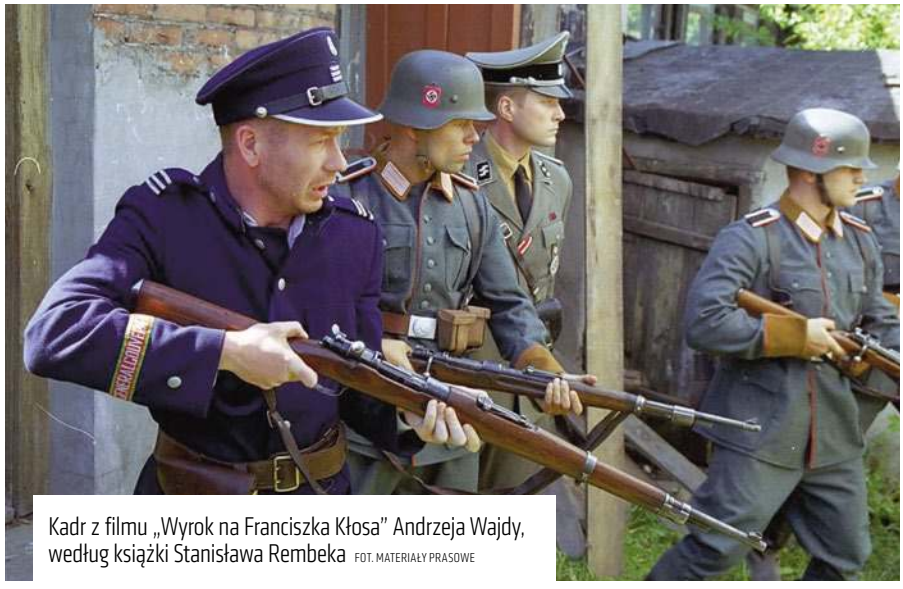
eprasa.pl 4ae40cb95d

okupowane przez III Rzeszę w czasie wojny, okrucieństwa znaczonego masowymi zbrodniami na Polakach i niemal całkowitą zagładą obywateli polskich pochodzenia żydowskiego. Masowy terror był połączony z poniżaniem godności ludzkiej, a świadectwo Rembeka jest kolejnym dowodzącym powszechności tego zjawiska. „W Grodzisku robiono obławę przy udziale miejscowych volksdeutscherów, którzy zamykali kordonami ulice, trzymając się za ręce. W Warszawie łowy na ludzi odbywają się bez przerwy" – pisał w maju 1940 r. W Grodzisku podobna łapanka miała miejsce ledwie tydzień później: „Robili ją Niemcy miejscowi […]. Przeszukiwali domy i brali wszystkich bez różnicy płci i wieku, bijąc kolbami nawet kobiety". Podobnie było w Milanówku: „Na targu srożyli się Niemcy, bijąc po twarzach mężczyzn i kobiety", i później – „na targ do Milanówka znowu przyjechali Niemcy i bili wszystkich".

W innym miejscu wspomina także o młodym Niemcu, cywilu, zawsze pijanym i zmuszającym Polaków pod groźbą rewolweru do picia z nim po to, by „ich jak najbardziej upokarzać". Jak konstatuje pisarz, „nic na to poradzić nie można, gdyż nie przypuszczam, aby partyjny narodowy socjalista mógł mieć najmniejszą nieprzyjemność za zabicie Polaka". Przekonującym dowodem tych słów o bezkarności były choćby wypadki rozjeżdżania przez niemieckie pojazdy rowerzystów lub pieszych – sam autor dziennika z żoną omal nie stracili w ten sposób życia. Takie postępowanie wynikało z zamierzonej polityki niemieckiej – sam Rembek miał się o tym przekonać, kiedy w jednym z urzędów niemieckich usłyszał przemówienie z okazji święta policyjnego, podczas którego „mówca, jak zwykle, usiłował budzić w słuchaczach najbardziej krwawą nienawiść do Polaków". I jeszcze jeden przejaw przemocy niemieckiej, pastwienia się nad ludźmi, z pierwszych jeszcze miesięcy okupacji, odnotowany przez Rembeka: „Spotkałem długą kolumnę trójkową Żydów o wyglądzie inteligentów. Jeden z pędzących ich młodzieńców hitlerowskich biegał niestrudzenie jak pies owczarski od czoła do tyłu i z powrotem, bijąc i szturchając jednego po drugim. Gdybym tego nie widział, nigdy bym nie uwierzył, że może istnieć podobna nienawiść".



Kolejka EKD w Grodzisku Mazowieckim
FOT. ARCHIWUM IZBY TRADYCJI EKD/WKD



Kadr z filmu „Wyrok na Franciszka Kłosa" Andrzeja Wajdy, według książki Stanisława Rembeka FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Na kartach dzienników pojawiają się również informacje dotyczące Polaków wysiedlonych z ziem wcielonych do Rzeszy. Te nieliczne wzmianki dopełniają obrazu i tej tragedii Polaków, spowodowanej polityką niemiecką. I tak Polakom wysiedlonym z Łaska nie pozwolono zabrać żadnych rzeczy osobistych. Dla pozostałych, nielicznych polskich mieszkańców „szczególnie bolesne było spotykać świeżo osiedlonych Niemców wołyńskich i bałtyckich, ucharakteryzowanych na dawnych przyjaciół czy sąsiadów wskutek tego, że nosili ubrania pierwotnych właścicieli".

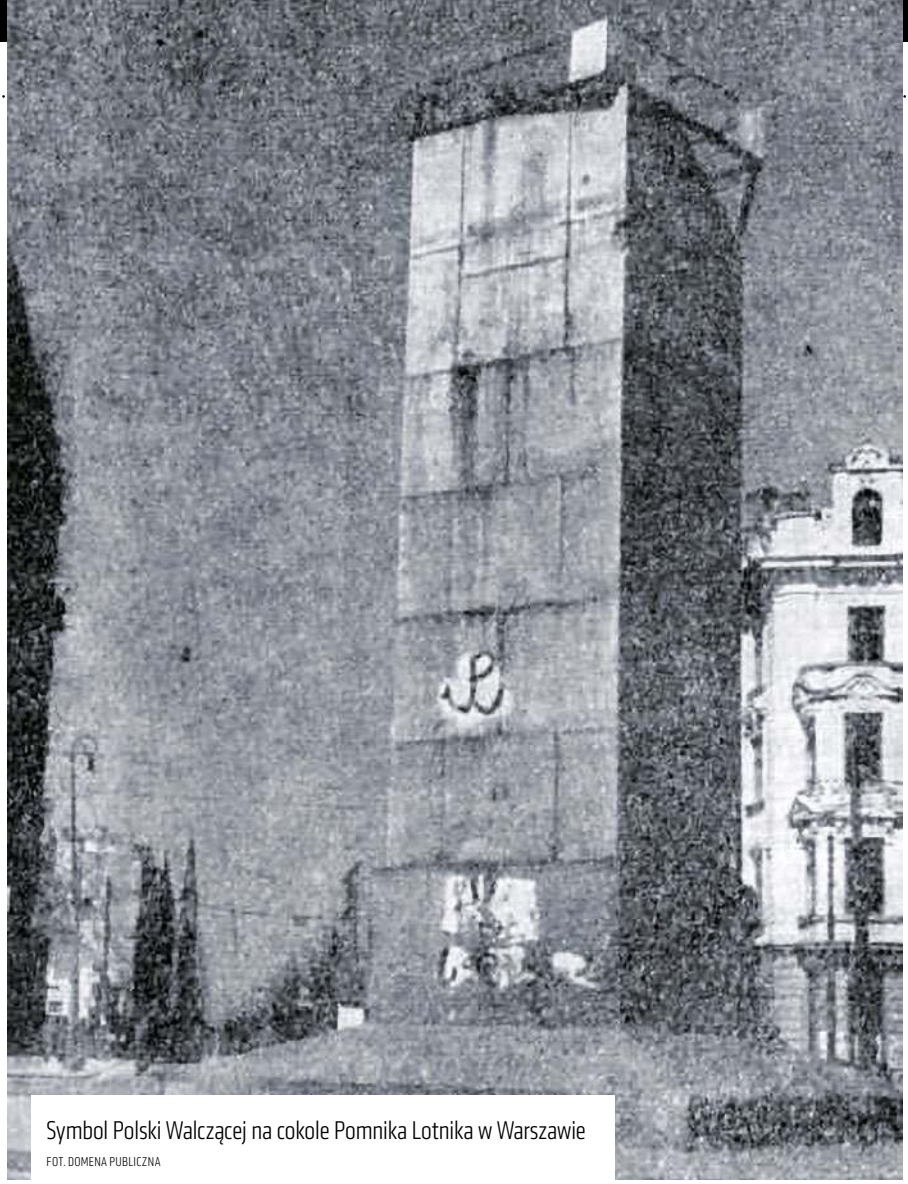
W dzienniku znajdziemy też informacje o innych formach represji, które wobec bardziej drastycznych prześladowań zatarły się w pamięci. Taką była akcja w maju 1940 r., kiedy w „szkołach powszechnych warszawskich zabierano gwałtem dzieciom krew dla rannych". Miało to nastąpić także w Milanówku; młodzież zareagowała wówczas biernym oporem, pozostając w domu lub wybierając się ze swoimi nauczycielami na wycieczkę do pobliskich lasów.

Opisując niemieckie okrucieństwa, Rembek zastanawiał się nad ich przyczynami, jak w pierwszych miesiącach okupacji, kiedy stawiał pytanie, dlaczego Niemcom tak „zależy na ciągłym podsycaniu nienawiści do siebie". Odnotowywał też – choć bardzo rzadkie – postawy przeciwne, które skłaniały go do szukania nadziei na zmianę zachowań przynajmniej miejscowych Niemców, jak w jednym z zapisów z listopada 1940 r., jakoby ich stosunek do Polaków „zmienił się wybitnie na korzyść", ponieważ rzekomo zrównano niemal jednych i drugich, wszelkie przywileje pozostawiając Niemcom z Rzeszy.

eprasa.pl 4ae40cb95d

Podobnie pisał i później – o nastrojach optymizmu związanych z mową Hansa Franka, latem 1941 r. Wszystkie nadzieje okazały się płonne, powszechny terror miał trwać do ostatniego dnia pobytu Niemców na ziemiach polskich.

Dziennik jest także zapisem okupacyjnej codzienności w jej społecznym wymiarze. Rembek notuje więc informacje dotyczące stałej walki z niedożywieniem, również powodowanym celową polityką niemiecką. „Mleko tłuste oraz masło są wyłącznie dla Niemców. Z Polaków jedynie burmistrz Radgowski dostaje kilogram masła na miesiąc, gdy samotny szofer Niemiec dostaje cztery kilogramy tygodniowo. Również przy wydawaniu jaj na kartki Polacy dostają po jednej sztuce, a Niemcy po 24" – pisał. Dostrzegał i zachowania nie zawsze zgodne z potocznym dziś widzeniem postaw społecznych w czasie okupacji, które zresztą można tłumaczyć jako pomysł na przetrwanie: „Na każdym rogu gra jakaś orkiestra, śpiewa jakiś tenor arie operowe lub też zespół weteranów i inwalidów z ostatniej wojny okropnie fałszuje różne pieśni patriotyczne czy wojskowe. Niektórzy z nich niewątpliwie pokupowali sobie mundury, a nawet kule dla poruszenia serc rodaków".



Symbol Polski Walczącej na cokole Pomnika Lotnika w Warszawie

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Z przodu zero, z tyłu zero...

Podczas swoich licznych wyjazdów do Warszawy Rembek dostrzegał różne przejawy oporu wobec Niemców. Są one zwykle znane także z innych przekazów, w tym wypadku jednak o tyle wartościowe, że pochodzące z bieżących zapisków. Widział więc żółwie „wyrysowane kredą na parkanach i murach kamienic" czy domalowaną czarną farbą datę „1812" na mapach ZSRS wystawionych w mieście przez Niemców. Z tym ostatnim wiązało się też kolejne, mniej znane hasło oporu cywilnego, nawiązujące zarówno do wojny z Sowietami, jak i powszechnego rabunku futer należących do polskich Żydów – wielki napis namalowany na Pradze: „Hitlerku, nie wygrasz wojny w żydowskim futerku". Często jednak nie odwoływano się do metafory, lecz wprost pisano: „Polska zwycięży".

A 1 kwietnia 1942 r. autor „W polu" wszędzie widział napisy: „Polska walcząca, utworzone w ten sposób, że na czele stała kotwica, której górna część stanowiła litera P, a dolna – W". Było to ledwie kilkanaście dni po tym, jak znak Polski Walczącej po raz pierwszy pojawił się na murach Warszawy.

Formą jeśli nie oporu, to chociażby podtrzymywania ducha były także żarty z okupanta i jego sojuszników, np. taki: oto w drukowanej mowie Mussoliniego do słów „złamiemy Grecji kręgosłup" wkradła się omyłka zecerska – między „złamiemy" a „Grecją" znalazł się przyimek „w". Po wprowadzeniu linii tramwajowej, przeznaczonej wyłącznie dla Niemców, mówiono: z „przodu zero, z tyłu zero, w środku gówno". Wspomina i słynne „tylko świnie siedzą w kinie", ale przyznaje, że mimo to zdarzyło mu się, na prośbę żony, towarzyszyć jej na jednym z seansów, z którego ta wyszła rozbawiona. Lektura dziennika w jakimś sensie potrafi wyjaśnić to pragnienie jakiejkolwiek odskoczni od grozy okupacji.

Interesujące jest potwierdzenie powszechnego załamania nastrojów społecznych po kapitulacji Francji, co „wywołało wrażenie chyba większe niż upadek Warszawy". Ta depresja była przejściowa. Już trzy miesiące później Rembek odnotowywał w Warszawie „nastroje pełne optymizmu" i niesłychaną „solidarność wszystkich warstw społecznych". Zwracał jednak uwagę także na inne, mniej chwalebne postawy, wśród nich i takie, jak pewnego znajomego: „Nic się nie zmienił w swej nienawiści do narodu polskiego i radości z jego niepowodzeń". Wcale nie było to jednostkowe zachowanie – na kartach dziennika znajdziemy jeszcze kilka takich przykładów, jak niejakiego Truszkowskiego,

eprasa.pl 4ae40cb95d

należącego „do tego typu »inteligentów« polskich, którzy wszystko złe widzą w swoim narodzie, a wszystkie zalety w obcych, zwłaszcza wrogich. W tym wypadku oczywiście wychwalał Niemców". W innym miejscu wspomina o znajomej, która dobrowolnie zapisała się na roboty w Prusach Wschodnich.

Tadeusz Rydz-Śmigły?

Wydanie dziennika w ramach dzieł zebranych Rembeka (nakładem PIW) zostało opracowane, jak wspomniano, przez prof. Macieja Urbanowskiego, wybitnego historyka literatury polskiej, który w ostatnich latach przygotował wiele podobnych, ważnych edycji dzieł pisarzy i krytyków literackich, jak chociażby Stanisława Brzozowskiego, Karola L. Konińskiego czy Andrzeja Trzebińskiego. Częścią opracowania są również przypisy do treści dziennika. Zostały one sporządzone zgodnie z powszechnie dziś spotykaną formą bardzo ogólnych, zwykle krótkich notek, w większości biograficznych, odnoszących się do osób występujących w tekście.

Niektóre postaci takich objaśnień się jednak nie doczekały. Czytelnik nie dowie się, kim był Pater z Grodziska, aresztowany przez Niemców wraz z żoną za posiadanie radia. Tymczasem mowa o Józefie Paterze (1897–1942), pseudonim Orlot, legioniście, artyście malarzu, komendancie konspiracyjnej Gwardii Obrony Narodowej, jednej z organizacji, która weszła w skład Konfederacji Narodu (pierwszej – w odróżnieniu od tej, którą później stworzył Bolesław Piasecki). Po aresztowaniu „Orlot" był więziony na Pawiaku, a wywieziony wiosną 1942 r. do niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz zginął tam po kilku tygodniach. Jego żona Helena, do której również brak odniesienia, została wywieziona z Pawiaka do Ravensbrück, gdzie także została zgładzona. Biogram Patera znajduje się w klasycznej można powiedzieć publikacji dotyczącej Polski podziemnej – „Słowniku biograficznym konspiracji warszawskiej" Andrzeja K. Kunerta.



STANISŁAW REMBEK
„DZIENNIK OKUPACYJNY"
AGAWA

W przypisach zdarzają się też błędne informacje. Odnosząc się do udziału w kampanii 1939 r. wyższych oficerów 25. pp, daty życia podano przy nazwisku mjr. Stanisława Juszczakiewicza, ale w wypadku płk. Świtalskiego już nie, ograniczając się jedynie do powtórzenia informacji zawartych w tekście Rembeka. Ale przede wszystkim dokonano błędnej identyfikacji tego oficera. Mowa bowiem nie o płk. dypl. Stanisławie Świtalskim (1890–1939), oficerze Legionów Polskich, w międzywojniu m.in. dowódcy 16. DP, poległym w bitwie nad Bzurą. W rzeczywistości w dzienniku wspomniany jest dowódca 25. pp, płk dypl. Adam Świtalski (1894–1952), który później jako „Dąbrowa" dowodził 3. DP AK w czasie akcji „Burza" na Lubelszczyźnie, po czym został internowany przez Sowietów. Jan Marian Malinowski – gdyż tak poprawnie brzmiały personalia tego czołowego polityka PPS z czasów walk o niepodległość i międzywojnia – był posłem na Sejm RP, a później senatorem – z całą pewnością taka informacja powinna znaleźć się w poświęconej mu nocie. Zdziwienie budzi też przypis dotyczący marsz. Śmigłego-Rydza. Błędnie podane imię Tadeusz tej dość chyba znaczącej postaci w polskim międzywojniu, a także powyższe uwagi (których znalazłoby się więcej) wzbudzają pewną wątpliwość co do odpowiedniej wnikliwości redakcji przypisów książki, w końcu niezbyt licznych i niezbyt obszernych. Trudno bowiem winić za każdą nieścisłość autora opracowania – gdyby za wszystko miał on odpowiadać, to czemu w ogóle miałaby służyć redakcja książki? Bo chyba nie polega ona jedynie na poprawieniu interpunkcji.

Dodajmy jeszcze do tych uwag, że „Dziennik okupacyjny" Rembeka jest poza wspomnianymi także wartościowym źródłem do biografii samego autora, jak również literatów i krytyków, z którymi spotykał się w czasie swoich licznych przyjazdów do Warszawy. Zarówno tych znanych, jak Ferdynand Goetel, Karol Irzykowski (pisarz odnotowuje jego dość osobliwy pogląd, dotyczący źródeł ówczesnej przewagi Niemiec w wojnie), jak i mniej znanych, z których wymieńmy Wojciecha Bąka czy Stanisława Piołun-Noyszewskiego. Uzupełniając informacje dotyczące tego ostatniego, warto wspomnieć, że poza powieściami obyczajowymi napisał także historyczną, związaną ze zrywem styczniowym 1863 r. „Powstańcy", zbiór wierszy „Akordy", a także opracowania dotyczące Stefana Żeromskiego, przyjęte zresztą krytycznie przez badaczy twórczości autora „Urody życia". Swoje artykuły polityczne, publikowane w prasie narodowej, zebrał w połowie lat 30. w książkach „Trzy panny z Kurzelowa. Opowieści świętokrzyskie" i „Brewerie". W czasie okupacji niemieckiej działał w konspiracyjnym Stronnictwie Narodowym. Został aresztowany przez gestapo wraz z jednym z czołowych działaczy tej partii, wybitnym ekonomistą prof. Romanem Rybarskim. W Auschwitz-Birkenau uczestniczył w tajnych wieczorach literackich, recytując z pamięci swoje utwory dopóty, dopóki po kilku miesiącach nie został zamordowany. Jeszcze jeden dziś całkiem zapomniany polski inteligent, zgładzony przez Niemców w czasie wojny.

***

Wśród najbardziej wstrząsających zapisów „Dziennika okupacyjnego" Rembeka jest ten dotyczący zmasakrowania przez Niemców młodej dziewczyny Resslerówny (Rezlerówny), aresztowanej na stacji w Milanówku z tajną prasą, będący uderzającym przykładem cierpienia jako ceny płaconej przez szeregowych uczestników walki cywilnej o Polskę. W kontekście tej i innych przytoczonych treści świadectwo Stanisława Rembeka, jedno z ważniejszych dotyczących okupacji niemieckiej, najlepiej oddają słowa Macieja Urbanowskiego – że jest ono „swoistą kroniką bólu. Zbiorowości i jednostek"; bólu zarówno fizycznego, jak i duchowego. Bólu, którego jednym ze źródeł była także bezsilność wobec terroru, powszechnie zadawanej krzywdy i cierpienia, nigdy wcześniej niespotykanych na ziemiach polskich w tak potwornej, powszechnej skali.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN.

eprasa.pl 4ae40cb95d



Mercedes, który zdezorientował ugandyjskich żołnierzy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/IDF NATIONAL PHOTO COLLECTION OF ISRAEL

1976 r. / Żydowski cud w Ugandzie

Piorun z Izraela



Piotr Włoczyk

Zakładnicy byli przekonani, że nikt ich nie uratuje. Żołnierze Sajjeret Matkal dokonali jednak niemożliwego i przeszli do historii najbardziej spektakularnych operacji specjalnych

Chwilę po starcie z Aten zwróciłam uwagę na bardzo dziwne zachowanie stewardesy, która akurat przechodziła z pierwszej klasy do klasy ekonomicznej, gdzie siedzieliśmy. Była biała na twarzy, wyglądała na śmiertelnie przerażoną – wspominała w rozmowie ze mną Sara Davidson, pasażerka feralnego lotu Air France 139. – Szepnęłam do męża: „Uzi, właśnie zostaliśmy porwani". Odpowiedział, że to tylko moja bujna wyobraźnia. Moment później widzieliśmy już dwóch Arabów biegających po samolocie, wymachujących pistoletami i granatami. Usłyszeliśmy też głos niemieckiego porywacza, który mówił po angielsku z bardzo ciężkim niemieckim akcentem. Czwartym porywaczem była jego rodaczka. Widać było, że Niemcy byli świetnie przeszkoleni i działali według konkretnego planu, natomiast ci młodzi Arabowie zachowywali się bardzo nerwowo. Terroryści zakazali nam rozmawiać między sobą, więc nikt się nie odzywał.

W jednej chwili marzenie izraelskiej rodziny zamieniło się w horror. Państwo Davidson, wraz z dwoma nastoletnimi synami, lecieli właśnie w podróż życia do USA. Była niedziela, 27 czerwca 1976 r. Dla chłopców była to pierwsza podróż zagraniczna. Sara wraz z Uzim latali zawsze najbezpieczniejszymi w ich mniemaniu izraelskimi liniami El Al, ale tym razem wybrali Air France z uwagi na atrakcyjną cenę biletów. W Paryżu rodzina miała się przesiąść w samolot do

eprasa.pl 4ae40cb95d

USA, ale na trasie z Tel Awiwu do stolicy Francji było jeszcze międzylądowanie w Atenach. I to właśnie tam, wykorzystując luki w systemie bezpieczeństwa na ateńskim lotnisku, na pokład samolotu przewożącego 260 osób weszli uzbrojeni terroryści.

– Bałam się, że porywacze mogą nas rozdzielić i będą nas po kolei rozstrzeliwać. Pamiętam, że gdy w tamtym momencie spojrzałam na moich synów, ich niebieskie oczy zrobiły się ogromne z przerażenia. Cały czas powtarzali: „Boże, dlaczego to spotkało akurat nas?" – opowiadała urodzona w 1934 r. Sara Davidson. – Wiedzieliśmy, do czego tacy terroryści byli zdolni, ale jeżeli już człowiek znajdzie się w takiej sytuacji, to kurczowo trzyma się nadziei, że będzie dobrze, choćby nie wiem, co się działo. Wśród nas było wiele religijnych osób, które cały czas się modliły. My nie jesteśmy wierzący, więc pozostawała nam zwykła nadzieja, że jakimś trafem uda nam się wyjść z tego cało. Mój mąż, który był nawigatorem w izraelskich siłach powietrznych, zachowywał się spokojnie. W kieszeni koszuli miał swoją przepustkę wojskową. Ten papierek mógłby oznaczać dla niego wyrok śmierci, dlatego zjedliśmy go, a resztki wsadziliśmy do środka pustej puszki po coca-coli.

Szalony Amin

Kilka minut po starcie z Aten terroryści opanowali maszynę i kazali załodze obrać kurs na Libię. Mogli tam liczyć na pomoc Muammara Kaddafiego. Libijski dyktator pozwolił porywaczom zatankować samolot i wylecieć na południe. Miejscem docelowym dla czworga terrorystów była Uganda rządzona przez Idiego Amina.

– Dwóch było bojownikami Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny, a dwoje – mężczyzna i kobieta – członkami niemieckiej grupy terrorystycznej Komórki Rewolucyjnej. Była to ekstremistyczna, skrajnie lewicowa organizacja, która działała w Niemczech w latach 70. i 80. Jej celem było – zgodnie z nazwą – obalenie ustroju kapitalistycznego w Niemczech. Ludzie ci, w większości lewicowi intelektualiści, uważali, że niemiecki establishment jest nafaszerowany narodowymi socjalistami – tłumaczył w rozmowie z „Historią Do Rzeczy" prof. Saul David, autor książki „Operation Thunderbolt: Flight 139 and the Raid on Entebbe Airport". – Na świecie działała wówczas lewicowa międzynarodówka terrorystyczna. Oprócz niemieckich lewaków i Palestyńczyków w jej skład wchodziła m.in. IRA. Ludzie ci mieli wspólny cel – zniszczenie „imperialistycznych reżimów".



Izraelski lockheed C-130 Hercules FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ MOSHE MILNER/ISRAEL'S GOVERNMENT PRESS OFFICE

Samolot Air France, lot 139, wylądował po kilku godzinach na lotnisku w Entebbe – miasteczku położonym nad Jeziorem Wiktorii. Co ciekawe, gdy izraelscy pasażerowie zobaczyli na miejscu z okien samolotu Idiego Amina, nagle pojawił się w ich sercach płomień nadziei.

– To była wielka radość dla wszystkich Izraelczyków. Wiedzieliśmy, że prezydent Ugandy wielokrotnie odwiedzał Izrael, więc kojarzyliśmy go jako człowieka, który jest przyjacielsko nastawiony do naszego narodu. Myśleliśmy, że ta historia właśnie się skończyła dla nas happy endem – opowiadała Sara Davidson.

Problem w tym, że Idi Amin kilka lat wcześniej zmienił front. Nie chciał oddawać Izraelowi pożyczonych pieniędzy, więc po nowe środki zgłosił się do krajów arabskich. Pasażerowie samolotu nie rozumieli, że ugandyjskiemu dyktatorowi zupełnie nie zależało na ich życiu. Mało tego – od pewnego czasu Amin był zażartym wrogiem państwa Izrael i z chęcią udzielił terrorystom wszelkiego



Lotnisko w Entebbe FOT. COMMONS WIKIMEDIA/US ARMY AFRICA LTC DAVID KONOP

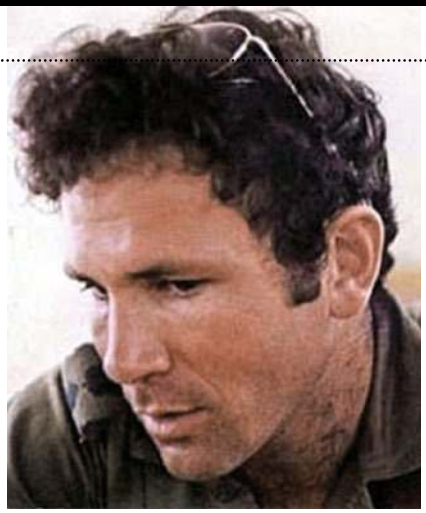
eprasa.pl 4ae40cb95d

wsparcia, łącznie z oddelegowaniem do pomocy im oddziału żołnierzy ugandyjskich sił zbrojnych.

– Zastanawiało nas, dlaczego wszyscy na płycie lotniska byli w świetnych nastrojach. To, po której stronie stanął Amin, wyjaśniło się dopiero, gdy porywacze wypuścili nas z samolotu: przeszliśmy przez szpaler wymachujących karabinami ugandyjskich żołnierzy. Zostaliśmy zaprowadzeni do starego terminalu. Wtedy dotarło do nas, że nie wrócimy do domu. Staliśmy się więźniami – wspominała Sara Davidson. – Na pokładzie samolotu każdy bał się, że dojdzie do wybuchu w powietrzu, więc nikt nie pisnął ani słówka. Po wejściu do tego starego, brudnego budynku wiele osób wpadło w histerię. Musiałam zająć się dziećmi. Wybraliśmy dla siebie swój róg i po prostu czekaliśmy na rozwój wypadków. Ten szaleniec Idi Amin przychodził do nas codziennie i za każdym razem powtarzał te same bzdury. Nie pozwalał na zadawanie sobie pytań. Przyprowadzał ze sobą swojego synka, ubranego tak samo jak ojciec w mundur wojskowy z medalami. Czasem przychodził do nas ze swoją piękną żoną. Idi Amin był gigantem, jeżeli chodzi o gabaryty. Któregoś razu mój młodszy syn tak się go wystraszył, że przepchnął mnie do tyłu, żebym nie stała tak blisko tego potwora. Szybko zorientowaliśmy się jednak, że ugandyjski dyktator tak naprawdę nie miał wiele do powiedzenia w tamtej sytuacji. Porywacze mieli swój własny plan i realizowali go po swojemu.

Nadzieja w Kenii

W końcu pojawiły się konkretne żądania. Terroryści domagali się wypłacenia okupu oraz uwolnienia 40 bojowników palestyńskich przetrzymywanych w izraelskich więzieniach, a także 13 terrorystów z Grupy Baader-Meinhof zamkniętych w RFN. Izraelski rząd wyraził zainteresowanie podjęciem negocjacji, ale równolegle izraelska armia zaczęła przygotowywać plan ratunkowy. Zadanie wydawało się karkołomne. Oba kraje dzieliło w linii prostej ponad 3 tys. km i największym problemem było zatankowanie transportowych herkulesów, które musiałyby zostać użyte w operacji ratunkowej. Gdzie w regionie izraelskie maszyny mogły uzupełnić paliwo na drogę powrotną? Jedynym krajem, który można było brać pod uwagę, była wroga dyktaturze Amina Kenia. Izraelczycy szybko porozumieli się z tamtejszymi władzami i uzyskali od nich obietnicę pomocy. Równocześnie komandosi z elitarnej izraelskiej jednostki Sajjeret Matkal ćwiczyli w specjalnie zbudowanej makiecie terminalu Entebbe odbijanie zakładników. Izraelczycy szykowali się do przeprowadzenia operacji, którą nazwano „Piorun".



Jonatan Netanjahu FOT. COMMONS WIKIMEDIA/CW YONI ORG

– Nasi rodacy szybko dowiedzieli się, że mój mąż służył w siłach powietrznych, więc Uzi często słyszał pytania w tej sprawie. Ludzie chcieli się dowiedzieć, czy taka pomoc jest w ogóle realna. Mój mąż odpowiadał, że moglibyśmy liczyć na akcję sił specjalnych, gdybyśmy byli przetrzymywani bliżej Izraela, np. w Egipcie. Wydawało nam się, że Uganda leży zbyt daleko, aby nasi komandosi mogli próbować nas odbić – opowiadała Sara Davidson.

> Mężczyzna z karabinem w ręku powiedział nam: **„Kochani, jesteśmy tu po to, żeby zabrać was do domu"**. Ten widok można było przyrównać do widoku anioła

Dwa dni po wylądowaniu w Entebbe terroryści podzielili porwanych na dwie grupy – Izraelczyków i wszystkich innych. Szymon Peres, w tamtym okresie szef izraelskiego MON, wspominał po latach, że gdy dowiedział się o tym, pomyślał sobie: „Mój Boże, to będzie mały Holokaust".

– Urodziłam się na terenie dzisiejszego Izraela, ale Niemcy zamordowali w Polsce w czasie wojny wszystkich moich ciotki, wujków, kuzynów i dziadków. Widok Niemki, wywołującej żydowskie nazwiska i przeprowadzającej selekcję, był po prostu potworny. Po oddzieleniu nas od reszty porwanych terroryści zaczęli nas gorzej traktować. Byliśmy zastraszani, musieliśmy też pytać o zgodę na pójście do toalety, co wcześniej nie było problemem. Powiedziano nam, że budynek jest zaminowany i jeżeli ktokolwiek z nas spróbuje wyjść na zewnątrz, to wszystko wyleci w powietrze – wspominała izraelska zakładniczka. – Jeden z moich rodaków został zabrany z naszej grupy na „przesłuchanie", ponieważ terroryści znaleźli przy nim zdjęcia zrobione na Wzgórzach Golan, które bardzo im się nie spodobały. Ten człowiek został ciężko pobity. W naszej „izraelskiej" części terminalu próbowaliśmy jakoś zorganizować sobie życie. Staraliśmy się przede wszystkim zadbać o dzieci, choćby poprzez organizowanie im zabawy. Po trzech dniach w Entebbe zobaczyliśmy przez dziurę w ścianie, jak terroryści wypuszczają na wolność pasażerów, którzy nie mieli izraelskich paszportów. To było strasznie frustrujące.

Terroryści zwolnili ponad połowę zakładników, w ich rękach wciąż pozostawało jednak 94 pasażerów (niemal sami Izraelczycy) i 12 członków załogi, którzy solidarnie postanowili nie opuszczać więzionej grupy. W sobotnie popołudnie, gdy porwani oswajali się z myślą, że następnego dnia o godz. 8 minie ultimatum postawione przez terrorystów, z Izraela wystartowały cztery samoloty transportowe Herkules. Porywacze oraz Idi Amin ewidentnie nie brali pod uwagę możliwości przeprowadzenia tak brawurowej akcji – gdy pierwszy herkules lądował na lotnisku w Entebbe, pas startowy wciąż był podświetlony.

eprasa.pl 4ae40cb95d

– Pierwszy samolot z izraelskimi komandosami wylądował na lotnisku w Entebbe przed północą. Z wnętrza samolotu wyjechała czarna limuzyna – mercedes-benz. A także dwa dżipy wyładowane komandosami z elitarnej jednostki Sajjeret Matkal. Konwój spokojnie ruszył w stronę terminala – tłumaczył prof. David. – Izraelczycy wiedzieli, że najważniejsi oficerowie ugandyjskiej armii jeżdżą takimi mercedesami. Liczyli więc na to, że żołnierze ugandyjscy pilnujący terminalu pomyślą, iż zbliża się do nich któryś z generałów. Początkowo Ugandyjczycy niczego nie podejrzewali. Stali spokojnie i przyglądali się nadjeżdżającym samochodom. Bez wątpienia pomysł by wypalił, gdyby nie głupi błąd popełniony przez dowodzącego akcją oficera – Jonatana Netanjahu. Otóż Netanjahu, który jechał w pierwszym dżipie, wyciągnął pistolet z tłumikiem i zaczął strzelać do strażników. Zrobił to zbyt wcześnie. Nie trafił i wywiązała się strzelanina. Był to błąd wręcz katastrofalny, który mógł zawalić całą misterną operację. Terroryści pilnujący zakładników usłyszeli bowiem strzały i mogli ich wymordować. Izraelczycy zatrzymali samochody i zaczęli z całych sił biec w stronę terminalu. Stracili jednak moment zaskoczenia i dostali się pod ogień Ugandyjczyków. Wtedy kule dosięgnęły Netanjahu. Został śmiertelnie ranny.

– Część z nas już spała. Ja z moim starszym synem siedzieliśmy akurat z dwoma innymi osobami i graliśmy w brydża. Mój mąż czytał książkę, a nasz najmłodszy syn właśnie zasypiał. Rozległy się strzały. Uzi krzyknął, żebyśmy przenieśli się bliżej toalety, gdzie powinniśmy być lepiej osłonięci. Odgłos wystrzałów stał się ogłuszający. Odruchowo położyłam się na młodszym synu. Pamiętam, że chciałam zasłonić każdy fragment jego ciała. Myślałam, że tak właśnie wygląda nasz koniec. Że terroryści i ugandyjscy żołnierze właśnie zaczęli nas mordować. Tak jak mówiłam wcześniej, nie jesteśmy religijni, ale słyszałam, jak mój syn modlił się wtedy, prosząc Boga o ratunek. Ja z kolei tylko myślałam o tym, że jeżeli mam zostać trafiona, to chciałabym zginąć na miejscu. Bałam się umierania w męczarniach. Wołałam mojego męża i starszego syna, ale odgłosy strzelaniny wszystko zagłuszały – opowiadała zakładniczka. – W całym tym chaosie, harmidrze i pośród bryzgającej krwi ktoś z nas krzyknął: „Słuchajcie, to są nasi żołnierze!". Podniosłam lekko głowę i zobaczyłam izraelskiego żołnierza stojącego nade mną. Nie będzie przesadą, jeżeli powiem, że ten widok można było porównać do widoku anioła. Ten niewysoki mężczyzna z wielkim karabinem w rękach zwrócił się do nas po hebrajsku: „Kochani, jesteśmy tu po to, żeby was zabrać do domu". Za każdym razem, gdy wracam do tego momentu, ciężko mi powstrzymać wzruszenie...

52 minuty

W wymianie ognia zginęli wszyscy terroryści, ale kule śmiertelnie zraniły także trzech zakładników. Jak na tak skomplikowaną operację i tak był to jednak ogromny sukces.



Powitanie odbitych zakładników FOT. COMMONS WIKIMEDIA/IDF SPOKESPERSON'S UNIT

– Komandosi próbowali wyprowadzić zakładników na zewnątrz, ogień ugandyjskich żołnierzy był jednak zbyt silny. Żołnierze strzelali m.in. z wieży kontrolnej. Rozpoczęła się zacięta bitwa, Izraelczycy użyli ciężkich karabinów maszynowych i ręcznych wyrzutni granatów – opowiadał prof. David. – Jeden z pocisków rozbił wieżę kontrolną. Dopiero gdy komandosom udało się zdusić ogień przeciwnika, wszyscy pobiegli do samolotów. Maszyny wzbiły się w niebo. Od momentu wylądowania do startu minęły 52 minuty.

Herkules, którym Izraelczycy wracali do ojczyzny, przewoził również ciało poległego Jonatana Netanjahu. Był to brat obecnego premiera, człowiek do dziś otoczony w Izraelu ogromną czcią. Żaden inny izraelski żołnierz nie zginął w trakcie tamtej operacji. Na jego cześć operację „Piorun" przemianowano po wszystkim na „Jonatan".

Na lotnisku Ben Guriona w Tel Awiwie na odbitych zakładników – oraz komandosów – czekał nieprzebrany tłum. Bez cienia przesady można powiedzieć, że była to najbardziej radosna i jednocześnie spektakularna uroczystość powitalna w historii Izraela.

– Miałam wrażenie, że czekał tam na nas cały Izrael! Po powrocie do naszego domu okazało się, że dosłownie toniemy w kwiatach – wspominała Sara Davidson. – Wyglądało to tak, jakby czekali tam na nas wszyscy ludzie, których poznaliśmy z moim mężem przez całe życie.

Sukces operacji „Piorun"/„Jonatan" był bezdyskusyjny i wykraczał poza najśmielsze oczekiwania izraelskich władz. Akcja komandosów Sajjeret Matkal przeszła do historii jako jedna z najbardziej niesamowitych operacji specjalnych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ae40cb95d



Częściowo wypalony gmach „Białego Domu" – parlamentu Rosji FOT. BERGMANN/WIKIPEDIA/CC BY 3.0

1993 r. / Czerwono-brunatni kontra Jelcyn

Egzekucja „Białego Domu"



Maciej Pieczyński

Autorytarne rządy prezydenta w dzisiejszej Rosji nie są wynalazkiem Putina. Obecny system stworzył Borys Jelcyn, wysyłając czołgi na parlament. Zachód poparł wówczas egzekucję „Białego Domu", co dziś paradoksalnie odbija się czkawką całemu NATO

W ostatnich latach istnienia ZSRS zawiązał się egzotyczny alians skrajnej lewicy i skrajnej prawicy, określony mianem „sojuszu czerwono-brunatnego". Ponad podziałami ideologicznymi zjednoczyli się komuniści, monarchiści, nacjonaliści, szowiniści, a nawet neofaszyści. Łączył ich sprzeciw wobec upadku imperium. Chcieli, aby Rosja pozostała mocarstwem. Nieważne jakim – białym, czerwonym czy brunatnym. Ważne, że scentralizowanym, ekspansywnym, ogromnym terytorialnie, agresywnym, antyzachodnim, rządzonym silną ręką.

Punkt widzenia czerwono-brunatnych nie był oderwany od społeczno-politycznych realiów. „Czy jesteś za zachowaniem ZSRS jako federacji suwerennych, równoprawnych republik?" – na to pytanie, zadanie w marcu 1991 r., w ramach ogólnozwiązkowego referendum aż 76 proc. głosujących odpowiedziało twierdząco. Udziału w plebiscycie odmówiła część republik. Rosjanie jednak (większością 71 proc. głosów) poparli istnienie czerwonego imperium. Jednak na czele Rosji stał już wówczas Borys Jelcyn, który otwarcie dążył do rozpadu ZSRS. Słabnący politycznie Michaił Gorbaczow nie był już w stanie przeciwstawić się temu.

Rozpaczliwą próbą zachowania władzy ze strony czerwono-brunatnego skrzydła Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego był nieudany pucz Janajewa w sierpniu 1991 r. Jego niepowodzenie przyspieszyło zwycięstwo opcji Jelcyna. Rosja, już jako Federacja Rosyjska, wyemancypowa-

eprasa.pl 4ae40cb95d

ła się spod wpływu partii komunistycznej i sowieckiego centrum decyzyjnego. Był to jeden z tych momentów w dziejach Rosji, gdy Moskwa, zamiast imperializmu, wybrała nacjonalistyczny izolacjonizm, połączony jednak z polityczną i gospodarczą otwartością na świat zachodni. Przynajmniej deklarowaną. W grudniu 1991 r. ZSRS przestał istnieć.

Orędownik kapitalizmu

Jelcyn, do niedawna działacz komunistyczny, teraz stał się orędownikiem kapitalizmu, liberalizmu i okcydentalizmu. Nieumiejętnie przeprowadzone reformy wolnorynkowe były dla „ludzi sowieckich" terapią szokową. Zapanowała hiperinflacja. Ogłoszona w październiku prywatyzacja „voucherowa" (polegająca na bezpłatnym przekazaniu obywatelom czeków, które mogły być zamieniane na akcje przedsiębiorstw państwowych lub sprzedawane na rynku wtórnym; skupowali je głównie oligarchowie) doprowadziła do fali spekulacji. Zamiast silnej klasy średniej powstawały silna oligarchia i przestępczość zorganizowana. W takich warunkach szybko ulatniała się euforia, związana z wolnością (słowa, polityczną, gospodarczą), którą Rosjanie mogli się cieszyć od drugiej połowy lat 80., dzięki zadekretowanej przez Gorbaczowa pierestrojce. To zaś wzmacniało pozycję zwolenników poprzedniego systemu. Mieli oni przewagę w ówczesnym parlamencie, współtworzonym przez dwa organy – Zjazd Deputowanych Ludowych oraz Radę Najwyższą. Rada istniała od 1938 r., pełniąc formalnie najwyższą władzę w sowieckiej Rosji. W praktyce nie miała żadnego znaczenia, ponieważ o wszystkim decydowało kierownictwo partii komunistycznej.

W 1989 r., na fali pierestrojki, wprowadzono poprawki do uchwalonej jeszcze w czasach Breżniewa konstytucji Rosji sowieckiej. Powołano do życia Zjazd Deputowanych Ludowych, który obradował raz w roku i wybierał Radę Najwyższą, sprawującą władzę w przerwach między jego obradami. Deputowani wyłaniani byli w wyborach powszechnych. Z jednej strony oznaczało to faktyczną demokratyzację, z drugiej jednak strony była to wciąż demokracja ludowa. Zjazd odwoływał się bowiem do tradycji rad (sowietów), czyli organów przedstawicielskich, które teoretycznie miały sprawować władzę w państwie bolszewików, jednak w totalitarnej praktyce nie miały żadnego wpływu na rzeczywistość.

W lipcu 1991 r. Jelcyn wygrał wybory na urząd prezydenta, ustanowiony na mocy kolejnych poprawek do ustawy zasadniczej. Chciał jak najszybciej przeforsować nową konstytucję, która zwiększyłaby uprawnienia głowy państwa. Jego projekt zakładał też likwidację Zjazdu Deputowanych Ludowych i Rady Najwyższej, które nazywał „ostatnimi bastionami totalitaryzmu i partiokracji", oraz powołanie w ich miejsce nowego parlamentu, ze znacząco zmniejszonymi uprawnieniami. W państwie zapanowała dwuwładza. Z jednej strony – prozachodni liberałowie, skupieni wokół prezydenta. Z drugiej – mocarstwowo-komunistyczna opozycja, skoncentrowana w parlamencie. Na jej czele stali: przewodniczący Rady Najwyższej Rusłan Chasbułatow oraz wiceprezydent Aleksandr Ruckoj.

Czerwono-brunatni dość przypadkowo weszli w ideologicznie obce sobie role obrońców parlamentaryzmu. W kwietniu 1993 r. odbyło się referendum, które miało rozstrzygnąć, która ze stron konfliktu cieszy się większym poparciem społeczeństwa. Większość głosujących zadeklarowała zaufanie do Jelcyna (58,7 proc.), a także akceptację dla prowadzonej przezeń polityki społeczno-gospodarczej (53 proc.). Rosjanie opowiedzieli się też za przedterminowymi wyborami deputowanych ludowych (67,2 proc.). Na pytanie o przedterminowe wybory prezydenckie twierdząco odpowiedziało 49,5 proc. wyborców. Jelcyn mógł być umiarkowanie zadowolony.



Borys Jelcyn
FOT. KREMLIN. RU/WIKIPEDIA

W przestrzeni publicznej, obok prezydenckiego projektu, funkcjonowały jeszcze dwa opozycyjne nowej konstytucji. Pierwszy, opracowany przez deputowanych ludowych, zakładał niewielkie zmiany w porównaniu ze status quo. Rosja miałaby być republiką parlamentarną, w której władza ustawodawcza nie tylko stanowi prawo, lecz także powołuje premiera i ministrów, a poza tym może zdymisjonować prezydenta. Drugi, zaproponowany przez radykalnych komunistów, zakładał utworzenie państwa socjalistycznego i zastąpienie urzędu prezydenta kolektywnym kierownictwem w postaci Rady Najwyższej.

Na początku września Jelcyn tymczasowo odsunął od pełnienia obowiązków Ruckoja pod pretekstem oskarżeń o korupcję, które – jak się później okazało – oparte były na sfałszowanych materiałach. Tym samym naruszył obowiązującą konstytucję, która nie dawała prezydentowi prawa do dymisji swojego zastępcy. 21 września Jelcyn ogłosił słynny dekret nr 1400, na którego mocy Zjazd Deputowanych Ludowych i Rada Najwyższa miały zostać zlikwidowane i zastąpione nowym parlamentem. Choć dekret nosił nazwę „O stopniowej reformie konstytucyjnej w Federacji Rosyjskiej", to w rzeczywistości oznaczał nagłą polityczną rewolucję. „Władza w Radzie Najwyższej została przejęta przez grupę osób, które przekształciły ją w sztab nieprzejednanej opozycji, która […] pcha Rosję ku przepaści […]. Jestem gwarantem bezpieczeństwa naszego państwa, zatem moim obowiązkiem jest zaproponować wyjście z tego ślepego zaułka" – tak swoją decyzję uzasadniał Jelcyn w specjalnym orędziu.

Dekret był sprzeczny z konstytucją. Pośrednio przyznał to sam Jelcyn,

eprasa.pl 4ae40cb95d

tłumacząc, że ustawa zasadnicza nie daje narzędzi do przezwyciężenia kryzysu. Zgodnie z ówczesnym prawem Jelcyn, próbując nielegalnie rozwiązać parlament, automatycznie pozbawił się funkcji prezydenta. Tak sytuację oceniły nie tylko Rada Najwyższa, lecz także sąd konstytucyjny.

Moskiewski „Biały Dom"

Chasbułatow nazwał dekret 1400 „zamachem stanu". Przeciwnicy prezydenta zbierali się w Domu Rad, potocznie nazywanym Białym Domem, ówczesnej siedzibie parlamentu (dziś jest to siedziba rządu). Zaczęły się tam gromadzić również naprędce stworzone nacjonalistyczne i komunistyczne bojówki, które miały bronić budynku przed spodziewanym szturmem. Zgodnie z konstytucją Jelcyn nie mógł rozwiązać parlamentu, za to parlament mógł pozbawić Jelcyna urzędu. 24 września Zjazd Deputowanych Ludowych przyjął stosowną uchwałę. Obowiązki prezydenta przejął Ruckoj. W odpowiedzi jeszcze tego samego dnia Kreml odciął w Białym Domu prąd i wodę. Deputowani obradowali przy świeczkach. Dzień wcześniej doszło do pierwszego zbrojnego starcia obu stron. Oddział zwolenników parlamentu zaatakował kwaterę główną sił zbrojnych Wspólnoty Niepodległych Państw. Zginęły dwie osoby – broniący budynku milicjant oraz kobieta, która obserwowała szturm z okna swojego mieszkania.

28 września Biały Dom został otoczony przez oddziały milicji i wojsk wewnętrznych. Obrona parlamentu złożona była z najróżniejszych środowisk: działaczy Rosyjskiej Komunistycznej Partii Robotniczej (powstałej już po rozpadzie ZSRS), weteranów zrzeszonych w Związku Oficerów, czarnosecinnych nacjonalistów z Rosyjskiej Jedności Narodowej, monarchistycznych „białych Kozaków", paramilitarnego Rosyjskiego Legionu Narodowego czy organizacji bojowej skrajnie lewicowej Rosji Pracowniczej. Łącznie parlamentu broniło kilka tysięcy ludzi. Do dyspozycji mieli 2 tys. pistoletów i 1,6 tys. karabinów maszynowych. W Białym Domu znaleźli się m.in. znany



Aleksandr Ruckoj

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/EVSTAFIEV MIKHAIL

dziś imperialny ideolog Aleksandr Dugin oraz pisarz Eduard Limonow, którzy zresztą później wspólnie założyli nielegalną Partię Narodowo-Bolszewicką.

Nad barykadami powiewały trzy flagi: carska, sowiecka oraz sztandar marynarki wojennej. Z tą ostatnią utożsamiali się bardziej umiarkowani zwolennicy parlamentu. Często fotografował się z nią Ruckoj. Liderzy środowisk broniących parlamentu podpisali wspólne oświadczenie, potępiające zamach Jelcyna na konstytucję. Jak zauważa badacz obozu czerwono-brunatnego, Przemysław Jan Sieradzan, w dokumencie tym nie znalazły się żadne kwestie ideologiczne. Najwyraźniej opozycyjność wobec prezydenta była jedynym, co naprawdę łączyło te wszystkie środowiska. Wśród sygnatariuszy oświadczenia, oprócz nacjonalistów, monarchistów, faszyzujących militarystów, imperialistów czy komunistów, znaleźli się też konstytucyjni demokraci, chadecy czy socjaldemokraci. Przewagę mieli jednak czerwono-brunatni. Media nagłaśniały obecność młodych, ogolonych na łyso neofaszystów z Rosyjskiej Jedności Narodowej, którzy bez skrępowania hajlowali. Jako zbrojne ramię rebelii wyróżniali się karnością i determinacją, ale z pewnością nie ocieplali wizerunku buntowników. Nie tylko w oczach społeczeństwa, lecz także w oczach świata, który z uwagą obserwował wydarzenia w Moskwie i trzymał kciuki za Jelcyna.

Dawna antykomunistyczna dysydentka, założycielka partii Sojusz Demokratyczny Walerija Nowodworska, wprost apelowała o to, aby „dobić komunistyczną gadzinę". „Głupi deputowani i ich brunatni bojownicy, wszystkie siły reakcji zjednoczyły się, by zniszczyć młody rosyjski liberalizm, który jest jedyną siłą zdolną wybawić nas od Czerwonego Jarzma. Nadal nie odrąbaliśmy komunistycznemu smokowi jego ostatniej głowy – władzy rad" – grzmiała działaczka demokratyczna w ostrym felietonie pod wymownym tytułem „Dobijcie gadzinę!". Tekst dobrze oddawał emocje tamtych dni, dominujące wśród radykałów zarówno z obozu prezydenckiego, jak i parlamentarnego. Pogodzić obie strony sporu próbował patriarcha Moskwy i Wszechrusi Aleksy II. Zaapelował o powstrzymanie się przed rozlewem krwi. Doszło do mediacji. W obecności patriarchy delegacje obu stron podpisały porozumienie, które zakładało rozbrojenie obrońców parlamentu i jednoczesne wycofanie prezydenckich oddziałów spod Białego Domu. Z ustaleń nie był zadowolony Chasbułatow, który dążył do konfrontacji i ostatecznego zwycięstwa nad Jelcynem. Rozumiał bowiem, że jego dymisja będzie nieuchronną ceną jakiegokolwiek kompromisu. Rada Najwyższa uznała jednak, że uczestnicy rokowań wykroczyli poza swoje kompetencje. Porozumienie unieważniono. Dalsze próby negocjacji zakończyły się fiaskiem.

Nieudany szturm

Wczesnym popołudniem 3 października 1993 r. na placu Październikowym zebrało się ok. 3 tys. zwolenników parlamentu z flagami ZSRS i ze sztandarami carskiej Rosji. Manifestację zorganizował nacjonalistyczno-komunistyczny Front Ocalenia Narodowego. Demonstranci ruszyli pod Biały Dom. Ich przemarsz bezskutecznie próbowała zablokować milicja. Doszło do starć. Ostatecznie uczestnicy manifestacji przedarli się do parlamentu i wzmocnili jego obronę. Nastroje były bojowe. Z balkonu Domu Rady przemawiali liderzy protestu. „Jeśli Jelcyn otworzy ogień do demonstrantów, to zostanie powieszony przez lud na ścianie Kremla" – grzmiał Ilja Konstantinow z Frontu Ocalenia Narodowego. Ruckoj wezwał zwolenników opozycji do wzięcia szturmem siedziby mera Moskwy oraz centrum telewizyjnego Ostankino. Chasbułatow zaapelował do armii, by przeszła na stronę parlamentu i ruszyła

eprasa.pl 4ae40cb95d

na Kreml. Próbował też powiedzieć, co należy zrobić z „uzurpatorem Jelcynem", ale entuzjastyczne okrzyki tłumu zagłuszyły koniec zdania.

Budynek merostwa zdobyto bez jednego wystrzału. O wiele gorzej poszło rebeliantom pod Ostankinem. Przed budynkiem telewizji, bronionym przez 690 żołnierzy wojsk wewnętrznych, zebrał się 12-tysięczny tłum. Jego awangardą były oddziały uzbrojone w karabiny i granatniki, dysponujące trzema transporterami opancerzonymi zdobytymi pod merostwem. Rebelianci zażądali udostępnienia czasu antenowego dla obrońców Białego Domu. Gdy spotkali się z odmową, rozpoczął się szturm. W wyniku strzelaniny w centrum telewizyjnym wybuchł pożar. Wojska wewnętrzne odparły atak rebeliantów. Zginęło ok. 37 osób, w tym kilku dziennikarzy. Nieudana próba zdobycia – lub przynajmniej zniszczenia – najważniejszego narzędzia państwowej propagandy była początkiem końca buntu. Jelcyn wprowadził w Moskwie stan nadzwyczajny.

„Cały błąd demokracji polegał na tym, że za bardzo była ona skłonna do kompromisów, że zbyt tolerancyjnie odnosiła się do brutalnych kroków komunistycznych rewanżystów" – tak siłowe rozwiązanie konfliktu uzasadniał rzecznik Kremla Wiaczesław Kostikow. O świcie 4 października rozpoczął się szturm, w którym – obok wojsk wewnętrznych i oddziałów specjalnych – uczestniczyły elitarne oddziały wojsk pancernych i powietrznodesantowych. O godz. 9 czołgi ostrzelały 12. i 13. piętra budynku. Biały Dom zapłonął. Godzinę później transportery opancerzone sforsowały barykady i stanęły pod gmachem. Ostatecznie obrońcy musieli się poddać.

Proroctwo Baburina

Według oficjalnej wersji w bratobójczych walkach na ulicach Moskwy zginęło 187 osób, z czego tylko 12 żołnierzy lojalnych wobec Jelcyna. Zwolennicy buntu podają nawet dziesięciokrotnie wyższe liczby. „Rozstrzelanie Białego Domu" (ros. „Rasstriel Biełogo Doma") stało się heroicznym mitem założycielskim obozu

Wojska wewnętrzne odparły atak rebeliantów na wieżę telewizyjną. Zginęło ok. 37 osób, w tym kilku dziennikarzy. Był to początek końca buntu

czerwono-brunatnych. Co ciekawe, po krwawym stłumieniu rebelii nie doszło do żadnej fali represji. Liderzy powstania trafili do aresztu, ale dość szybko wyszli na wolność na mocy amnestii. Jelcyn częściowo nawet przejął retorykę patriotyczną, najwyraźniej zdając sobie sprawę z tego, że w przeciwnym razie bunt nacjonalistów przeciwko „liberalnej władzy" może się powtórzyć.

Przede wszystkim jednak przeforsował swoją wizję reformy ustroju. Pod groźbą pociągnięcia do odpowiedzialności za „prawne wsparcie zamachu stanu" zmusił do ustąpienia ze stanowiska przewodniczącego Sądu Konstytucyjnego. Zjazd Deputowanych Ludowych i Rada Najwyższa przestały istnieć. Na ich miejsce powstały, funkcjonujące do dziś, Duma Państwowa (izba niższa) i Rada Federacji (izba wyższa). W pierwszych wyborach do nowego parlamentu zwyciężyła populistyczna, nacjonalistyczna Liberalno-Demokratyczna Partia Rosji Władimira Żyrinowskiego, który podczas kryzysu najpierw krytykował Jelcyna za łamanie konstytucji, ale następnie go poparł. Blok prezydencki i komuniści zajęli kolejne miejsca. „Rosjo, zdurniałaś!" – tak te wyniki komentował jeden z publicystów, a jego fraza przeszła do historii.

Nowy parlament miał jednak o wiele mniejszą władzę niż poprzedni. 12 grudnia w referendum 58 proc. głosujących poparło nową konstytucję. Dawała ona ogromne prerogatywy głowie państwa. Wbrew obiegowej opinii to nie Putin, lecz właśnie Jelcyn wprowadził w Rosji system superprezydencki, przełamując opór przeciwników zmian za pomocą czołgów. Były to jednak „demokratyczne" czołgi, które w imieniu liberalnego okcydentalisty stłumiły „antydemokratyczny" bunt komunistów i nacjonalistów. Dlatego Zachód w pełni poparł działania prezydenta.



Tablica upamiętniająca obrońców „Białego Domu"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/SILDREAM1

Jeden z liderów rebelii, Siergiej Baburin, przekonywał amerykańskich dziennikarzy, że poparcie dla Jelcyna jest błędem. Tłumaczył, że sam jest zwolennikiem dyktatury, ale nie rozumie, dlaczego Zachód ją popiera tylko dlatego, że ma to być dyktatura sprzymierzona z Waszyngtonem. Kiedyś miejsce Jelcyna może zająć ktoś o diametralnie odmiennych poglądach i wykorzystać narzędzia despotycznej władzy przeciwko Zachodowi. „Jeśli do tego czasu nie uda wam się zniszczyć naszego wielkiego mocarstwa [...], to ja wam nie zazdroszczę" – prognozował Baburin. Dziś, niemal dokładnie 30 lat od „egzekucji Białego Domu", jest oczywiste, że miał wówczas rację.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ae40cb95d



FOT. EAST NEWS/ANDRZEJ SZYPOWSKI

1909–1984 / Boleść autorki „Budowałam barykadę”

Świrszczyńskiej życie po życiu



Krzysztof Masłoń

Poetka, zaanektowana przez krytykę feministyczną, ukazywana jest jednowymiarowo – i to zarówno jeżeli chodzi o jej twórczość, jak i biografię. Fakty nie potwierdzają wojującego feminizmu Świrszczyńskiej, która rozpaczliwie szukała miłości

Na przerwanym wprowadzeniem stanu wojennego Kongresie Kultury Polskiej, gdy większość prelegentów na jedną nutę grzmiała przeciwko komunistycznej władzy, fatalnej polityce kulturalnej i cenzurze, Anna Świrszczyńska skupiła się na swoim środowisku, na literatach, stwierdzając:

„Polscy pisarze nie znają swego własnego kraju, mają nader mgliste pojęcie o bytowaniu jego mieszkańców, o warunkach życia i pracy milionów prostych ludzi. Zapomnieli zupełnie o tym, że autor ma jakieś obowiązki wobec czytelnika. Rzadko przychodzi mi do głowy myśl, że dano im głos po to, aby mówili w imieniu milionów, które milczą, żeby pomagali ludziom żyć, żeby pomagali im umierać. Zdają się nie wiedzieć, że można pisać z miłości do człowieka, że to może być główny powód obrania tego zawodu”.

Dziś te słowa brzmią tak archaicznie, że wydają się przynależeć do zupełnie innej epoki. Tym bardziej należy je przypominać. Także dlatego, że zmarła w 1984 r. poetka, zaanektowana przez krytykę feministyczną, ukazywana jest jednowymiarowo – i to zarówno jeżeli chodzi o jej twórczość, jak i biografię.

Dzieło i świadectwo

Czesław Miłosz w „Świadectwie poezji” tak pisał o niej: „Jak trudno jest znaleźć formułę dla elementarnego w swoim okrucieństwie doświadczenia, wskazuje przykład Anny Świrszczyńskiej. Debiutowała ona przed wojną tomem próz poetyckich, bardzo ładnych i wyrafinowanych, w których było widać jej zainteresowanie historią sztuki i średniowieczną poezją. W istocie była córką malarza, wychowała się w malarskiej pracowni, a na uniwersytecie studiowała polonistykę. Ani ona sama, ani nikt z jej czytelników nie odgadłby, do czego posłuży wybrany przez nią styl iluminowanych rękopisów i miniatur. Podczas wojny

eprasa.pl 4ae40cb95d

Świrszczyńska mieszkała w Warszawie. W sierpniu i we wrześniu 1944 roku brała udział w powstaniu warszawskim, to znaczy przez 63 dni była świadkiem i uczestnikiem bitwy milionowego miasta przeciwko czołgom, samolotom i ciężkiej artylerii. Miasto było niszczone stopniowo, ulica za ulicą, następnie tę ludność, która ocalała, deportowano. Powstanie warszawskie stało się dla Polski wydarzeniem traumatycznym. Świrszczyńska przez wiele lat próbowała później odtworzyć w wierszach tę tragedię: budowanie barykad, szpitale w piwnicach, domy zapadające się od bomby i groby ludzi w schronach, brak amunicji, żywności i opatrunków, własne przeżycia sanitariuszki. Ale próby te nie udawały się, były zbyt wielomówne, zbyt patetyczne, toteż niszczyła rękopisy. Musiało upłynąć lat trzydzieści, zanim natrafiła na styl, który ją zadowalał. Ciekawe, że był to styl miniatury, odkryty przez nią w młodości, ale tym razem zastosowany nie do reminiscencji z dzieł malarstwa".

W 1974 r. nakładem Czytelnika ukazał się po raz pierwszy jej poetycki tom „Budowałam barykadę", jeden z najwybitniejszych utworów literacki poświęconych powstaniu, dzieło i świadectwo, dwa w jednym. W krótkim wstępie do tego zbioru pisała:

„Ludność i powstańcy w celach obronnych wznosili na ulicach barykady. Pracowali przy tym wszyscy, bez różnicy wieku i płci. Przy jednej z takich barykad pracowała autorka tej książki, o czym między innymi mówi jej tytuł. Ludzie całymi dniami nie jedli, nie spali, nie myli się. Nikt nie wiedział, czy przeżyje następne pięć minut. Na ulicach leżały trupy, z ruin wydzielał się odór rozkładających się zwłok. Mimo tych potwornych warunków miasto walczyło bohatersko przez 63 dni. Zarówno powstańcy, jak cywile wykazywali niezwykły hart ducha, wreszcie jednak wobec braku żywności, broni i amunicji Warszawa musiała się poddać". Tamten nastrój oddaje wiersz „Niech liczą trupy":

Ci co wydali pierwszy rozkaz do walki
Niech policzą teraz nasze trupy.

Niech pójdą przez ulice
których nie ma
przez miasto
którego nie ma
niech liczą przez tygodnie przez miesiące
niech liczą aż do śmierci
nasze trupy.

A w innym wierszu – „Włosy jak wodospad" – czytamy:

To była ciężka noc w szpitalu,
smród ropy, jęki rannych,
schyliłam się w ciemności przy jej ustach,
szeptała, jak ją kochał
i jak odszedł,
młoda kobieta z włosami jak wodospad.
Wczoraj
amputowali jej nogę.

Szeptała o swoim szczęściu i o rozpaczy,
trzymała moją rękę,
o świcie
odchodząc powiedziałam:
do wieczora.

Ale właśnie owego wieczora
przyszło to okamgnienie
w którym szpital przestał istnieć.

I nie zobaczyłam już nigdy
tej kobiety bez nogi, z włosami
jak wodospad.

Dowód zauroczenia

Miłosz napisał o niej książkę „Jakiegoż to gościa mieliśmy" (1996), w której wyznał m.in.: „Im więcej czytam Świrszczyńską, tym głębiej pogrążam się w trudne do nazwania odczucie jej rzeczywistego istnienia. Ta moja koleżanka pokoleniowa była urzekającą istotą, elfem może albo Rozalindą i Mirandą z Szekspira". Można orzec, że jest to dowód zauroczenia i, skądinąd platonicznego, uczucia, ale przecież także – a to najważniejsze – wyraz uznania dla jej poezji. O tym, że jest to liryka wyjątkowa, przekonano się jednak późno, bo dopiero na początku ósmej dekady zeszłego wieku, dokładnie licząc – w roku 1972., gdy dwa lata przed „Budowałam barykadę" Świrszczyńska opublikowała celnie zatytułowany tom „Jestem baba". Autorka miała wtedy 63 lata, a debiutowała wszak w roku 1936 „Wierszami i prozami", po których uznano ją za poetkę co najmniej obiecującą.

Wojna wywróciła jej życie. Pod każdym względem, także dlatego że będąc warszawianką, zamieszkała w Krakowie. W 1953 r. wyszła za mąż za aktora Jana Adamskiego, urodziła córkę, przeżyła koszmar mieszkania w ciasnocie literackiego kołchozu na Krupniczej, następnie upokorzenie, gdy mąż (14 lat od niej młodszy) zakochał się w innej poetce, Halinie Poświatowskiej, i zdradzał ją, o czym wiedziało całe środowisko. W końcu po 15 latach pożycia małżeńskiego rozwód położył kres temu związkowi, a Świrszczyńska znalazła pocieszenie w objęciach przyjaciela, Józefa Oleszczuka, z którym dzieliła pasje turystyczne. Oleszczuk się w niej zakochał, o tym jednak, by się pobrali, nie mogło być mowy. Miał w Warszawie żonę i dwie córki… A ona jednak bardzo chciała wyjść za mąż, może dlatego by zagrać na nosie „życzliwym", może z innych powodów, tego nie wiemy. W każdym razie jak na wojujący feminizm jej przypisywany w tym wypadku okazała konserwatywne raczej oblicze. Zresztą feministką okrzyknięto ją, po wydaniu tomu „Jestem baba", zbyt pospiesznie. Wioletta Bojda, autorka książki „Jeszcze kocham. Zapiski intymne" (2019), wydaje się przychylać do takiej opinii, w jednym z wywiadów mówiąc:

„Świrszczyńska często wypowiadała się na temat ról kobiecych, mówiła o braku szacunku, pochylała się nad dolą wiejskich gospodyń, krytykowała rozmaite ograniczenia, ale nie nazywała siebie feministką. To nie takie proste. Bo choć stawała po stronie kobiet i dążyła do ich równouprawnienia pod względem społecznym i zawodowym, to jednak prywatnie chyba nie czuła »wspólnoty macic«, potrafiła zdominować kobiety ze swego otoczenia […]". Niemniej jednak pisała takie wiersze jak np. „Jak padlina" (z tomu „Jestem baba"):

Obnażona ze skóry,
zhańbiona jak ta, którą gwałcą,
jak ta, której
nie chcą już gwałcić,
jak spoliczkowany trup,
jak konający, któremu
plują w twarz,
jak żywe zwierzę, gdy
umierając w rzeźni
staje się artykułem spożywczym,
poniżona jak padlina,

eprasa.pl 4ae40cb95d

pogardzająca sobą,
jak kał padliny,
upokorzona
tak głęboko,
jak nigdy nie może być upokorzony
mężczyzna –

kobieta
na stole ginekologicznym
pod spojrzeniem lekarzy.

Lepiej zapomnieć

Edycja notatek poetki wraz z esejem biograficznym Wioletty Bojdy, zawierająca zapiski z lat 1969–1971, udostępnione przez córkę (i spadkobierczynię) Świrszczyńskiej, wywołała niemałe poruszenie. Katarzyna Nadana-Sokołowska na przykład mocno ją skrytykowała: „W obecnie prezentowanej biografii poetki Bojda idzie niestety śladem Czesława Miłosza, który […] utyskiwał na skazę na jej późnej twórczości, którą miałby być feminizm, i próbował oddzielić kobietę i poetkę od »ideolożki«. Bojda posuwa się nawet dalej: oddziela w eseju Świrszczyńską poetkę ponadsześćdziesięcioletnią od Świrszczyńskiej młodej, dobrze się zapowiadającej poetki i »literatki« w wieku średnim. Oddziela także praktycznie Świrszczyńską człowieka od Świrszczyńskiej twórczyni. Być może autorka biografii, która na co dzień zajmuje się twórczością Świrszczyńskiej, próbowała tutaj ukazać ją po prostu od innej strony, ale takie podejście ma fatalne skutki. Biografia twórcy nie może być przecież biografią pełną, jeśli pomija to, co dla twórcy zwykle najważniejsze, czyli proces twórczy i jego owoce; jeśli ignoruje czynniki, które na tę twórczość wpływają, i treść dzieł, która tyle przecież mówi o zagadnieniach nurtujących twórcę, a więc pośrednio – o całej jego osobowości. Dlaczego na przykład autorka nie zająknęła się o tym, o czym sama wspomniała w wywiadzie radiowym: że pół szafy, czyli prywatnego archiwum Świrszczyńskiej, to tworzone na przestrzeni trzydziestu lat różne wersje »Budowałam barykadę«? To przecież niezwykle cenna informacja, która dużo więcej mówi o tym, czym żyła przez powojenne dekady Świrszczyńska, niż materiały z archiwum ZLP, w świetle których okazuje się nieledwie »sprytną osobą«, wyciągającą z państwowej kasy zapomogi na fikcję twórczą, jaką w świetle uwag Bojdy okazują się jej wszystkie dzieła od roku 1945 do momentu wydania »Jestem baba«; informacja, która każe zestawić dzieje powstańczego tomiku Świrszczyńskiej z symptomatycznie podobnymi dziejami powstawania »Pamiętnika z powstania warszawskiego« Mirona Białoszewskiego, który również przez całe dekady szukał właściwego języka mówienia o tym traumatycznym wydarzeniu. (Pomijam tu domagającą się oddzielnego potraktowania kwestię lewicowego zaangażowania poetki, którego biografka nawet przez moment nie bierze poważnie, a które zapewne lepiej niż koniunkturalizm tłumaczy charakter jej powojennej twórczości…)".

No tak, czekam więc z utęsknieniem na – nie wątpię – pogłębioną analizę całego powojennego dorobku literackiego Świrszczyńskiej, na czele z rzeczywiście fatalnymi sztukami, że wspomnę „Odezwę na murze" z 1951 r. czy napisane wspólnie z Henrykiem Voglerem „Czerwone sztandary" (1952). Była też Świrszczyńska autorką całej masy książek dla dzieci i młodzieży, wśród których obok udanych przedsięwzięć w rodzaju powstałej jeszcze podczas okupacji powieści „Arkona, gród Świętowita" zdarzały się rzeczy całkowicie chybione. Odnośnie do lewicowego zaangażowania poetki, to warto tylko zauważyć, że w latach 1936–1939 była redaktorką wydawanego przez Związek Nauczycielstwa Polskiego „Małego Płomyczka" i wzięła udział w strajku nauczycieli po zawieszeniu ZNP za propagowanie komunizmu w innym tytule wydawanym przez Związek – „Płomyku". Można jeszcze zwrócić uwagę na wiersz Świrszczyńskiej zatytułowany „Ojciec wspominał", odnoszący się do wspomnień ojca poetki, malarza Jana Świerczyńskiego (błędu w nazwisku wpisanym do księgi metrykalnej Świrszczyńska nigdy nie skorygowała), z rewolucji 1905 r. Wiersz kończył się słowami:

Ojciec śpiewał do śmierci
pieśni z dziewięćset piątego.
Teraz
ja je śpiewam.

A skoro o śpiewaniu, to być może niejednego czytelnika zaskoczy informacja, że popularna piosenka dziecięca „Cztery zielone słonie" („Cztery słonie, zielone słonie, / każdy kokardkę ma na ogonie…") wyszła spod pióra Anny Świrszczyńskiej. Jak i inne dziełko słowno-muzyczne „Pod Krakowem Nowa Huta", którego trzy pierwsze strofy są następujące:

Pod Krakowem Nowa Huta,
modrą falą Wisła gra.
Moja luba mieszka tutaj,
jest murarką luba ma.

I codziennie w nocną ciszę,
kiedy praca kończy się,
moja luba listy pisze,
do żołnierza swego śle.


PLON TURNIEJU MŁODYCH POETÓW

Dziś 6 stron

WIADOMOSCI LITERACKIE

TYGODNIK

Niedość jest czytać „Wiadomości Literackie", trzeba je kupować lub prenumerować (zł. 9.— kwartalnie)

Nr. 29 (556) Warszawa, Niedziela 15 lipca 1934 r. Rok XI

TURNIEJ MŁODYCH POETÓW

Utwory nagrodzone ex aequo

WACŁAW HUSARSKI

TADEUSZ HOLLENDER

ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA

WACŁAW HUSARSKI (Warszawa) | TADEUSZ HOLLENDER (Lwów) | ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA (Warszawa)

Południe

Anna Świrszczyńska była laureatką turnieju poetyckiego w 1934 r. FOT. MAŁOPOLSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

eprasa.pl 4ae40cb95d

Kiedy skończysz służbę w wojsku,
To do Huty przyjedź sam.
Będziem razem domy stawiać,
Będzie razem dobrze nam.

Jak na PRL-owską literatkę przystało, wstąpiła do TPPR, Ligi Kobiet i Komitetu Obrońców Pokoju, a w 1953 r. podpisała niesławną rezolucję Związku Literatów Polskich popierającą wyroki (wraz z karą śmierci) zapadłe podczas procesu księży z krakowskiej kurii oskarżonych o szpiegostwo. To może tylko tyle o czasie, w którym Świrszczyńska nie opublikowała niczego, czego nie chciałoby się zapomnieć.

Na feministyczną nutę

Co więcej, i w tomach „Czarne słowa" (1967) oraz „Wiatr" (1970), zapowiadających już – jak chcą niektóre badaczki twórczości Świrszczyńskiej – rewolucyjną przemianę w jej poezji, trudno doszukać się wierszy więcej niż przeciętnych. Ten pierwszy tom nosi podtytuł „Stylizacje murzyńskie", wiele mówiący w latach 60., gdy kraje afrykańskie, jeden po drugim, wyzwalały się z kolonializmu. Były przez to niewątpliwie słuszne, ale też niekoniecznie pytanie zawarte w „Pieśni o manioku": „Dlaczego my, kobiety, nawet po śmierci musimy tłuc maniok na mąkę?" mogło trafić do odbiorczyń, zastanawiających się raczej, czy do końca życia, a może i dłużej będą obierać ziemniaki. Mnie w każdym razie w trakcie lektury „Czarnych słów" przypomniał się skecz kabaretu Kur o „mozambijskich czworaczkach", z pamiętną frazą: „Wy nam węgiel, my wam banana", a z pewnością nie na takich skojarzeniach zależeć mogło autorce. W „Wietrze" z kolei trudno przeoczyć utwór „Pamięci »Che« Guevary" nadający się jedynie na akademię „na cześć".

Jako się rzekło, poetka stała się wielka po publikacji tomu „Jestem baba". Tyle że wysiłki Miłosza, by nas o tym przekonać, były wyjątkowe, bo i po zażartych nawet dyskusjach nad tomem znów zapadło milczenie. Dlaczego? Wioletta Bojda odpowiada: „Cisza wokół Świrszczyńskiej jest nawet zrozumiała – jej twórczość trudno jest promować, nie nadaje się na popularne akademie, zbyt wiele tu kantów. To dlatego, że Świrszczyńska skupiała się wyłącznie na własnym doświadczeniu życia, na swoich doznaniach i oczekiwaniach, rozczarowaniach też, siebie poznać chciała i to właśnie pokazała światu – »ja« krystaliczne, ale wystawione na przeciągi".

Jednym z wierszy z tomu „Jestem baba" jest „Chłopka":

Dźwiga na plecach
dom, ogród, pole,
krowy, świnie, cielęta, dzieci.

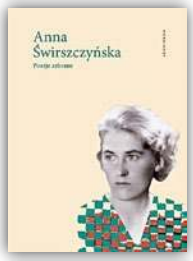
Jej grzbiet dziwi się,
że nie pęknie.
Jej ręce dziwią się,
że nie odpadną.
Ona się nie dziwi.

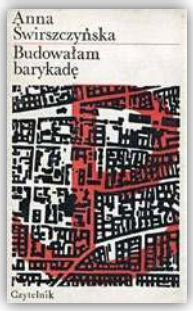
Podpiera ją jak krwawy kij
umarła harowaczka
jej umarłej matki.
Prababkę
bili batem.

Ten bat
błyszczy nad nią w chmurze
zamiast słońca.

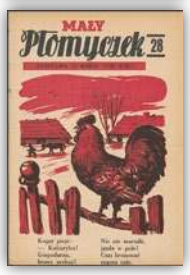
Kilka tygodni temu listy bestsellerów w naszym kraju podbiła książka Joanny Kuciel-Frydryszak „Chłopki. Opowieść o naszych babkach", rzekłbym – feministyczny reportaż z przeszłości wpisujący się w jakże modną i popularyzowaną ludową historię Polski. Owe „Chłopki" wydawała specjalizująca się dotąd w zupełnie innej literaturze oficyna Marginesy. Teraz to samo wydawnictwo opublikowało potężny tom „Poezji zebranych" Anny Świrszczyńskiej z posłowiem Aldony Kopkiewicz, która przyznaje wprawdzie, że o ile przed feministyczną krytyką też potrafiono docenić Świrszczyńską, o tyle jednak dopiero ta właśnie krytyka „opowiedziała o tym dokonaniu bardziej adekwatnym językiem i we właściwych kontekstach; to krytyczki feministyczne poświęciły jej najwięcej wnikliwych tekstów".











Że najwięcej, to zgoda, co do reszty miałbym wątpliwości, zwłaszcza po usiłowaniach dyskredytowania publikacji „Jeszcze kocham. Zapisków intymnych". Niestety, fakty nie potwierdzają wojującego feminizmu poetki, która rozpaczliwie szukała miłości, nie tylko w związku z Józefem Oleszczukiem, trwającym aż do jego śmierci w 1975 r., lecz także w romansach z – niestety też żonatymi – Józefem Mortonem i Tadeuszem Różewiczem. Nie bez powodu Miłosza, tylko dwa lata od Świrszczyńskiej młodszego, mile zaskoczył fakt otwartego seksualizmu ponad 60-letniej poetki. Zeszłoroczny Nobel literacki dla Annie Emaux świadczy o tym, że erotyzm osób, powiedziałbym mocno starszych, krytyka feministyczna może zdyskontować i sporo na nim ugrać. Co też czyni. To dlatego, by „uwspółcześnić" Annę Świrszczyńską, podkreśla się jej zdrowy tryb życia, bieganie, abstynencję alkoholową, wegetarianizm. Zanim jednak cytaty z jej wierszy trafią na transparenty ulicznych wystąpień Strajku Kobiet, radzę przeczytać jej wiersz „Wszystkie chwyty dozwolone", właśnie z tego uznanego nieomal za manifest feministyczny tomu „Jestem baba":

Chwytam się różnych rzeczy,
śniegu, drzew, niepotrzebnych telefonów,
czułości dziecka, wyjazdów,
wierszy Różewicza,
snu, jabłek, porannej gimnastyki,
rozmów o błogich własnościach witamin,
wystaw awangardowej sztuki,
spacerów na kopiec Kościuszki, polityki,
muzyki Pendereckiego,
żywiołowych katastrof w obcych krajach,
rozkoszy moralności i rozkoszy niemoralności,
plotek, zimnego tuszu, zagranicznych żurnali,
nauki włoskiego języka,
sympatii dla psów, kalendarza.

Chwytam się wszystkiego,
żeby się nie zapaść
w przepaść.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ae40cb95d



Żołnierze rosyjscy strzelający do aeroplanu, 1916 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA/RGANTD.RU

Książka miesiąca / „Rosja”

Matuszka gnije w okopach

Zebraliśmy ciała z pola walki, wykopaliśmy dół o długości 30 sążni głębokości 4 sążni. Złożyliśmy tam zabitych, ale ponieważ było już późno, tylko połowę dołu zasypaliśmy ziemią, mieliśmy dokończyć rano. Postawiliśmy wartownika. Okazało się, że w nocy jeden z zabitych wyczołgał się z dołu i rano zastano go siedzącego tuż obok. Kilku innych ruszało się, bo nie byli martwi, tylko ranni lub porażeni wybuchami ciężkich pocisków. To się zdarza dość często” – pisał w liście do domu jeden z rosyjskich poborowych.

Tak wyglądały realia rosyjskiego wojska w czasie pierwszej wojny światowej. W każdej armii biorącej udział w tamtym konflikcie warunki życia w okopach były opłakane, ale to, co przeżywali rosyjscy poborowi, było istnym piekłem na ziemi. Nie tylko zmagali się z fatalnym uzbrojeniem, wiecznymi brakami w amunicji, lecz także z niedoborami jedzenia i tragicznymi warunkami sanitarnymi.

Doktor Krawkow, rosyjski lekarz wojskowy, zapisał w swoim dzienniku: „Nadeszła kolejna dostawa żywności, tym razem z Orenburga. Składało się na nią 1000 pudów szynek i kiełbas, wszystko zepsute! Cała nasza matuszka Rosja gnije!”. Demoralizację rzeszy poborowych wzmagała świadomość tego, w jak cieplarnianych warunkach funkcjonowali stojący nad nimi oficerowie.

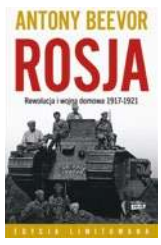
„Szeregowy żołnierz idący do ataku w pierwszym szeregu dostaje 75 kopiejek [miesięcznie] – pisał w liście do rodziny jeden z poborowych. – Dowódca kompanii idący z tyłu dostaje 400 rubli, a dowódca pułku, który jest jeszcze dalej, tysiąc rubli […]. Jedni mają smaczne posiłki, alkohol i prostytutki pod flagą Czerwonego Krzyża, a inni przymierają głodem”.

Kwestia prostytutek rozwścieczała żołnierzy z poboru, wśród których krążyły opowieści o całych haremach pielęgniarek udostępnianych oficerom na zapleczu frontu. Coś było jednak na rzeczy. Wspomniany dr Krawkow tak opisywał kulisy dymisji innego lekarza frontowego: „Sprawa była prosta. Lekarz wykazał się zbyt dużym taktem i nie uległ żądaniom kliki sztabowej, która chciała założyć burdel, wykorzystując w tym celu podległe mu pielęgniarki […]. Nie była to dla mnie żadna nowość. Zetknąłem się już z takimi praktykami w 10. Armii i był to jeden z powodów mojej ucieczki stamtąd”.

Żołnierze rosyjscy od zawsze traktowani byli przez przełożonych jak bydło (albo nawet gorzej). Ciekawie wyglądają pod tym kątem wspomnienia Archibalda Wavella, marszałka polnego z czasów drugiej wojny światowej, który przed 1914 r. służył w ataszacie w Rosji. Rosyjski kapitan dragonów nie mógł uwierzyć jego słowom, że brytyjscy oficerowie po służbie noszą cywilne ubrania, a w miejscach publicznych nie mają broni przybocznej. „Przecież żołnierze nie będą się pana bać!” – zakrzyknął zniesmaczony Rosjanin. Carscy oficerowie mogli bowiem zupełnie bezkarnie uderzyć w twarz każdego z podległych im żołnierzy.

Antony Beevor, doskonały znawca historii wojskowości, w swojej książce o rewolucji i wojnie domowej w Rosji w naturalny sposób dużo miejsca poświęca armii. Czytając opisy rzeczywistości w carskim wojsku, tym łatwiej zrozumieć, dlaczego z tak wielką łatwością bolszewicka propaganda docierała do żołnierzy. Tłumy wynędzniałych, pozbawionych zaopatrzenia i traktowanych jak niewolnicy chłopów (w zdecydowanej większości) w obdartych mundurach były gotowe chwycić się każdej alternatywy dla nieludzkiego systemu, który gnał ich na wrogów. Inna sprawa, że niedaleka przyszłość pokazała, iż alternatywa okazała się nieporównanie bardziej nieludzka i krwawa. ©℗

Piotr Włoczyk



ANTONY BEEVOR
„ROSJA. REWOLUCJA I WOJNA DOMOWA 1917–1921”
ZNAK HORYZONT

eprasa.pl 4ae40cb95d

Najwybitniejszy z Szeptyckich

Tomasz P. Terlikowski opowiada w swojej książce o pięciu braciach Szeptyckich z rodu o ruskich, czyli ukraińskich korzeniach. Najwięcej miejsca poświęca Andrzejowi Szeptyckiemu, gdyż był on najwybitniejszą postacią wśród braci – metropolitą lwowskim, autorytetem i duchowym przywódcą Ukraińców. Autor wyjaśnia, że wielki zwrot w życiu Szeptyckiego dokonał się z powodów religijnych (przeszedł na wyznanie greckokatolickie), dopiero później zaczął się on stopniowo i coraz bardziej identyfikować jako Ukrainiec. Ale nominacja Szeptyckiego na biskupa Stanisławowa, a potem Lwowa, spotkała się z niechęcią, a nawet wrogością Ukraińców widzących w nim Polaka i ziemianina. Z niechęcią odnieśli się oni do potępienia przez Szeptyckiego zabójstwa Andrzeja Potockiego, namiestnika Galicji, dokonanego przez ukraińskiego nacjonalistę. Autor podkreśla, że metropolita był przeciwnikiem terroru, nie aprobował działalności Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i próbował od niej odciągnąć młodzież.

Szeptycki początkowo nie wierzył – albo nie chciał wierzyć – że masowych mordów Polaków na Wołyniu dokonuje UPA. „Do metropolity nie docierała ani świadomość skali zbrodni, ani fakt, że nie jest ona następnym aktem polsko-ukraińskiej waśni, ale przejawem ludobójczej polityki OUN-B inspirowanej niemiecką polityką eksterminacji Żydów" – stwierdza autor i ocenia, że Szeptyckiego cechował fałszywy symetryzm. Mawiał on bowiem, że zbrodni dokonują nie tylko Ukraińcy, lecz także Polacy, którzy rzekomo byli winni rozpętania krwawej przemocy. Metropolita potępiał w listach pasterskich wszelkie zabójstwa. Autor stwierdza, że Szeptycki zdecydowanie sprzeciwiał się obecności kapłanów w oddziałach UPA. Stawia też pytanie, na które trudno odpowiedzieć: „Czy gdyby z ust metropolity padły ostrzejsze słowa, gdyby był on bardziej jednoznaczny, skala zbrodni wołyńskiej byłaby mniejsza?". Czy Ukraińcy posłuchaliby Szeptyckiego? ©℗

Tomasz Stańczyk



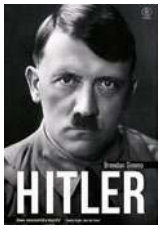
TOMASZ P. TERLIKOWSKI
„ROZDZIELENI BRACIA. SZEPTYCCY, HISTORIA POLSKI I UKRAINY"
WYDAWNICTWO WAM

Siedem trupów w Ostródzie

Żołnierze Armii Czerwonej zachowywali się zaraz po wojnie w Polsce jak w podbitym kraju. Rabowali, gwałcili, napadali na ludzi. Na tym tle doszło do wydarzeń 16 stycznia 1946 r. w Ostródzie. Rezultatem tamtego dnia była śmierć dwóch Polaków i pięciu żołnierzy sowieckich. Rosjanie obrabowali Polaka i zabili członka Straży Ochrony Kolei oraz żołnierza Wojska Polskiego, którzy chcieli ich ująć. Wywiązała się strzelanina między Sowietami a sokistami, milicjantami, ubekami i żołnierzami. A potem nastąpiła zemsta na ujętych krasonoarmiejcach. ©℗ ***(t.s.)***



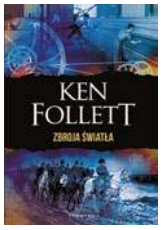
ANDRZEJ BRZEZIECKI
„OSTRÓDA '46. JAK POLACY SOWIETÓW GROMILI"
ZNAK HORYZONT



BRENDAN SIMMS
„HITLER"
REBIS

KOMPLEKS NIŻSZOŚCI

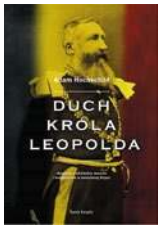
Brendan Simms przekonuje, że do tej pory zbyt mało mówiło się o zapatrzeniu wodza III Rzeszy w świat anglosaski. To on miał bowiem najbardziej zajmować Hitlera, a nie ZSRS. Simms ciekawie argumentuje, że w jego politycznym życiu aż nadto widać kompleks niższości wobec Brytyjczyków i Amerykanów. ©℗ ***(p.w.)***



KEN FOLLETT
„ZBROJA ŚWIATŁA"
ALBATROS 2023

WRZENIE REWOLUCJI

Ken Follett domyka swój cykl zapoczątkowany „Filarami Ziemi". Tym razem przenosimy się do Kingsbridge w czasach napoleońskich. Nędza, bunt przeciwko nieludzkiemu traktowaniu i wielka historia widziana oczami zwykłych ludzi, którzy mieli pecha żyć w ciekawych czasach. ©℗ ***(raw)***



ADAM HOCHSCHILD
„DUCH KRÓLA LEOPOLDA"
ŚWIAT KSIĄŻKI

RZEKA KRWI

Bezwzględny król malutkiej Belgii zamarzył sobie posiadanie olbrzymiej kolonii. Był koniec XIX w., mocarstwa europejskie wyciągały ręce po resztki „białych plam" na mapie Afryki. Horror, który rozpętali wzdłuż rzeki Kongo przedstawiciele Leopolda, przechodzi ludzkie pojęcie. ©℗ ***(p.w.)***

eprasa.pl 4ae40cb95d



John Ronald Reuel Tolkien FOT. GETTY IMAGES

Powrót do Śródziemia

John Ronald Reuel Tolkien to dla milionów czytelników ktoś więcej niż kolejny autor dobrej powieści. Wielu zna jego książki na pamięć, a i tak niejednokrotnie do nich wraca. Ogromną popularnością cieszą się nie tylko starsze prace Tolkiena, lecz także te wydane już po jego śmierci przez syna, który zebrał i opracował tysiące opowieści i luźnych notatek ojca.

„Władca Pierścieni" i „Hobbit", z których jest najbardziej znany, to tylko wycinek z przebogatej aktywności Tolkiena. Był on autorem licznych książek, poematów, prac naukowych, wykładowcą na Oksfordzie i Leeds, tłumaczem, filologiem, lingwistą (znał ponad 30 języków), badaczem starych i wymarłych języków oraz twórcą nowych języków i systemów pisma. Tolkien był katolikiem. Religia odgrywała w jego życiu bardzo ważną rolę, co odzwierciedlało się w jego twórczości i filozofii, którą „przemycał" w swoich pracach.



HUMPHREY CARPENTER
„J.R.R. TOLKIEN. BIOGRAFIA"
ZYSK I S-KA

Książka Carpentera nie jest hagiografią. I słusznie, gdyż zwłaszcza dla biografii jest to zgubne. Napisać książkę o postaci takiej jak Tolkien, która dla milionów była legendą już za życia, nie jest sprawą łatwą. Jeszcze trudniej jest sprostać wymaganiom zarówno czytelników, jak i rodziny opisywanej osoby, która – jak wiadomo – chciałaby, aby ich bliski ukazany był z jak najlepszej perspektywy. Choć widać, że Carpenter podziwiał pisarstwo Tolkiena, to jednocześnie umiał zdystansować się do jego osoby, oddzielając jego wybitną twórczość od codzienności „zwykłego" człowieka. Biografia napisana jest barwnym językiem. Pojawia się w niej wiele szczegółów dotyczących nie tylko życia pisarza. To także ciekawe studium nad dziejami społecznymi Wielkiej Brytanii, które tak bardzo różnią się od tego, co znamy.

Fani twórczości J.R.R. Tolkiena znajdą w książce wiele odpowiedzi na nurtujące ich pytania. Dlaczego Tolkien zaczął tworzyć własne języki? Skąd wziął się pomysł na Śródziemie? Jak ważna w jego życiu była żona Edith i czy Tolkien był faktycznie skonfliktowany z C.S. Lewisem? To obowiązkowa lektura dla fanów Śródziemia, idealna na długie zimowe wieczory.

© ℗ *Anna Szczepańska*

Na dziejowym zakręcie

Wojna na Ukrainie coraz dobitniej pokazuje, że Polska staje przed historycznym wyzwaniem. Rewizjonistyczna Rosja, mimo toczonej na Ukrainie krwawej wojny, w której Moskwa ponosi ogromne straty, powiększa swoją armię, inwestuje olbrzymie pieniądze w nowy sprzęt i szkoli coraz więcej rekrutów.

Mimo rekordowych zakupów nowego sprzętu wojskowego i zapowiedzi zwiększenia liczebności sił zbrojnych wydaje się, że Polska wciąż nie obudziła się na dobre z geopolitycznej „drzemki". Marek Budzisz bije swoją najnowszą książką na alarm – ryzyko wojny z Rosją jest realne i w tym momencie nie ma dla polskich władz ważniejszego zadania niż skupienie się na zapewnieniu państwu i obywatelom bezpieczeństwa. Nasi politycy tymczasem nie są nawet w stanie rozpocząć na poważnie dyskusji na temat konieczności przywrócenia obowiązkowej służby wojskowej...

Wszystkie wskaźniki pokazują, że Rosja wcale nie jest bliska załamania, a jej elity szykują kraj na długą wojnę. Ta książka pokazuje, jak poważne jest sunące na nas niebezpieczeństwo i dlaczego Polsce nie wolno już marnować czasu. © ℗ *Piotr Włoczyk*



MAREK BUDZISZ
„PAUZA STRATEGICZNA"
ZONA ZERO

eprasa.pl 4ae40cb95d

Dwie twarze Piaseckiego

Bolesław Piasecki to człowiek o dwóch życiorysach. Pierwszy, biorąc pod uwagę lata 1939–1944, można określić jako heroiczny, gdyż w tym czasie służył Rzeczypospolitej, walcząc o jej niepodległy byt w szeregach Konfederacji Narodu, Uderzeniowych Batalionach Kadrowych, a także Armii Krajowej. I drugi, kiedy po aresztowaniu przez komunistów, za cenę ratowania życia, postanowił Polskę zdradzić. Książka dr. Wojciecha Jerzego Muszyńskiego opowiada o początkowym okresie działalności lidera Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falanga". Najbardziej fascynujące fragmenty dotyczą drugiej wojny światowej i udziału Piaseckiego w pracach nad powstaniem pewnego niezwykle ciekawego dokumentu, o którego istnieniu mało kto wie.

„Sablewski", kierując Konfederacją Narodu, należał do grona zwolenników zdynamizowania działalności konfederackiego podziemia na Kresach, co wiązało się z chęcią obrony tych obszarów przed zakusami ZSRS oraz z koncepcją budowy „Imperium Słowiańskiego", które miało się rozciągać od Bałtyku aż do Morza Czarnego. Początkowe próby działań partyzanckich, zainicjowane w 1942 r., zakończyły się klęską (wyprawa steredyńska), ale owa porażka nie skłoniła Piaseckiego do zarzucenia dalszych działań.

Nawiązał on kontakt z ppłk. Remigiuszem Grocholskim „Waligórą", dowódcą „Wachlarza", któremu wznowienie akcji na Kresach leżało szczególnie na sercu. Efektem wspólnych rozmów było powstanie planu aktywizacji działań partyzanckich na terenach Polesia, Nowogródczyzny i części Wołynia. Jej celem miało być zniszczenie bolszewickich oddziałów dywersyjnych oraz stworzenie zapory uniemożliwiającej przenikanie ich na terytorium Polski. Co ciekawe, aby zrealizować zadanie, przewidywano nawet kooperację z Wehrmachtem czy gestapo.

Ta koncepcja nie doczekała się aprobaty ze strony KG AK (oddziały miały być w sposób tajny podległe Armii Krajowej), a ppor. „Sablewski" przeniósł swe teoretyczne rozważania na temat walki z Sowietami na grunt praktyczny, biorąc udział w starciach z nimi. Podległe mu oddziały pojawiły się wiosną 1943 r. na Białostocczyźnie, gdzie nie spotkały się z przychylnym przyjęciem ze strony komendanta Okręgu AK, ppłk. Władysława Liniarskiego „Mścisława" (autor wysunął zbyt daleko idące oskarżenia wobec oficera, sugerując, że struktury AK na tym obszarze nie prowadziły działalności antysowieckiej i antykomunistycznej, co w konfrontacji z różnymi dokumentami wydaje się twierdzeniem nieuprawnionym), uważającego, iż akcje UBK sieją chaos w terenie i skutkują represjami ze strony Niemców.

Abstrahując od słuszności (czy niesłuszności) krytyki wyrażanej przez ppłk. „Wuja", to na terenie jego okręgu oddziały UBK podjęły walkę z sowiecką partyzantką, o czym on sam w jednym z meldunków pisał: „Niszczą na równi z Niemcami, Żydów i bolszewików" (autor oskarżył „Mścisława", iż celowo wyeksponował fakt zabijania Żydów, chcąc zaszkodzić tej formacji, choć przeczą tej opinii meldunki własne Liniarskiego, gdzie pisał o likwidacjach Żydów dokonanych przez AK).

UBK po integracji z AK i po przejściu na tereny Okręgu AK „Nów" kontynuowały „wojnę" z bolszewikami. Toczyła się ona tam na dużą skalę jeszcze przed przybyciem grup „Uderzenia". Dowodzony przez Bolesława Piaseckiego na Nowogródczyźnie, powstały w lutym 1944 r. III batalion 77 pp. AK w okresie do lipca 1944 r. stoczył co najmniej sześć większych strać z partyzantką sowiecką i 13 z Niemcami. ©℗ ***Arkadiusz Karbowiak***

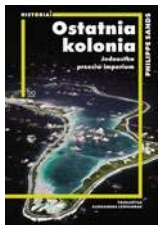


WOJCIECH JERZY MUSZYŃSKI
„BOLESŁAW PIASECKI. POCZĄTEK DROGI 1915–1944"
IPN/IDMN

Kolonialne winy Zachodu

W niewielu państwach świata proces dekolonizacyjny przebiegał bez przeszkód i w pokojowych nastrojach. Większość ludności kolonialnej musiała wywalczyć wolność z bronią w ręku i/lub toczyć wieloletnie spory w trybunałach międzynarodowych. O ile sam okres kolonializmu – tu padnie niepopularna opinia – przyniósł niektórym regionom względne prosperity, o tyle dekolonizacja była na ogół procesem trudnym – albo przeprowadzanym zbyt pośpiesznie, albo sztucznie przeciąganym, aby zdążyć „wyssać" z kolonii jak najwięcej dóbr.

Autor, mający doświadczenie jako prawnik oraz świadek wielu rozpraw przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości, opowiada historię dekolonizacji ostatnich rejonów na ziemi. Szczególny nacisk Sand kładzie na „ostatnią kolonię" – brytyjski archipelag Czagos, do którego pretensje zgłasza Mauritius. Historia batalii o Czagos, skąd przed laty Brytyjczycy wysiedlili mieszkańców, opowiedziana jest z perspektywy konkretnej osoby – kobiety, której pozbawiono domu. Czagos jest pretekstem do przedstawienia większej historii, także o walce, jaką „oświeceni" muszą stoczyć we własnych umysłach, aby uznać, że wszystkie ludy na ziemi są godne tego, aby być wolne. ©℗ ***Anna Szczepańska***



PHILIPPE SANDS
„OSTATNIA KOLONIA. JEDNOSTKA PRZECIW IMPERIUM"
BO.WIEM

eprasa.pl 4ae40cb95d

/ Felieton

Mit liberum veto



Rafał A. Ziemkiewicz

Przy okazji przepychania przez Parlament Europejski projektów federacyjnych w Polsce po raz nie wiedzieć który odgrzewany jest mit liberum veto. Okazuje się, że instytucja, która na tle swoich czasów nie odróżniała szczególnie staropolskiego prawa od innych europejskich krajów, a jeśli, to na plus, wciąż funkcjonuje w naszym myśleniu jako zarazem dowód i symbol polskiej szczególnej głupoty, warcholstwa, nieodpowiedzialności za dobro wspólne i politycznych instynktów samobójczych. Dokładnie tak, jak wdrukowała to naszym przodkom „pedagogika wstydu", prowadzona przez zaborców, której dorobek podjęli potem, czasem w najlepszej wierze, inteligenccy pogromcy „szlachetczyzny", a po niej komuniści, którym doskonale pasowała do opowieści o dobrym „ludzie" i złych dziedzicach.

> Wymóg, by pewne zasadnicze decyzje zapadały jednomyślnie, ani nie był niczym horrendalnym, ani nie on doprowadził do **ustrojowego paraliżu i upadku Rzeczypospolitej**

Pamiętam z dzieciństwa, jak owo „ciemne, warcholskie nie pozwalam", które rzekomo zgubiło Polskę, przywoływał towarzysz Gierek po pacyfikacji Radomia (na której użytek, nawiasem mówiąc, jego propaganda przywróciła polszczyźnie archaiczne słowo „warchoł"), więc nawet mnie nie zdziwiło, gdy w identycznym duchu zaatakował polskie starania o utrzymanie w Unii Europejskiej jednomyślności Leszek Miller: poprzez liberum veto zniszczyliśmy dawną RP, skracając jego wywody, a teraz tak samo chcemy zniszczyć Unię!

W istocie zasada „unanimitate", czyli wymóg, by pewne zasadnicze decyzje zapadały jednomyślnie, ani nie była niczym horrendalnym, ani nie ona doprowadziła do ustrojowego paraliżu i upadku Rzeczypospolitej. Nikt nie chce pamiętać, że gdy pojawiła się wola reformy państwa, której uwieńczeniem miała się okazać Konstytucja 3 maja, nie trzeba było bynajmniej liberum veto likwidować ani nawet obchodzić – w żaden sposób ono w obradach Sejmu Czteroletniego nie przeszkodziło.

Dlaczego więc przeszkadzało wcześniej? Bo było cynicznie używane do paraliżu kolejnych sejmów przez rozgrywające Polskę mocarstwa ościenne. Nie liberum veto samo w sobie było problemem, ale jurgieltnicy, którzy wysługując się za pieniądze obcym (ukłony dla państwa europoselstwa, popierającego federalizowanie UE), niszczyli polski system prawny od środka.

Uwieńczeniem ich nikczemnej pracy było ogłoszenie carycy Katarzyny II gwarantką „praw kardynalnych", co potem stanowiło podstawę prawną dla działań targowicy. Co ważne, caryca traktowała te gwarancje wybiórczo. Podczas sejmu konwokacyjnego przed elekcją Stanisława Antoniego Poniatowskiego na króla weto złożyło 13 senatorów i kilkudziesięciu posłów. Ambasador rosyjski polecił to zignorować i sejm, otoczony rosyjskim wojskiem, musiał postąpić zgodnie z jego wolą. Podobnie jak wcześniejsze sejmy musiały się rozchodzić z tego samego powodu, gdy jeden opłacony jurgieltnik krzyknął: „Nie pozwalam!".

We współczesnej Europie i Ameryce nietrudno wskazać, jak wywiady i agentury państw autorytarnych, za pośrednictwem lokalnych wywrotowców, wykorzystują fundamentalne procedury zachodniej demokracji przeciwko niej. Czy kiedyś potomkowie Amerykanów, Anglików albo Francuzów będą wierzyć, że wybory powszechne, prawa człowieka czy zasada nietykalności osobistej są dowodem głupoty przodków, która ich zgubiła? Jeśli zostaną poddani tresurze takich pedagogów, jak ci, którzy nasycili pogardą dla samych siebie Polaków, to pewnie tak. ©℗

eprasa.pl 4ae40cb95d



Piotr Semka

/ Felieton

Złoty, jesienny Rheinsberg

Piękną wielobarwną jesień nazywamy złotą, polską jesienią. Ale brandenburska jesień też jest śliczna. Korzystając z ostatnich ciepłych dni października, wyskoczyłem na weekend do pałacu Rheinsberg w północno-zachodniej części Brandenburgii. Ta rezydencja Hohenzollernów związana była z Fryderykiem II Pruskim, a potem z jego bratem Henrykiem Pruskim. Dziś Rheinsberg i jego pałac najbardziej znany jest z faktu, że jest siedzibą Muzeum Literatury Kurta Tucholsky'ego. I to właśnie ten pisarz wypełnia swoją osobowością to zaczarowane miejsce.

Kurt Tucholsky (1890–1935) był typowym przedstawicielem młodej niemieckiej inteligencji, która wywodziła się z zasymilowanej rodziny żydowskiej. I jak to bardzo często bywało, choć ojciec był bogatym kupcem, to syn po ukończeniu studiów prawa wcale nie palił się do kariery prawnika, który mógłby wspomóc rodzinny interes. Tucholski należał do tej generacji, która potrafiła w bardzo ciekawy sposób pisać o miłości. Jego książeczka zatytułowana właśnie „Rheinsberg, czyli książka z obrazkami dla zakochanych" z 1912 r. to bardzo wdzięczna opowieść o trzydniowym pobycie w brandenburskim miasteczku pary kochanków. Ów opisany w książce wyjazd zdarzył się naprawdę, a prawzorem bohaterki była emancypantka Else Weil.

Wojna zburzyła ten romantyczny świat. Kurt Tucholsky w czasie pierwszej wojny światowej walczył jako żołnierz na froncie wschodnim, a po jej zakończeniu miał w swym życiorysie nawet epizod związany z walkami o Górny Śląsk. Dla pieniędzy pisywał wówczas w propagandowym niemieckim pisemku dla Polaków na Śląsku o swojskiej nazwie „Pieron". Potem do końca życia wstydził się tej propagandowej roboty. Jak wielu Niemców z wojenną traumą Tucholsky brzydził się monarchicznym i odwetowym nurtem niemieckiej prawicy, fascynował się Francją. Na łamach pisma „Weltbühne" bez litości chłostał byłych majorów Reichswehry i nostalgików po Wilhelmie II, którzy marzyli, że cesarz powróci na tron po obaleniu Republiki Weimarskiej. Szczytem jego zaangażowania w walkę z prusackim szowinizmem był tomik esejów „Deutschland, Deutschland über alles" z 1929 r.

> Tucholsky nie mógł znieść łatwości, z którą jego kraj oddał się w ręce Hitlera

Polskiego czytelnika zainteresować może wskazywany przez niego podstawowy czynnik słabości Republiki Weimarskiej. Byli to sędziowie, których nowe państwo odziedziczyło po epoce wilhelmińskiej i którzy trzymali parasol bezkarności nad nacjonalistycznymi bojówkami. Analogie do pobłażliwości sędziów w latach 90. wobec oskarżonych o zbrodnie komunistyczne nasuwają się same.

Tucholsky przestrzegał przed odbudową po cichu pełnej zdolności bojowej Reichswehry i trafnie oceniał bezsilność republiki wobec zbirów Hitlera. W tekście z 1932 r. napisał bardzo trafne słowa: „Ludzie tacy jak Mussolini czy gefreiter Hitler istnieją nie tyle z własnej siły, ile z braku charakteru ich przeciwników". Kpił z niemieckiego burżuja, że jest zdolny przymykać oko na bandyckie napady SA w imię pewności, że Hitler – w odróżnieniu od niemieckich komunistów – nie dobierze się do jego sejfów.

Jego eseje były swego rodzaju perełkami satyry na poddańczą mentalność państwa niewolników. „Czy widzieliście kiedy, co niemiecki mieszczuch, a osobliwie niemiecka mieszczka wyprawia na ulicy ze swoim psem? – pisał w jednym z tekstów. – Chwilami ma się naprawdę wrażenie, że w tym kraju ludzie przeważnie tylko po to trzymają psy, aby jeszcze kogoś mieć pod sobą. Gnębiona zewsząd – przez urząd mieszkaniowy, przez komisariat policji, przez właściciela domu, przez kupca kolonialnego, przez wydziały handlu zagranicznego, przez urząd skarbowy i inne opiekuńcze czynniki – rycerska dusza niemiecka odczuwa potrzebę posiadania niewolnika, aby móc manifestować wobec niego wyższość rasy panów".

Tucholsky nie mógł znieść łatwości, z którą jego kraj oddał się w ręce Hitlera. Nie rozumiał, że chłoszcząc bez litości SPD i Partie Centrum, sam przybliżał triumf NSDAP. Wyjechał do Szwecji, gdzie popełnił samobójstwo w 1935 r. Jego narzeczona, a potem żona Else Weil, uwieczniona w książeczce „Rheinsberg", zginęła w komorze gazowej obozu Auschwitz-Birkenau. Taka to była niemiecka dokładność w zemście na kontestatorach „narodowej wspólnoty". ©℗

eprasa.pl 4ae40cb95d



Wkroczenie I Brygady do Kowla, wrzesień 1915 r.
FOT. JAGIELLOŃSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

1915 r. / I Brygada za Bugiem

Samowolny marsz Piłsudskiego



Tomasz Stańczyk

Komendant miał dość użerania się z Komendą Legionów. Zdecydował się na demonstrację, w której rezultacie mógł stracić dowództwo I Brygady

Do Kowla, ważnego węzła kolejowego, istotnego dla walczących armii, oddziały legionowe weszły 6 września 1915 r. Prawosławna rosyjska ludność wyjechała na wschód. Zostali Żydzi, stanowiący większość mieszańców miasta, i nieliczni Polacy.

„Całą jego atrakcję – oceniał miasto legionista Michał Brzęk-Osiński – stanowiła jedyna »cukiernia« prowadzona przez dwie przystojne Żydówki i zakamuflowany za nią oficerski burdelik" (M.T. Brzęk-Osiński, „Legionista i piłsudczyk 1905–1939").

Żołnierze zaczęli zaglądać do żydowskich sklepików, ale niewiele w nich było, gdyż większość towaru została ukryta. „Z bezczelną twarzą obmacują wszystko – wspominał Piłsudski – i wdzięki sklepikarki, i smakołyki na ladzie. Wystraszone, lecz chytre twarze autochtonów mrugają do siebie, chcąc oszukać to na cenie, to na pieniądzach i ich wymianie. Byle handel szedł".

Doktor Sławoj-Składkowski postanowił wykorzystać pobyt w Kowlu w celu zaprowadzenia żołnierzy do łaźni. „Otworzyłem drzwi do łaźni i… zdębiałem – opowiadał Składkowski. – W łaźni był widocznie »damski« dzień, bo około piętnastu kobiet długich i krótkich, grubych i cienkich, czerwonych i bladych – myło się w izbie dość widnej, ale całej zasłanej gęstą parą. Szybko zamknąłem drzwi, nim zdążyły się zorientować w naszym najściu. Stojący za mną z błyszczącymi nie tylko bagnetami, ale i oczami – chłopcy ryknęli: »Obywatelu doktorze, my nic jeszcze w tej łaźni nie widzieliśmy!«. – Maszerować za mną! – zawołałem, sam grubo speszony tymi nieoczekiwanymi studiami etnograficzno-anatomicznymi, kierując się z powrotem na podwórze tak szybko, jak pozwalała na to ciemność korytarza" (S.F. Składkowski, „Moja służba w brygadzie").

Zawód w łaźni legioniści zrekompensowali sobie z Ukrainkami i Żydówkami, przechwalając się, że „dały, oczywista, na miłość". Korzystali jednak również z profesjonalnych usług. W tej sytuacji dr Składkowski polecił lekarzom batalionowym wygłosić odczyty o szkodliwości chorób wenerycznych. Wysłał też do dowództwa raport o konieczności scentralizowania nadzoru nad prostytucją w Kowlu.

Na Polesiu Wołyńskim

Działania wojenne na wschód od Kowla toczyły się we wrześniu w trudnym terenie. Polesie Wołyńskie było krainą

eprasa.pl 4ae40cb95d

błota, rozlewisk, komarów i piachów, poprzecinaną wieloramiennym Stochodem i jego dopływami. Toczono tam wojnę nieledwie partyzancką, ruchomą, wyjątkowo tylko zajmując stałe pozycje. Kraj był w dużej mierze wyludniony, wojsko rosyjskie, cofając się, albo zabierało ze sobą ludność wsi, albo wywierało na nią presję, by opuszczali domostwa; straszono, że gdy przyjdą Austriacy i Niemcy, będą mordować i gwałcić. Do tego nie doszło, ale zdarzały się plądrowania i rabunki. Legionista Michał Römer zanotował: „Przemarsz Niemców – to plaga prawdziwa dla ludności. Nasi legioniści, choć w nich są instynkty rabunku, są aniołami w stosunku do Niemców" (Michał Römer, „Dzienniki 1914–1915").

Römer dodawał, że niemieccy żołnierze wykazywali typową pruską bezwzględność i butę, zachowywali się jak Wandale i rozbójnicy wobec wołyńskich wieśniaków, grabili ich, choć byli zaopatrzeni w żywność znacznie lepiej niż legioniści. Tak samo zachowywał się Wehrmacht w 1939 r. po wkroczeniu do Polski.

Na Polesiu Wołyńskim legioniści często spotykali się z niechęcią i wrogością miejscowych.

„Ludność prawosławna, rusińska, ciemna i fanatycznie nienawidząca »Lachów« i »panów«, dawała upust swym hajdamackim nastrojom, rzucając się na dwory, przeważnie polskie, mordując właścicieli" (J. Zaleski, „My, Pierwsza Brygada").

Gdy legioniści zatrzymali się w Hołuzji i złożyli karabiny w kozły, jakiś chłop rzucił w nie siekierą. Zamierzał w ten sposób odwrócić uwagę od dwóch współtowarzyszy umykających ze wsi do żołnierzy rosyjskich i chciał ich poinformować o przyjściu Polaków. Jeden został zastrzelony, drugiemu udało się uciec. We dworze legioniści spotkali Polaka dzierżawcę, Bodechowskiego. Jego żona poprosiła kapelana, ks. Henryka Ciepichałła, by ochrzcił synków, gdyż – jak powiedziała – „Bóg wie, co się z nami może stać".

Ojcami chrzestnymi chłopców zostali Sławoj Składkowski i ułan Jan Kawiński, a dzieciom nadano imiona Stefan i Tadeusz, na cześć Czarnieckiego oraz Kościuszki. Za oknem było słychać strzały. Obawiając się nadejścia Rosjan, grupka legionistów wycofała się ze wsi i zaproponowała Bodechowskim, by dla własnego bezpieczeństwa poszli z nimi. Ci jednak odmówili, nie chcąc rozstawać się z domem. Gdy dwa dni później ułani Beliny wrócili do Hołuzji, trup Bodechowskego, zabitego drągami przez chłopów, leżał w piwnicy. W Grabowie pod Kowlem beliniacy uratowali polską rodzinę z rąk chłopów, ale dwór i zabudowania zostały już przez nich spalone. W Stobychwie miejscowi zaatakowali ubezpieczenia legionistów z 1. Pułku,



Oficerowie I Brygady w Kowlu FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



Edward Gibalski FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

a w odwecie ci spalili wieś. „W Janówce pop i diak […] grali rolę bohaterów zdecydowanych poświęcić się za wiarę prawosławną, matuszkę Rosiję i caria-batiuszkę" – oceniał jeden z żołnierzy I Brygady (R. Starzyński, „Cztery lata w służbie Komendanta").

Miejscowi informowali Rosjan i wprowadzali w błąd legionistów. W jednej ze wsi twierdzili, że nie ma w niej żołnierzy rosyjskich – tymczasem ich ukrywali – i legioniści wpadli w zasadzkę. W stosunku do jednego z miejscowych Rusinów, który nie chciał służyć za przewodnika, zastosowano drastyczną metodę – zarzucono mu pętlę na szyję i przytknięto lufę karabinu do głowy, zmuszając w ten sposób do współpracy. Był też przypadek rozstrzelania chłopa, rosyjskiego szpiega. Bywało jednak też inaczej. W jednej wsi chłop pamiętał czasy, gdy był „polski pan", ale gdy przyszli „nasi", czyli żołnierze rosyjscy, było gorzej, gdyż grabili i gnębili ludzi.

Tajemnica „Tęczy"

12 września żołnierze 4. Pułku zajęli Hulewicze. Następnego dnia jednak Rosjanie niespodziewanie uderzyli na stanowiska legionistów. Ci ostatni musieli się wycofać ze wsi, na drugi brzeg Stochodu. Bohaterem tej potyczki został chorąży Tadeusz Wasung, który pozostał na stanowisku i – strzelając z karabinu maszynowego – osłaniał odwrót kolegów. Przy próbie dołączenia do nich został dopadnięty przez Kozaków,

eprasa.pl 4ae40cb95d



Grób Władysława Kondyckiego „Tęczy" w Hołobach FOT. DOMENA PUBLICZNA

raniony szablami i wzięty do niewoli. W walkach wokół Hulewicz sierż. Franciszek Kozub i plutonowy Jakub Kohlhoffer, „otoczeni wraz z patrolem przez przeważające siły czerkiesów, widząc niemożliwość ratunku, wybierają raczej śmierć niż niewolę. Bronią się wraz z patrolem do upadłego. A kiedy polegli wszyscy szeregowi z wyjątkiem dwu rannych, którzy cudem ocaleli, oparci o siebie giną, walcząc do ostatniego tchnienia" (A. Lewicki, „Zarys historji wojennej 4 pułku piechoty Legionów").

Hulewicze odbito. Poległ wtedy niespełna 18-letni dowódca kompanii – por. Władysław Kondycki „Tęcza", najmłodszy oficer Legionów, który poszedł na wojnę jako gimnazjalista. Z jego inicjatywy stawiano poległym kolegom bardzo wysokie krzyże, by – jak mawiał – „Polskę całą stamtąd można zobaczyć". Na krzyżach umieszczał tylko jeden napis: „Za Polskę". Taki też krzyż postawiono jemu na cmentarzu w Hołobach. Kolega z pułku, poeta Józef Relidzyński, napisał o Kondyckim wiersz zatytułowany „Tajemnica Tęczy":

Cichy był, tajemniczy i w buńczucznem gronie
Czwartaków dziwnie smutkiem odbijał, powagą,
jakby krzywdę niezmierną w młodem nosił łonie,
którą z ulgą na szablę wreszcie zatknął nagą [...].

Dwukrotnie już był ranny, a za każdym razem
rwał się w pole, uciekał po prostu ze szpitala,
w gorączce co gasiła się jeno żelazem,
krwią i w łunach świecących jak zorze, z oddala...

Pod Niesuchojeżami kawalerzyści Beliny-Prażmowskiego pierwszy raz spotkali się z Czerkiesami.

Szwadron rtm. Mariusza Zaruskiego – przed wojną inicjatora powstania i pierwszego naczelnika Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego – stoczył tam bój. Ułani zepchnęli Czerkiesów do wsi, a następnie wyparli ich ze strychów i stodół, skąd prowadzili ostrzał. Później Czerkiesi próbowali szarżować na beliniaków, lecz ten zamiar udaremnił batalion kpt. Stanisława Burhadta-Bukackiego, który nadciągnął szwadronowi na pomoc.

W Stobychwie beliniacy rozłożyli się na nocleg, rozkulbaczyli konie. Nad ranem 15 września wieś dostała się pod ciężki ostrzał rosyjskiej artylerii. Celne strzały dosięgły stodół, w których znajdowały się konie.

„Okropnie wyglądała rozstrzelana stajnia! Dach dziurawy, ściany ledwie się trzymają, tak je karabiny maszynowe przepiłowały raz koło razu. Wszystko zbryzgane posoką. Niektóre konie już leżą spokojnie, reszta stęka i usiłuje powstać na przednie nogi. Srokacz podporucznika dziadzi Lewińskiego zarżał do mnie z cicha, żałośnie, jak z pożegnaniem. Ten miły konik po chwili skończył, a był przestrzelony czternaście razy" – tak literacko ujął dramatyczną scenę Andrzej Strug, legionista i pisarz (A. Strug, „Odznaka za wierną służbę").

Zginęło lub zostało poranionych ponad 20 koni. Jeden z beliniaków przedarł się z atakowanej wsi, przez ostrzeliwaną groblę, po pomoc, jednakże zanim piechota legionowa nadeszła, kawalerzyści dzielnie się bronili przez pięć godzin.

Michał Brzęk-Osiński nie był wówczas z kolegami, ale wszystko, co zdarzyło się w Stobychwie, ujrzał we śnie, ze szczegółami takimi jak ranienie konia adiutanta Lewińskiego. Potwierdził mu to uczestnik potyczki. „Są jednak takie niesamowite telepatyczne odczucia" – konkludował Brzęk-Osiński.

W Stobychwie został śmiertelnie ranny, postrzelony przez Kozaków przebranych za chłopów – lub przez samych chłopów – ppor. Edward Gibalski, dowódca plutonu 1. Pułku Ułanów, były bojowiec PPS, uczestnik akcji pod Bezdanami. Chłopi zapewniali ułanów, że we wsi nie ma rosyjskich żołnierzy. Była to pułapka. Zza węgła padły strzały. Podczas pogrzebu w Kowlu za trumną szedł koń poległego, uczestniczyli w pożegnaniu Gibalskiego gen. Karol Trzaska-Durski, komendant Legionów i brygadier Piłsudski, któremu Durski ustąpił miejsca, tak że Piłsudski szedł za trumną swojego żołnierza. Komendant zachował się nietaktownie wobec Durskiego, gdyż odmówił przyjęcia łopatki, którą generał sypał ziemię na trumnę. Zwróciło to powszechną uwagę.

Zachowaniem tym Piłsudski demonstrował swoją niechęć do Komendy Legionów i nadzoru, który sprawowała nad nim i jego brygadą. Osobiście nic nie miał do Durskiego, natomiast za swojego głównego wroga w Komendzie Legionów uważał kpt. Włodzimierza Zagórskiego, szefa sztabu, który w powszechnej opinii nią rządził i chciał kontrolować Legiony, a szczególnie I Brygadę i jej dowódcę.

August Krasicki, oficer Komendy Legionów, zanotował przy okazji incydentu na pogrzebie Gibalskiego: „Od pewnego czasu z bryg. Piłsudskim są stosunki naprężone. Najpierw dłuższy czas bez zameldowania się opuścił brygadę i pojechał do Warszawy, następnie otrzymawszy rozkazy, odpowiada na nie polemiką, krytykując zarządzenia etc., co stwarza nieporozumienia" (A. Krasicki, „Dziennik z kampanji rosyjskiej 1914–1916").

Wacław Lipiński, legionista i historyk, oceniał, że podczas wrześniowych bojów I Brygady i 4. Pułku na Polesiu Wołyńskim legioniści byli jedyną podporą żołnierzy austriackich „gubiących się wśród zdradnego terenu", Austriacy docenili legionistów, marszałek polny, arcyksiążę Fryderyk, wyraził „szczególne uznanie"

eprasa.pl 4ae40cb95d

dla Legionów za oczyszczenie z nieprzyjaciela bagnisk na północ i wschód od Kowla, podkreślając, że wypełniły one powierzone zadanie w sposób znakomity, bijąc się w uporczywych walkach, często z przeważającymi siłami nieprzyjaciela. Dowództwo potrafiło zwycięsko postępować naprzód, a żołnierze uczynili wszystko, co leży w ludzkiej mocy.

Marsz do Czeremoszna

14 września 1915 r. arcyksiążę Józef Ferdynand Habsburg, dowódca 4. Armii, rozkazał Komendzie Legionów, by wydzieliła dwa bataliony i wysłała je pod Ołykę dla wsparcia korpusu kawalerii. Piłsudski uznał, że jest to początek rozbijania jego brygady. Zwołał zebranie oficerskie i zaproponował następujące rozwiązania: pierwsze – poda się do dymisji, wyjedzie do Warszawy i zajmie się pracą polityczną; po drugie – wszyscy oficerowie brygady złożą dymisję, a to będzie równoznaczne z rozwiązaniem brygady; po trzecie – trwanie i „robienie skandali" jak dotychczas; po czwarte – pogodzenie się z tym, że brygada zostanie w końcu „zaustriaczona".

Ogromna większość oficerów opowiedziała się za ogólną dymisją, nie wyobrażała sobie bowiem I Brygady bez Piłsudskiego. Komendant odrzucił ten pomysł, lecz jednocześnie postanowił dokonać demonstracji. Być może liczył, że w jej efekcie Austriacy usuną go z Legionów i będzie mógł zająć się pracą polityczną i rozbudową POW. Zainscenizowano strzelaninę na przedmieściu Kowla. Miał być to atak na jedną z kompanii 1. Pułku. Piłsudski poinformował o tym Komendę Legionów i oświadczył – nie czekając na odpowiedź – że idzie jej na pomoc.

„Otwieram w dziwaczny sposób nową kartę historii naszej – wspominał Piłsudski. – Ze śmiechem pustym myślę, jak za parę godzin w szanownej »K. und K. Kommando von Legionen« dziko otworzą oczy na wiadomość, że cała brygada odmaszerowała w pościgu za Kozakami i że zatem wychodzi spod jej łaskawej opieki. I za chwilę Kasztanka wykręca w jakieś uliczki wąskie i brudne, z których wydostajemy się szybko za miasto".

Decydując się na wymarsz, Piłsudski szedł, jak stwierdził, w niewiadomą przyszłość. Nie wiedział również, jakie będą konsekwencje jego decyzji. Był jednak szczęśliwy, że będzie się „charatał z Kozakami sam, bez tych Kościuszków w obcych mundurach, bez tych szpiegów udających najgorętszych patriotów, a robiących na naszych plecach karierę austriacką". Miał na myśli Komendę Legionów i jej oficerów.

Zdecydował, że brygada będzie iść na Czeremoszno, potem do Smolar, gdzie Leon Berbecki, dowódca 2. (5.) Pułku, przygotowywał przeprawę przez Stochód. W Czeremosznie Piłsudski wdał się w rozmowę z oficerami, którzy żartobliwie wypominali mu, że malował im wojnę – zanim wybuchła – jako pożogę, przemoc, pożogę i gwałcenie kobiet. Lecz gdy się zaczęła, kazał być im przyzwoitymi i cnotliwymi, unikać grabieży. Przekomarzali się z Komendantem, że chcą właśnie rabować i gwałcić, wcale nie zamierzają być rycerscy.

Komendant Legionów, gen. Karol Trzaska-Durski, oburzony samowolną akcją Piłsudskiego, wystosował do dowództwa 4. Armii list z propozycją usunięcia go z dowództwa I Brygady. Najpewniej stał za tym zły duch Durskiego, kpt. Włodzimierz Zagórski, który już z własnej inicjatywy napisał list do arcyksięcia Józefa Ferdynanda, dowódcy 4. Armii, z propozycją aresztowania Komendanta jako burzyciela dyscypliny w Legionach.

Piłsudski otrzymał wezwanie do stawienia się w sztabie 4. Armii. Austriacy nie pozbawili go jednak dowództwa brygady. Zapewne woleli mieć Piłsudskiego na oku w wojsku niż poza nim jako działacza politycznego, więc udzielili mu tylko reprymendy. Ale jednocześnie dokonali podziału I Brygady na dwa zgrupowania. Jedno pod dowództwem Piłsudskiego oraz drugie pod dowództwem „Śmigłego". Brygada została rozbita na dwie grupy taktyczne. Grupa „Śmigłego" pozostawała pod rozkazami Komendy Legionów, natomiast grupie Piłsudskiego mieli wydawać rozkazy Austriacy. Komendant uwalniał się więc od zwierzchnictwa Komendy Legionów, której nie cierpiał, ze wzajemnością zresztą.

19 września Piłsudski wydał rozkaz: „Żołnierze! Na krótki czas rozstaję się z Wami, powołany do innych zadań. W wypróbowane ręce podpułkownika Śmigłego-Rydza oddaję komendę nad Wami, wiedząc, że otoczycie Go takim samym zaufaniem i miłością, z jaką odnosiliście się do mnie".

Rozkaz ten, przypomniany wkrótce po śmierci Józefa Piłsudskiego, miał umocnić autorytet gen. Edwarda Śmigłego-Rydza, który objął po Marszałku stanowisko Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, przez wytworzenie wrażenia, że już 20 lat temu Piłsudski namaścił Śmigłego na swojego następcę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Obozowisko legionistów na Polesiu Wołyńskim

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 4ae40cb95d



Francesco Hayez „Zniszczenie Świątyni Jerozolimskiej” FOT. COMMONS WIKIMEDIA/GALLERIE DELLA ACADEMIA

Fragment książki / „Jerozolima. Biografia”

Apokalipsa Jerozolimy



Simon Sebag Montefiore

Ostatnia rozpaczliwa walka miała zadecydować nie tylko o losie miasta i jego mieszkańców, lecz także o przyszłości judaizmu i niewielkiego żydowskiego kultu chrześcijańskiego – a nawet, patrząc sześć stuleci w przód, o kształcie islamu

Ósmego dnia żydowskiego miesiąca aw, pod koniec lipca 70 roku n.e., Tytus, syn cesarza rzymskiego Wespazjana, dowodzący czteromiesięcznym oblężeniem Jerozolimy, rozkazał całej swojej armii przygotować się do szturmu na Świątynię o świcie. Nazajutrz wypadał ten sam dzień, w którym pięćset lat wcześniej Babilończycy zniszczyli Jerozolimę. Tytus dowodził armią składającą się z czterech legionów – łącznie 60 tys. rzymskich legionistów i żołnierzy miejscowych oddziałów posiłkowych, którzy aż się rwali, żeby zadać decydujący cios krnąbrnemu, lecz złamanemu miastu.

W obrębie jego murów żyło w strasznych warunkach około pół miliona głodujących Żydów. Niektórzy z nich byli fanatycznymi zelotami, niektórzy zwyczajnymi rozbójnikami, lecz większość stanowili niewinni ludzie, którzy nie zdołali uciec ze śmiertelnej pułapki. Wielu Żydów mieszkało poza Judeą – można ich było spotkać na całym obszarze śródziemnomorskim i Bliskim Wschodzie – a ta ostatnia rozpaczliwa walka miała zadecydować nie tylko o losie miasta i jego mieszkańców, lecz także o przyszłości judaizmu i niewielkiego żydowskiego kultu chrześcijańskiego – a nawet, patrząc sześć stuleci wprzód, o kształcie islamu.

Rzymianie wybudowali wały przy murach Świątyni. Ale szturm z wałów na warownię spełzł na niczym. Wcześniej tego dnia Tytus powiedział swoim dowódcom, że jego starania, aby zachować tę „obcą świątynię”, kosztowały go zbyt wielu żołnierzy, i rozkazał podpalić bramy Przybytku. Srebro bram stopiło się, ogień przerzucił się na drewniane odrzwia i okna, a stamtąd na drewno w samej Świątyni. Tytus rozkazał ugasić ogień. Rzymianie – oświadczył – nie powinni „mścić się na martwych przedmiotach miast ludzi”. Potem udał się na spoczynek do swojej kwatery w na wpół zrujnowanej Wieży Antoniusza, górującej nad imponującym kompleksem świątynnym.

Wokół murów rozgrywały się straszliwe sceny, które musiały przypominać piekło na ziemi. Tysiące zwłok rozkładały się na słońcu. Zaduch był nie do zniesienia. Sfory psów i szakali pasły

eprasa.pl 4ae40cb95d



się ludzkim mięsem. W poprzednich miesiącach Tytus rozkazał krzyżować wszystkich jeńców i zbiegów. Codziennie krzyżowano pięciuset Żydów. Góra Oliwna i skaliste wzgórza wokół miasta były tak zatłoczone krzyżami, że brakowało miejsca do stawiania nowych i drewna do ich robienia. Żołnierze Tytusa zabawiali się, przybijając swoje ofiary do krzyży w różnych absurdalnych pozycjach. Wielu mieszkańców tak rozpaczliwie pragnęło wydostać się z miasta, że przed ucieczką połykało złote monety, aby ukryć przed rabusiami swój majątek, który mieli nadzieję odzyskać, kiedy będą już bezpieczni.

Przychodzili „obrzękli z głodu, jakby cierpiący na puchlinę wodną", a kiedy zaczynali jeść, „pękały im wnętrzności". Kiedy rozerwały im się żołądki, żołnierze odkryli połknięte wcześniej kosztowności, zaczęli więc patroszyć wszystkich jeńców, rozpruwać im brzuchy i grzebać we wnętrznościach, choć tamci jeszcze żyli. Ale Tytus był tym oburzony i próbował położyć kres anatomicznym grabieżom. Na próżno, syryjscy sprzymierzeńcy Tytusa, którzy nienawidzili Żydów i byli przez nich znienawidzeni, lubowali się w tych makabrycznych zabawach. Okrucieństwa popełniane przez Rzymian i powstańców w obrębie murów można porównać z najgorszymi zbrodniami XX wieku.

„Dom nierządu"

Wojna zaczęła się w momencie, kiedy nieudolność i chciwość rzymskich namiestników skłoniły nawet judejską arystokrację, żydowskich sprzymierzeńców Rzymu, do udzielenia poparcia ludowej rewolcie religijnej. Powstańcy stanowili mieszaninę religijnych Żydów i pospolitych bandytów, którzy wykorzystali kres rządów szalonego imperatora, Nerona, i chaos, który zapanował po jego samobójstwie, aby wygnać Rzymian i odtworzyć niezależne państwo żydowskie zbudowane wokół Świątyni. Ale żydowska rewolta natychmiast zaczęła pożerać samą siebie w krwawych czystkach i walkach wewnętrznych.

Po Neronie nastąpili w szybkiej i chaotycznej sukcesji trzej rzymscy cesarze. Zanim Wespazjan wyłonił się jako imperator i wysłał Tytusa, aby zajął Jerozolimę, miasto było podzielone pomiędzy trzech wodzów walczących ze sobą nawzajem. Żydowscy wodzowie najpierw toczyli zacięte walki na dziedzińcach Świątyni, które spłynęły krwią, a później splądrowali miasto. Ich wojownicy wdzierali się do bogatszych dzielnic, ograbiając domy, zabijając mężczyzn i hańbiąc kobiety – „to była dla nich zwyczajna igraszka". Upojeni władzą i „nienasyconą żądzą łupów", prawdopodobnie odurzeni zrabowanym winem, „bez skrupułów z samego przesytu naśladowali zwyczaje kobiece, trefiąc sobie włosy, przywdziewając szaty niewieście, nakraplając się wonnościami i podmalowując oczy dla upiększenia". Ci prowincjonalni zbóje, paradując w pięknie barwionych chlamidach, zabijali każdego, „kto się nawinął". W swojej rozwiązłej pomysłowości „wymyślali nawet zakazane miłostki". Jerozolima, cała „skalana nieczystymi czynami", stała się „domem nierządu" i izbą tortur – a mimo to pozostała świętym miejscem.



Rekonstrukcja wyglądu Świątyni Jerozolimskiej FOT. COMMONS WIKIMEDIA/BERTHOLD WERNER

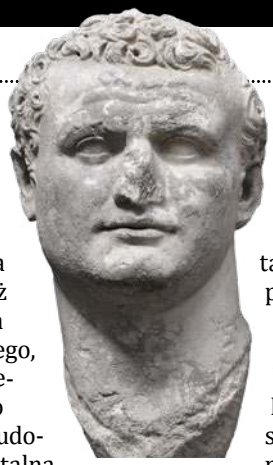
W jakiś sposób Świątynia nadal funkcjonowała. Jeszcze w kwietniu, tuż przed zamknięciem miasta przez Rzymian, przybyli na Pesach pielgrzymi. Liczba ludności wynosiła zwykle kilkadziesiąt tysięcy, ale teraz Rzymianie odcięli drogę pielgrzymom i licznym uchodźcom przed działaniami wojennymi, w mieście znalazły się więc setki tysięcy ludzi. Dopiero kiedy Tytus otoczył miasto, wodzowie rebeliantów zaprzestali bratobójczych walk, aby zjednoczyć przeciwko Rzymianom łącznie 21 tysięcy swoich wojowników.

Miasto, które Tytus ujrzał po raz pierwszy z góry Skopus, nazwanej od greckiego słowa „skopeo" oznaczającego „patrzeć na", było – mówiąc słowami Pliniusza – „najsławniejszym miastem Wschodu", gwarną, kwitnącą metropolią wybudowaną wokół jednej z najwspanialszych świątyń starożytnego świata, niezwykłego dzieła sztuki na ogromną skalę. Jerozolima istniała już tysiące lat, ale to miasto wielu murów i licznych wież, wznoszące się na dwóch górach wśród jałowych skał Judei, nigdy nie było tak gęsto zaludnione ani



Moneta żydowskich powstańców FOT. COMMONS WIKIMEDIA/CNG

eprasa.pl 4ae40cb95d



Tytus Flawiusz

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ CARLSBERG GLYPTOTEK

tak majestatyczne jak w pierwszym stuleciu naszej ery: w istocie Jerozolima nigdy nie była tak potężna aż do XX stulecia. Ta Jerozolima była dziełem Heroda Wielkiego, błyskotliwego, psychotycznego króla judejskiego, którego pałace i fortece zostały wybudowane na skalę tak monumentalną i odznaczały się takim przepychem, że ich opisanie „przekraczało zdolności" żydowskiego historyka Józefa Flawiusza.

Sama Świątynia przyćmiewała wszystko inne swoim wzniosłym splendorem. Gdy tylko „wschód zajaśniał blaskiem", jej połyskujące krużganki i złocone bramy odbijały „tak oślepiające światło, że jeśli ktoś chciał koniecznie na nie spojrzeć, to odwracał oczy jak od promieni słońca". Kiedy obcy przybysze – tacy jak Tytus i jego legioniści – widzieli Świątynię po raz pierwszy, wydawała im się podobna do „góry zasypanej śniegiem". Pobożni Żydzi wiedzieli, że pośrodku krużganków tego miasta w mieście na szczycie góry Moria jest maleńki pokoik najwyższej świętości, który nie zawiera dosłownie nic. Ta przestrzeń była ośrodkiem żydowskiego kultu: Miejscem Najświętszym, Świętym Świętych, mieszkaniem samego Boga.

Świątynia Heroda była budowlą sakralną, a także niezdobytą fortecą w obrębie otoczonego murami miasta. Żydzi, ośmieleni rzymską słabością w roku czterech cesarzy i ufni w przewagę, którą zapewniały im wysokie położenie Jerozolimy, jej fortyfikacje i labirynt Świątyni, stawili czoło Tytusowi z niezmierną pewnością siebie. Bądź co bądź opierali się Rzymowi przez niemal pięć lat. Tytus jednak miał władzę, ambicję, środki i zdolności niezbędne do tego zadania. Postanowił złamać Jerozolimę skutecznością działań i przewagą liczebną.

W tunelach nieopodal zachodniego muru Świątyni znaleziono kamienie, którymi oblegający ostrzeliwali miasto z balist – świadectwo intensywności rzymskiego ostrzału. Żydzi walczyli o każdą piędź ziemi z samobójczą wręcz desperacją. Ale Tytus, dysponujący całym arsenałem machin oblężniczych, katapult i pomysłowością rzymskiej inżynierii, sforsował pierwszy mur w ciągu piętnastu dni. Poprowadził tysiące legionistów w labirynt placów targowych Jerozolimy i przypuścił szturm na drugi mur. Żydzi jednak urządzili wypad i odbili mur, który trzeba było zdobywać jeszcze raz. Następnie Tytus spróbował zastraszyć miasto demonstracją potęgi swojej armii – pancerzy, hełmów, połyskujących ostrzy, powiewających sztandarów, lśniących orłów, „koni wspaniale zdobionych". Tysiące jerozolimczyków zgromadziły się na blankach, by oglądać ten spektakl, podziwiając „wspaniałą zbroję i karne szeregi mężów". Ale Żydzi byli niezłomni albo zbyt obawiali się swoich wodzów, aby sprzeciwić się ich rozkazom: żadnej kapitulacji.

W końcu Tytus postanowił okrążyć i zamknąć miasto, budując wokół niego wał. Pod koniec czerwca Rzymianie uderzyli na potężną twierdzę Antonię i zburzyli ją, z wyjątkiem jednej wieży, w której Tytus założył swoje stanowisko dowodzenia. W połowie lata, kiedy urwiste i poszarpane wzgórza porosły lasem czarnych od much, ukrzyżowanych trupów, otoczone miasto nękały widmo nadchodzącej zagłady, zajadły fanatyzm, wymyślny sadyzm i przeraźliwy głód. Zbrojne bandy grasowały po mieście w poszukiwaniu żywności. Dzieci wyrywały resztki pożywienia ojcom, matki zabierały ostatnie kęsy niemowlętom [...].

Niema zgroza

Nocą 8 aw, kiedy Tytus udał się na spoczynek, jego legioniści próbowali gasić ogień rozniecany przez stopione srebro, tak jak rozkazał. Ale buntownicy zaatakowali walczących z ogniem legionistów. Rzymianie stawili opór i zepchnęli Żydów do samej Świątyni. Jeden z legionistów, ogarnięty „nieziemską podnietą", chwycił kawałek płonącego bierwiona i podsadzony przez innego żołnierza podpalił zasłony i framugę „złotych drzwiczek", prowadzących do pomieszczeń otaczających Świątynię. Do rana ogień rozprzestrzenił się i dotarł do samego serca Przybytku. Żydzi, widząc płomienie liżące Święte Świętych i grożące jego zniszczeniem, „podnieśli krzyk godny takiego nieszczęścia i rzucili się na ratunek". Ale było już za późno. Zabarykadowali się na Dziedzińcu Wewnętrznym i przyglądali się z niemą zgrozą [...].

Wśród płomieni toczyła się walka: oszołomieni, wygłodzeni jerozolimczycy wchodzili, porażeni i zrozpaczeni, przez płonące bramy. Tysiące mieszkańców i powstańców zebrały się na stopniach ołtarza, aby walczyć do ostatka albo po prostu zginąć. Rozjuszeni Rzymianie poderżnęli im wszystkim gardła, aż „wokół ołtarza zgromadziły się stosy trupów", a krew spływała po stopniach. W płonącej Świątyni zginęło dziesięć tysięcy Żydów.

Łoskot ogromnych kamieni i drewnianych belek brzmiał jak grzmot. Józef obserwował zagładę Świątyni:

„Trzask ognia rozprzestrzeniającego się daleko i szeroko mieszał się z jękami tych, którzy padali. Wskutek wysokości wzgórza i rozmiarów płonącej budowli wydawało się, że pożar ogarnął całe miasto, a od panującej wrzawy trudno byłoby wyobrazić sobie coś bardziej ogłuszającego i przerażającego. Z jednej strony bowiem wznosiły okrzyki bojowe atakujące legiony rzymskie, z drugiej rozlegał się wrzask powstańców otoczonych zewsząd ogniem i żelazem. Lud odcięty powyżej w przerażeniu rzucał się do ucieczki, wpadając wprost na nieprzyjaciół i dodając do tej tragicznej sceny jeszcze jęki. Krzykowi ludzi na wzgórzu wtórował nadto tłum w mieście i nawet wielu z tych, którzy omdlewali z głodu i nie byli zdolni wydać z siebie głosu, jeszcze znajdowało w sobie tyle siły, żeby podnieść lament i głośno wołać, patrząc, jak płonie Przybytek. Echo odbijało się od Perei i okolicznych gór, czyniąc wrzask jeszcze potężniejszym. Lecz straszniejsze od tego tumultu były cierpienia. Można by myśleć, że całe wzgórze, na którym stała Świątynia, od samego podnóża stanowi jedną wrzącą masę płomieni...".



Rabunek wyposażenia Świątyni Jerozolimskiej. Relief z Łuku Tytusa

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/STEERPIKIE

eprasa.pl 4ae40cb95d



Ściana Płaczu (Mur Zachodni). Domniemany relikt Świątyni Jerozolimskiej FOT. COMMONS WIKIMEDIA/SHEEPDOG 85

Góra Moria, jedna z dwóch gór Jerozolimy, gdzie król Dawid umieścił Arkę Przymierza i gdzie jego syn Salomon wybudował pierwszą Świątynię, była ze wszystkich stron otoczona ogniem, a podłogi Świątyni zasłane trupami. Triumfujący żołnierze wspinali się na stosy ciał. Kapłani stawiali opór, a niektórzy rzucali się w płomienie. Owładnięci szałem Rzymianie, widząc, że wewnątrz Świątynia została zniszczona, pochwycili złoto i kosztowne sprzęty, a zanim uszli z łupem, podpalili resztę zabudowań świątynnych.

Kiedy wewnętrzny dziedziniec spłonął i wstał świt następnego dnia, pozostali przy życiu powstańcy przebili się przez rzymskie linie do labiryntu dziedzińców zewnętrznych, a część z nich uciekła z miasta. Rzymianie kontratakowali konnicą, odpierając powstańców, następnie podpalając skarbiec świątynny, wypełniony bogactwami z całego żydowskiego świata, od Aleksandrii do Babilonu. Znaleźli tam około sześciu tysięcy kobiet i dzieci, które ukryły się, ponieważ „fałszywy prorok" obwieścił im, że w Świątyni mogą oczekiwać „znaków ocalenia". Legioniści po prostu podłożyli ogień pod krużganek, paląc wszystkich tych ludzi żywcem.

Rzymianie wnieśli swoje orły na Świętą Górę, złożyli ofiary swoim bogom i obwołali Tytusa imperatorem – najwyższym wodzem. Kapłani wciąż ukrywali się wokół Świętego Świętych. Dwaj skoczyli w płomienie, a jednemu udało się wynieść ze świątyni część skarbów – szaty arcykapłana, dwa złote świeczniki oraz cynamon i kasję, przyprawy palone codziennie w Przybytku. Kiedy reszta się poddała, Tytus rozkazał ich stracić, mówiąc, że „godzi się, aby kapłani ginęli razem z Przybytkiem".

Drugi Nabuchodonozor

Jerozolima była – i nadal jest – miastem tuneli. Teraz powstańcy zniknęli pod ziemią, zachowując kontrolę nad Cytadelą i Górnym Miastem na zachodzie. Zdobycie reszty Jerozolimy zajęło Tytusowi następny miesiąc. Kiedy padła, Rzymianie oraz ich syryjscy i greccy sprzymierzeńcy „rozbiegli się po wąskich uliczkach z dobytymi mieczami i zabijali bez różnicy każdego, kogo napotkali, a domy, w których chroniono się, podpalali razem z ludźmi". Nocą, kiedy skończyło się zabijanie, „szalał pożar" i świt następnego dnia „zastał Jerozolimę pogrążoną w ogniu".

Tytus pertraktował z dwoma żydowskimi wodzami na moście, który łączył Świątynię z miastem, oferując im życie w zamian za kapitulację. Ale oni odmówili. Rozkazał więc podpalić i splądrować Dolne Miasto, gdzie niemal wszystkie domy były wypełnione ciałami zmarłych z głodu. Kiedy jerozolimscy wodzowie wycofali się do pałacu Heroda i Cytadeli, Tytus zbudował wały, aby złamać ich opór, i 7 dnia miesiąca elul, w połowie sierpnia, Rzymianie przypuścili szturm na fortyfikacje.

Powstańcy walczyli w tunelach dopóty, dopóki jeden z ich wodzów, Jan z Giskali, nie poddał się (został oszczędzony, chociaż miał spędzić resztę życia w więzieniu). Drugi wódz, Szymon ben Gioras, wyszedł w białej szacie z tunelu pod Świątynią i wyznaczono mu pierwszoplanową rolę w triumfie Tytusa, urządzonym w Rzymie na cześć jego zwycięstwa.

W następstwie rzezi i metodycznego niszczenia, które nastąpiło później, zniknął świat i pozostało tylko kilka zastygłych w czasie momentów. Rzymianie mordowali starców i chorych: ręka kobiety znaleziona w drzwiach jej spalonego domu świadczy o panice i przerażeniu; popioły budynków w dzielnicy żydowskiej mówią o piekle. W sklepie przy ulicy, która biegnie pod monumentalnymi schodami do Świątyni, znaleziono dwieście brązowych monet, ukrytych prawdopodobnie w ostatnich godzinach upadku miasta. Wkrótce nawet Rzymianie zmęczyli się zabijaniem. Jerozolimczyków zapędzono na Dziedziniec Kobiecy Świątyni, gdzie odbyła się selekcja: wojowników zabito, zdrowych i silnych wysłano do pracy w egipskich kopalniach, młodych i przystojnych sprzedano jako niewolników przeznaczonych na śmierć na arenie lub do udziału w triumfie […].

Tytus, podobnie jak Nabuchodonozor, postanowił zetrzeć Jerozolimę z powierzchni ziemi, a Józef obwinił o tę decyzję buntowników: „Wojna domowa pokonała miasto, a Rzymianie wojnę". Zburzenie najwspanialszego dzieła Heroda Wielkiego, Świątyni, musiało być prawdziwym wyzwaniem inżynieryjnym. Ogromne ciosane kamienie Królewskiego Portyku roztrzaskały się na nowych chodnikach w dole i tam znaleziono je niemal dwa tysiące lat później, na kolosalnej stercie, tak jak upadły, ukryte pod nagromadzonymi przez stulecia szczątkami. Gruz zwalano do doliny obok Świątyni, gdzie zaczął wypełniać parów, dzisiaj prawie niewidoczny, pomiędzy Wzgórzem Świątynnym a Górnym Miastem. Ale mury opasujące Wzgórze Świątynne, w tym dzisiejszy Mur Zachodni, ocalały. Spolia, zwalone kamienie ze Świątyni Heroda i innych budowli są w całej Jerozolimie, wykorzystywane przez zdobywców i budowniczych, od Rzymian do Arabów, od krzyżowców do Osmanów, przez następnych tysiąc z górą lat.

Nikt nie wie, ilu ludzi zginęło w Jerozolimie, a starożytni historycy zwykle są mało rzetelni, jeśli chodzi o liczby. Tacyt twierdzi, że w oblężonym mieście było 600 tysięcy ludzi, natomiast Józef Flawiusz podaje, że ponad milion. Niezależnie od rzeczywistej liczby była ona ogromna, a wszyscy ci ludzie zmarli z głodu, zostali zabici lub sprzedani w niewolę […].

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Powyższy tekst jest fragmentem książki Simona Sebaga Montefiorego „Jerozolima. Biografia" (wyd. Znak Horyzont). Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji, z tekstu usunięte zostały przypisy.

eprasa.pl 4ae40cb95d

Z wykrywaczem po militaria



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Największe zainteresowanie budzą pobojowiska z okresu obu wojen światowych, podczas których nagromadzenie wyposażenia i sprzętu bojowego było bezprecedensowe

Archeologia militarna lub archeologia konfliktów – jak określana jest obecnie w środowisku naukowym – to dyscyplina stosunkowo młoda. Jej początki sięgają lat 80. ubiegłego wieku i związane są z przełomowymi badaniami przeprowadzonymi w latach 70. na amerykańskich pobojowiskach z okresu wojny secesyjnej i walk z Indianami. Do najsłynniejszych należała eksploracja Little Big Horn, czyli miejsca, w którym w 1876 r. Indianie zmasakrowali żołnierzy amerykańskiego 7. Pułku Kawalerii dowodzonego przez gen. George'a Custera. Dzięki szerokiemu wykorzystaniu zaawansowanych wykrywaczy metalu udało się odnaleźć m.in. liczne pociski, które umożliwiły odtworzenie poszczególnych faz tej słynnej bitwy.

Od tamtej pory zrealizowano na świecie wiele spektakularnych projektów, które poszerzyły wiedzę o dawnej wojskowości. Badania umożliwiły precyzyjne określenie lokalizacji pobojowisk, dostarczając przy tym cenny materiał zabytkowy (tzn. osadzony w kontekście historycznym), a co najważniejsze – umożliwiły lepsze zrozumienie przebiegu wydarzeń i zweryfikowały wcześniejsze informacje.



Orzeł stanisławowski z kaszkietu polskiego piechura spod Maciejowic, znaleziony w 2011 r. przez członków Grupy Eksploracyjnej MWP FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ

Polska, z uwagi na burzliwe dzieje i wiele konfliktów toczonych na jej terenach co najmniej od czasów średniowiecza, ma w tym względzie ogromny potencjał. Tym bardziej że nauka dysponuje coraz bardziej zaawansowanymi narzędziami, a więc nie tylko rozmaitymi wykrywaczami metalu i systemem nawigacji satelitarnej (GPS), lecz także skaningiem laserowym umożliwiającym odtworzenie rzeźby terenu oraz zaawansowaną fotografią lotniczą (drony). Niestety, poważne projekty badawcze realizowane przez instytucje państwowe lub samorządowe są nieliczne. Można wspomnieć o badaniach pól bitewnych pod Kunowicami z 1759 r. (wojna siedmioletnia), Pułtuskiem z 1806 r. (wojny napoleońskie), na Reducie Ordona (wojna polsko-rosyjska 1831 r.) czy – w ostatnich latach – na polach grunwaldzkich.

W przypadku badań pobojowisk z okresu nowożytnego wiele informacji o przebiegu starcia dostarczają ołowiane kule oraz pociski artyleryjskie. Do wartościowych znalezisk należą też guziki z cyframi pułkowymi, które umożliwiają identyfikację jednostek biorących udział w walce, a także emblematy nakryć głowy lub ładownic. Wśród cennych artefaktów pozyskanych w ostatnich latach wspomnieć można np. o orle z kaszkietu polskiego piechura walczącego w bitwie pod Maciejowicami w 1794 r. (badania Grupy Eksploracyjnej Muzeum Wojska Polskiego).

Archeologia militarna w Polsce jest jednak przede wszystkim domeną rozmaitych stowarzyszeń o profilu historyczno-eksploracyjnym oraz prywatnych pasjonatów. Na poszukiwania z wykrywaczem metalu należy uzyskać pozwolenie właściciela terenu i konserwatora zabytków. Warto podkreślić, że współpraca hobbystów, archeologów i muzealników przynosi często bardzo dobre rezultaty, a do muzealnych gablot trafiają cenne militaria osadzone w kontekście historycznym.

Tannenberg i Przemyśl

Największe zainteresowanie budzą wciąż pobojowiska z okresu obu wojen światowych, podczas których nagromadzenie wyposażenia i sprzętu bojowego było bezprecedensowe. W przypadku tej pierwszej istną mekką poszukiwaczy

eprasa.pl 4ae40cb95d

były rejon Olsztynka, Działdowa i Nidzicy związany z gigantyczną bitwą pod Tannenbergiem (sierpień 1914 r.) oraz Bieszczady, będące w latach 1914–1915 częścią frontu karpackiego. Wśród licznych znalezisk wymienić można mosiężne klamry z wizerunkami godeł walczących państw oraz guziki. Szczególną estymą cieszą się efektowne odznaki pułkowe (to stosunkowo rzadkie znaleziska) oraz broń biała, jak np. rosyjskie szaszki, czy krzywe kindżały – bebuty. Spektakularne było także odkrycie w 2004 r. pod Tannenbergiem carskiego sztandaru ukrytego przez żołnierzy 144 kaszyrskiego pułku piechoty. Wiele ciekawych artefaktów, w tym wyposażenie forteczne, udało się pozyskać na terenie twierdzy Przemyśl, która była świadkiem niezwykle długotrwałych i zaciętych zmagań rosyjsko-austriackich.

Jeśli chodzi o drugą wojnę światową, to tu zakres poszukiwań jest zdecydowanie szerszy. Walki w 1939 r., a potem w latach 1941, 1944 i 1945 oraz działania nieregularne w okresie okupacji (partyzantka, powstanie warszawskie) spowodowały, że militaria mogą zalegać praktycznie wszędzie. Entuzjastów eksploracji od wielu dekad przyciągają pobojowiska z kampanii 1939 r. Tutaj cieszą oko przede wszystkim polskie orły, nieśmiertelniki, bagnety, a także szable wz. 34, czyli słynne ludwikówki. Niezwykle interesującą kolekcję polskich militariów – będących w dużej mierze efektem poszukiwań z wykrywaczami metalu – zgromadziło sochaczewskie Muzeum Bitwy nad Bzurą. Liczne i efektowne znaleziska, w tym m.in. polskie sztandary, pochodzą z Lubelszczyzny; część militariów eksponują lokalne muzea, np. w Biłgoraju. W przypadku 1944 r. miejscem chętnie odwiedzanym przez poszukiwaczy był przyczółek warecko-magnuszewski, gdzie walczyli żołnierze 1. Armii Wojska Polskiego. Równie obfite „łowy" zapewniał swego czasu Wał Pomorski. Na obu pobojowiskach szukano m.in. orłów piastowskich, czyli popularnych „kuric" z rogatywek. Wielu imponujących odkryć, związanych zarówno z Wojskiem Polskim, jak i Wehrmachtem, dokonano na Półwyspie Helskim, gdzie ukrywano bądź porzucano bojowy sprzęt – zarówno w 1939, jak i w 1945 r.



Destrukty polskich militariów z pól bitewnych, 1939 r. FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ

Święty Graal poszukiwaczy

Druga wojna światowa była konfliktem w dużej mierze zmechanizowanym. Po przejściu frontu pobojowiska zaścielały wraki rozmaitych pojazdów – czołgów, transporterów, wozów specjalistycznych. Po zakończeniu walk większość ściągnięto i przetopiono w hutach. Niektóre jednak zalegały w miejscach na tyle trudno dostępnych, że ich wydobycie się po prostu nie opłacało. To właśnie poszukiwania zabytkowego sprzętu ciężkiego szczególnie mocno rozpalają wyobraźnię współczesnych eksploratorów. To przedsięwzięcia skomplikowane logistycznie, ale wyjątkowo spektakularne. Wśród miłośników broni pancernej Świętym Graalem pozostaje bez wątpienia czołg 7TP produkowany przed wojną przez Państwowe Zakłady Inżynieryjne. Nie zachował się ani jeden oryginalny egzemplarz (wyprodukowano ich zaledwie sto kilkadziesiąt). Imponująco prezentują się natomiast rezultaty poszukiwań pojazdów niemieckich. Warto wspomnieć m.in. o kilku transporterach gąsienicowych wydobytych z Pilicy oraz o dziale szturmowym Sturmgeschütz IV z rzeczki Rgilewki (okolice wielkopolskiego Koła). Niektóre z tych pojazdów doprowadzono do stanu jezdnego, a unikatowe działo szturmowe jest dzisiaj ozdobą kolekcji Muzeum Broni Pancernej w Poznaniu.

Z kolei w Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu eksponowany jest czołg Panzerkampfagen IV będący świadkiem zaciętych zmagań w 1945 r. Po zniszczeniu przez Rosjan na terenie lotniska w Kluczewie (Zachodniopomorskie) został on przez Niemców wysadzony w powietrze i zrzucony do ogromnego leja po bombie. Po odnalezieniu i wydobyciu w 2011 r. zabytek poddano gruntownej renowacji i rekonstrukcji.

Oprócz broni pancernej kolosalne znaczenie historyczno-muzealne mają także wraki samolotów. Maszyny pamiętające ostatnią wojnę są w krajowych muzeach reprezentowane szczątkowo. W 2011 r. przy udziale ekipy z Muzeum Wojska Polskiego podjęto eksplorację miejsca upadku bombowca PZL P-37 „Łoś" strąconego przez Niemców we wrześniu 1939 r. nieopodal Wólki Radzymińskiej. W wyniku dwudniowych badań udało się wydobyć wiele fragmentów legendarnego samolotu. Wśród nich były doskonale zachowana goleń podwozia i cylinder z silnika. Po zabiegach konserwatorskich zabytki te pokazano na wystawie stałej w Muzeum Wojska Polskiego.

Zaprezentowane przykłady stanowią zaledwie wycinek z szerokiego spektrum zagadnień realizowanych w ramach archeologii militarnej/archeologii konfliktów. Nie ulega wątpliwości, że kompleksowe, metodyczne, a przede wszystkim prowadzone z inspiracji i pod kierunkiem państwowych instytucji projekty związane z badaniami pobojowisk przyniosłyby wymierne korzyści. W ziemi (i w wodzie) zalega wciąż wiele bezcennych artefaktów związanych z wojennymi dziejami Polski.



Czołg Panzerkampfwagen IV odkopany kilka lat temu na Pomorzu Zachodnim. Eksponat Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4ae40cb95d



Ludzie prowadzeni na egzekucję w Ponarach

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/THE GREEN HOUSE

1941–1944 / Zbrodnie w Ponarach

Ludzka rzeźnia



Piotr Zychowicz

Litewscy kolaboranci bestialsko wymordowali pod Wilnem 70 tys. Żydów i Polaków. Zbrodnia ta została skazana na zapomnienie

Ach, a ten co robi?!!! Ten tam, obok, o czterdzieści kroków, nie dalej, w czarnym mundurze! Co on chce zro… Rozkraczył nogi koło słupa, stanął ukosem, zamachnął się dwiema rękami… Sekunda jeszcze… Co on ma w ręku?! Co on ma w tych rękach?!!! Na rany Jezusa Chrystusa! Na rany Boga! Coś wielkiego, coś strasznie strasznego!!! Zamachnął się i – bęc głową dziecka o słup telegraficzny!… Aaaa! Aaa! Aaa! – zakrakał ktoś koło mnie, kto taki – nie wiem. A w niebie… nie w niebie, a na tle tylko nieba, zadrgały od uderzenia przewody drutów telegraficznych".

„Ten oszalały kompletnie policjant chwyta Żydówkę za prawą nogę i usiłuje wlec ją pomiędzy szynami, cały zgięty, z gębą tak przekrzywioną, jakby ciętą na ukos szablą, dokąd?! Po co?! Nogi kobiecie się rozstawiają, lewa zaczepia za szynę, spódnica zjeżdża do pasa, odsłaniając szare z brudu majtki, a dziecko łapie włóczące się po kamieniach włosy matki i ciągnie je ku sobie i nie słychać, a widać, jak wyje: »Mammme!«… Z ust wleczonej kobiety bucha teraz krew… Gęsta ściana mundurów zasłania na chwilę widok… A później jakiś Łotysz podniósł kolbę nad zwichrzonymi włoskami, uwiązanymi w ciemieniu kawałkiem łachmanka w kokardkę i… zamknąłem oczy".

To fragmenty tekstu „Ponary-Baza", opublikowanego w 1945 r. na łamach „Orła Białego". Zdaniem Czesława Miłosza – i trudno nie zgodzić się z opinią poety – jest to najbardziej wstrząsające, a jednocześnie najbardziej prawdziwe świadectwo Zagłady w całej światowej literaturze.

Jego autorem był Józef Mackiewicz, który w październiku 1943 r. pojechał na Ponary, by odwiedzić znajomego. I przypadkowo stał się świadkiem masakry transportu Żydów, który przyjechał na miejsce kaźni. Na bocznicy kolejowej wybuchła panika, dlatego też oprawcy wymordowali swoje ofiary od razu przy pociągu, na oczach świadków. A nie – jak to mieli w zwyczaju – nad pobliskimi dołami śmierci.

To właśnie Mackiewicz użył jako pierwszy określenia „ludzka rzeźnia", które tak bardzo pasuje do koszmaru, który rozegrał się na podwileńskich Ponarach.

Gdzie?

To, co dla Polaków było Ponarami, dla Litwinów nazywało się Paneriai. W języku jidysz mówiono zaś po prostu Ponar. Dzisiaj jest to dzielnica Wilna. Przed wojną Ponary były podmiejskim letniskiem.

Według części relacji jako pierwsi zaczęli na Ponarach mordować bolszewicy. Gdy 17 września 1939 r. Armia Czerwona przekroczyła granicę Rzeczypospolitej, z miejsca przystąpiła do mordowania polskich żołnierzy, policjantów i urzędników. Sowieckie zbrodnie wojenne z tego okresu to do dzisiaj właściwie niezbadany temat.

W 1941 r., gdy Stalin rozpoczął przygotowania do ataku na Europę, bolszewicy przeznaczyli Ponary na bazę, w której zamierzali składować paliwo. W tym celu wykopali olbrzymie okrągłe doły, a teren otoczyli wysokim płotem zwieńczonym zwojami drutu kolczastego.

Budowę przerwał atak Hitlera. Gdy Niemcy przepędzili bolszewików z Wileńszczyzny, w ślad za prującym do przodu Wehrmachtem przybyły tam

eprasa.pl 4ae40cb95d

oddziały morderców z SS – Einsatzgruppen. Ponarska baza zwróciła uwagę ich dowódców. Ze względu na przygotowaną przez Sowietów „infrastrukturę" idealnie nadawały się do miejsca zbiorowych egzekucji. Zdecydowało również położenie – w pobliżu stacji kolejowej i szosy na Grodno, a jednocześnie nieco na uboczu, w otoczeniu gęstego sosnowego lasu, który tłumił wystrzały. Już w lipcu 1941 r. doszło do pierwszej akcji eksterminacyjnej, która przeistoczyła się w regularną masakrę trwającą do lipca 1944 r. Jej bezpośrednimi sprawcami byli Litwini.

Jak?

Ofiary na Ponary były transportowane na trzy sposoby: ciężarówkami, pieszo lub pociągami. W przypadku Żydów niemal do końca służbę porządkową przy transporcie pełniła żydowska policja. Po dojściu na miejsce kaźni oprawcy stawiali całą grupę na skraju jamy i strzelali do niej z karabinów maszynowych.

Jeżeli była nią matka z dzieckiem, to osobny kat przypadał na kobietę, a osobny na dziecko. Jedynie w przypadku niemowląt nie zadawano sobie tyle trudu, roztrzaskiwano im czaszki kolbami albo wrzucano je żywcem do dołu. Po zakończeniu egzekucji kilku pozostawionych w tym celu więźniów przysypywało trupy warstwą piasku i wapna. Następnie również ci ostatni nieszczęśnicy byli mordowani.

Kogo?

Na Ponarach w latach 1941–1944 zamordowano ok. 70 tys. ludzi. W przytłaczającej większości ofiarami byli Żydzi. W ponarskich dołach śmierci wylądowało również od 1,5 do 2 tys. Polaków, przedstawicieli wileńskich elit. Ludzie, którzy zostali aresztowani jako zakładnicy lub aresztowani za działalność w podziemiu. Wystarczył jeden donos, by znaleźć się na liście śmierci.

Wśród zabitych znajdował się młody żołnierz AK Bronisław Komorowski „Korsarz". Był to stryj byłego prezydenta Polski, na którego cześć nadano mu zresztą imię. Aresztowany na ulicy przez litewską tajną policję Saugumę został osadzony w więzieniu, gdzie poddano go brutalnemu śledztwu. W styczniu 1944 r. zamordowano go wraz z grupą innych Polaków na Ponarach. Stało się to w dniu jego 18. urodzin.

Mordowanym Polakom krępowano ręce na plecach przy pomocy drutu. Obawiano się bowiem, że członkowie AK będą w ostatniej chwili stawiać opór. Jak wynika z relacji świadków, wielu straconych Polaków zachowywało się w obliczu śmierci bohatersko. Krzyczeli: „Niech żyje wolna Polska!" lub złorzeczyli oprawcom.

Kto?

Pierwsze rozstrzeliwania na Ponarach były dziełem Einsatzgruppen. Mordami kierował SS-Obersturmführer Schauschütz. Szybko jednak niemieckich oprawców zastąpili Litwini. A konkretnie Sonderkommando nazywane przez Litwinów Ypatingas Burys, a przez Polaków po prostu „strzelcami ponarskimi". Jego członkowie nosili charakterystyczne rude koszule i okrągłe czapki z trupią główką.

Dowódcą komanda został litewski oficer Juozas Šidlauskas ps. Diabeł, po pewnym czasie zastąpił go Balys Norwaisza. Rola Niemców ograniczała się do nadzorowania procederu. Robił to oficer SD Martin Weiss. Przeszkolenie było bardzo powierzchowne, przed samym rozstrzelaniem oficerowie pokazywali zabójcom plansze z sylwetką człowieka. Były na niej zaznaczone żywotne organy, w które należało celować.

Aby w mordercach zabić wyrzuty sumienia, Niemcy przywozili na miejsce egzekucji wódkę. Była ona wlewana do kadzi, do której każdy z żołnierzy miał swobodny dostęp. Józef Mackiewicz zapamiętał, że podczas masakry, której był świadkiem, na rozkładanym stoliku oprócz wódki umieszczono zwoje kiełbasy. Przypominało to wiejski festyn. Mordercy z Ponar byli więc po prostu urżnięci. To tłumaczy ich dzikie ryki, czerwone twarze i niebywałą agresję, o których opowiadali świadkowie. Mimo to Litwini często załamywali się psychicznie, zdarzały się nawet przypadki odmowy wzięcia udziału w eksterminacji. Kara za to była straszna – opornych mordowano razem z ofiarami.

W jednostce służono na ogół chętnie, ze względu na profity. „Strzelcy ponarscy" okradali bowiem ofiary. Przed samą egzekucją wyrywali im złote zęby, odbierali gotówkę i biżuterię, lepsze ubrania oraz buty. Następnie zaś sprzedawali wszystko na czarnym rynku. Działo się to wbrew wyraźnym rozkazom Niemców, którzy kazali sobie oddawać wszystkie znalezione przy mordowanych cenne przedmioty.

Przed samym wkroczeniem bolszewików, latem 1944 r., Niemcy przystąpili do usuwania śladów zbrodni. Jeńcom sowieckim i ocalałym Żydom kazali wykopać szczątki zamordowanych i ułożyć je w wielkie stosy. Całość została następnie oblana smołą i spalona. Góry ludzkich ciał płonęły po siedem–osiem dni. Najgrubsze kości, których nie udało się spalić, roztarto między żeliwnymi płytami i zmieszano z piaskiem.

Świat miał się nigdy nie dowiedzieć o koszmarze, który rozegrał się na podwileńskich Ponarach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

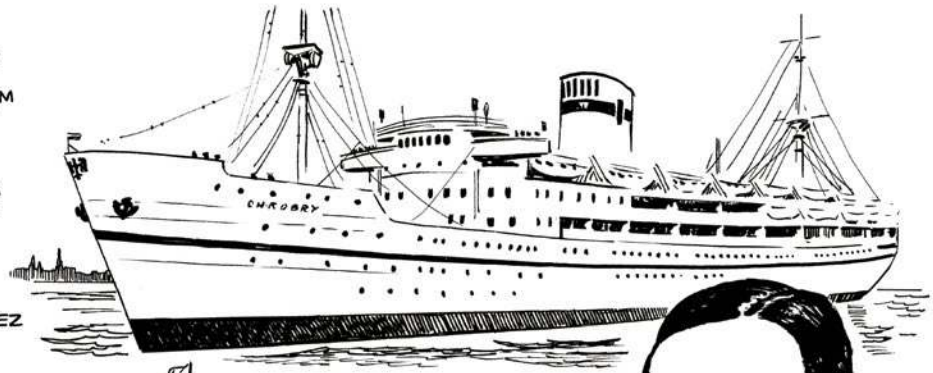


Polska kwatera w Ponarach
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/KEITH RUFFLES

eprasa.pl 4ae40cb95d

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

MS ,,CHROBRY'' BYŁ OSTATNIM TRANSATLANTYKIEM ZBUDOWANYM DLA POLSKIEJ FLOTY W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM. JEGO WODOWANIE MIAŁO MIEJSCE W LUTYM 1939 ROKU. TAK O STATKU NAPISAŁ SŁUŻĄCY NA NIM OFICER KAROL OLGIERD BORCHARDT W KSIĄŻCE ,,SZAMAN MORSKI'': ,,CHROBRY NIE MIAŁ WAD. Z SIEDMIU NASZYCH TRANSATLANTYKÓW BYŁ NAJLEPSZY. ZWROTNY JAK LUKSUSOWA MOTORÓWKA, W SZTORMACH WSPINAŁ SIĘ NA FALE, A NIE PRZYJMOWAŁ ICH NA POKŁAD. (...) WNĘTRZA I POMIESZCZENIA STATKU BYŁY UDANE ZARÓWNO POD WZGLĘDEM ARTYSTYCZNYM, JAK I UŻYTECZNOŚCI NA CO DZIEŃ. MIAŁ NIEDOŚCIGNIONY PRZEZ INNE NASZE TRANSATLANTYKI UROK CZEGOŚ BARDZO DOSKONAŁEGO.''



STATEK MIAŁ OBSŁUGIWAĆ POŁĄCZENIE POMIĘDZY PORTEM W GDYNI I AMERYKĄ POŁUDNIOWĄ. W SWÓJ DZIEWICZY REJS WYPŁYNĄŁ 29 LIPCA 1939 ROKU.



WŚRÓD 1042 PASAŻERÓW BYŁ MIĘDZY INNYMI WITOLD GOMBROWICZ. PODRÓŻOWAŁ SŁUŻBOWO – MIAŁ NA ZLECENIE GAZETY NAPISAĆ REPORTAŻ Z TEGO PIERWSZEGO REJSU MS ,,CHROBRY'' I WE WRZEŚNIU 1939 ROKU WRÓCIĆ DO POLSKI.

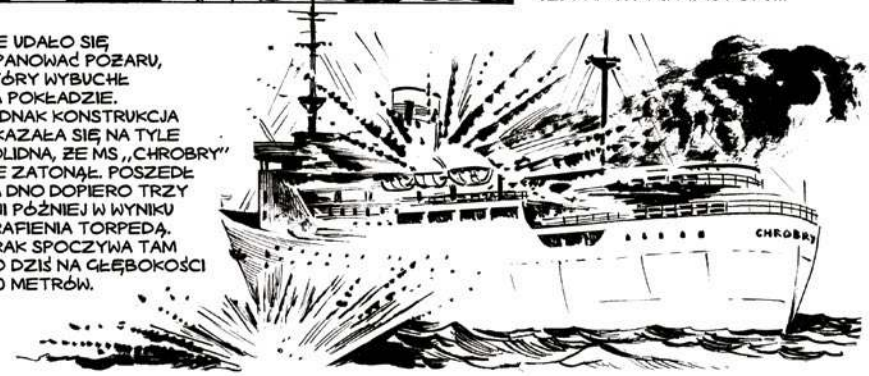




KAPITAN EDWARD PACEWICZ PODJĄŁ DECYZJĘ O PRZERWANIU REJSU I SKIEROWAŁ STATEK DO PORTU W RECIFE, GDZIE WSZYSCY PASAŻEROWIE ZESZLI NA LĄD. MS ,,CHROBRY'' ODPŁYNĄŁ DO PORTU W SOUTHAMPTON, GDZIE PRZESZEDŁ MODERNIZACJĘ – PRZYSTOSOWANO GO DO TRANSPORTU WOJSKOWEGO. NOWYM KAPITANEM ZOSTAŁ ZYGMUNT DEYCZAKOWSKI. MS ,,CHROBRY'' PRZEWOZIŁ MIĘDZY INNYMI ZAOPATRZENIE I ŻOŁNIERZY Z KANADY. NATOMIAST OD KWIETNIA 1940 ROKU TRANSPORTOWAŁ WOJSKA BRYTYJSKIE DO NORWEGII.
JEDNAK 14 MAJA 1940 ROKU...



NIE UDAŁO SIĘ OPANOWAĆ POŻARU, KTÓRY WYBUCHŁ NA POKŁADZIE. JEDNAK KONSTRUKCJA OKAZAŁA SIĘ NA TYLE SOLIDNA, ŻE MS ,,CHROBRY'' NIE ZATONĄŁ. POSZEDŁ NA DNO DOPIERO TRZY DNI PÓŹNIEJ W WYNIKU TRAFIENIA TORPEDĄ. WRAK SPOCZYWA TAM DO DZIŚ NA GŁĘBOKOŚCI 160 METRÓW.



eprasa.pl 4ae40cb95d

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

HISTORIA DO RZECZY

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA WIOLETTA SAWICKA: „WILCZE DZIECI”

Dziecko wobec wojny jest zawsze ofiarą, niezależnie po której stronie frontu się urodziło.

Historie i świadectwa „wilczych dzieci”, czyli wojennych sierot z obecnych terenów Warmii i Mazur oraz obwodu kaliningradzkiego, które jeszcze długo po 1945 roku ukrywały się w lasach.

Upadek Trzeciej Rzeszy rozpoczął się z chwilą wkroczenia Armii Czerwonej do Prus Wschodnich, pierwszego terytorium Rzeszy, do którego dotarli sowieccy żołnierze. Rosjanie wystawili Niemcom bardzo wysoki rachunek za zbrodnie popełnione przez nazistów na froncie wschodnim. Bojowy szlak czerwonoarmistów znaczyły stosy bestialsko pomordowanych bezbronnych ludzi, masowe gwałty, grabieże, pożary i powszechna dewastacja mienia. Nikt nie był bezpieczny od żądnych zemsty sowieckich zdobywców. Śmiertelne żniwo wśród ludności cywilnej zbierał też przeraźliwy głód. Gdy umierały matki, dzieci, często kilkuletnie, zostawały same.

Według różnych źródeł w lasach i ruinach tych terenów ukrywało się około dziesięciu tysięcy sierot. Niektóre źródła podają, że nawet dwadzieścia tysięcy. By zdobyć cokolwiek do jedzenia, przemierzały pieszo wiele kilometrów. Przekradały się też na Litwę, gdzie żebrząc o żywność, miesiącami, czasem latami, tułały się od wioski do wioski. Kilka dekad później nazwano je wilczymi dziećmi.

Ktoś mógłby rzec - co to za nazwa! Ale czyż nie jesteśmy trochę, jak wilki? Razem z wilkami spędzaliśmy czas w lasach - mówi jedno z byłych „wilcząt”. To jest prawdziwa opowieść o nich.



155 zł

oszczędność 42 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 4ae40cb95d

Już co dziesiąty Polak posiada **kryptowaluty***.

A Ty?



zondacrypto

*źródło: PIE

eprasa.pl 4ae40cb95d